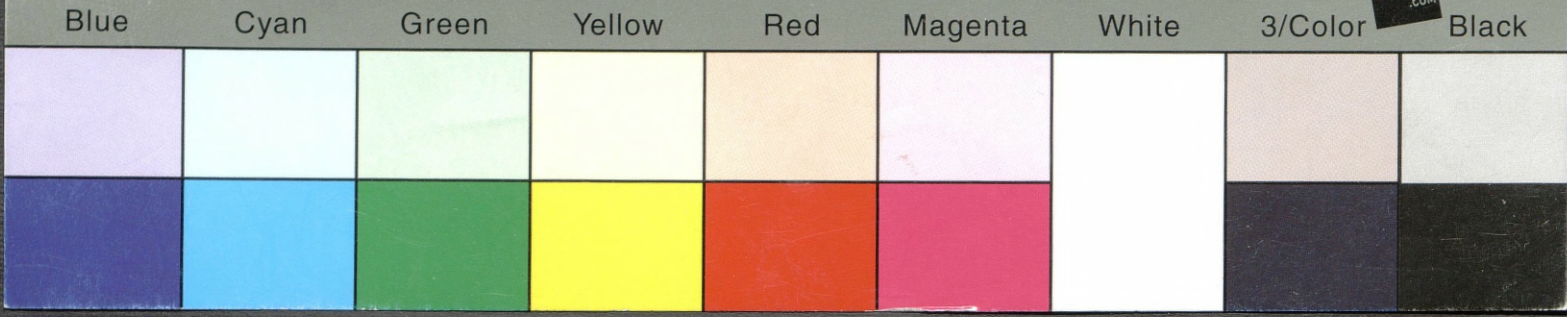


Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

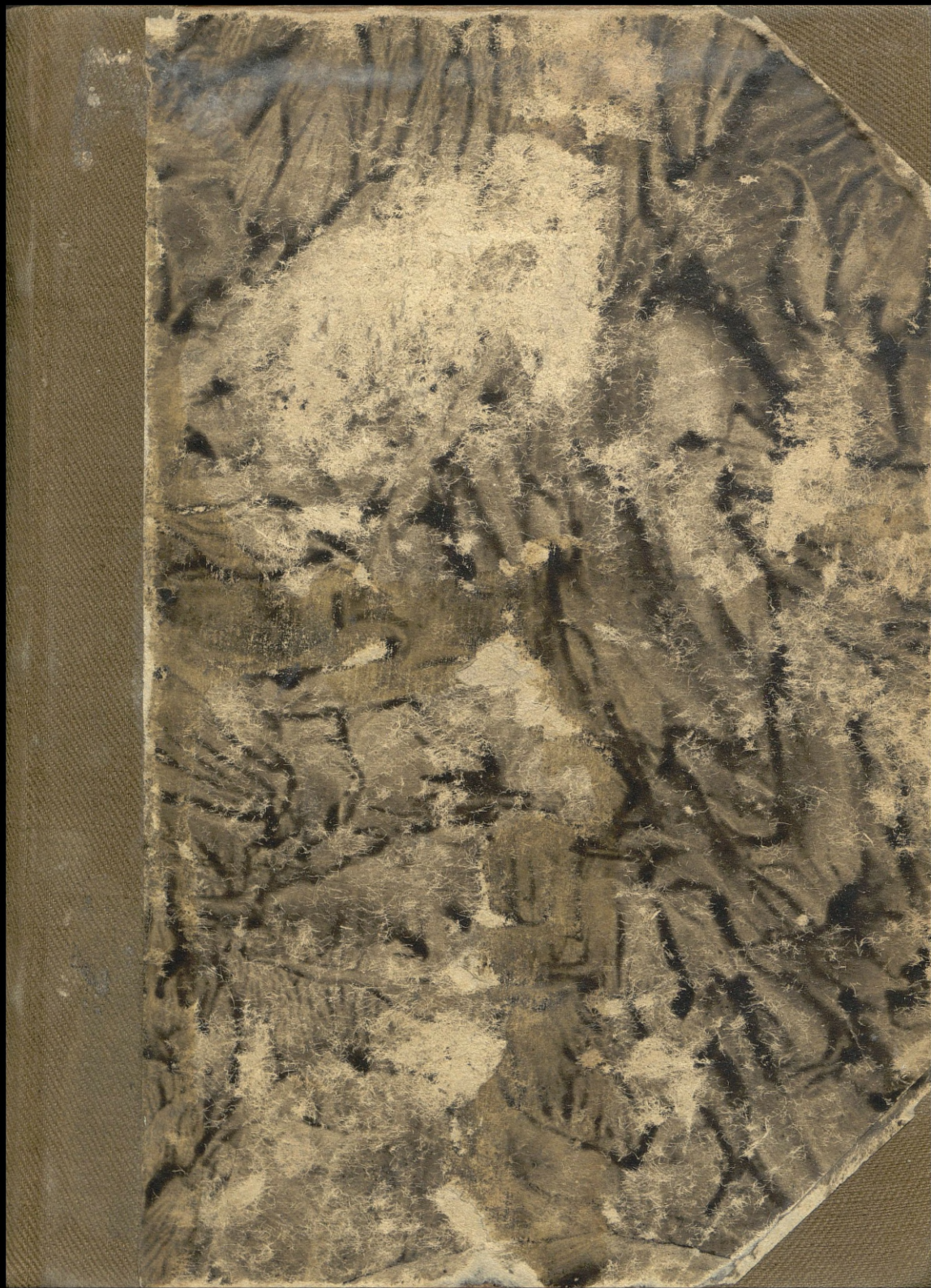
DANES-PICTA .COM



A 1 2 3 4 5 6 **M** 8 9 10 11 12 13 14 15 **B** 17 18 19

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K

DANES-PICTA .COM



POSTĘP LUDZKOŚCI.

Gabina Marszałkówna.

DZIEŁA
J. K. KOCHANOWSKIEGO.

ECHA PRAWIEKU I BŁYSKAWICE
PRAW DZIEJOWYCH NA TLE
TERAŻNIEJSZOŚCI.

CENA RB. 1.35.

NAD RENEM I NAD WISŁĄ — AN-
TYTEZA DZIEJOWA.

CENA RB. 3.

SZKICE I DROBIAZGI HISTO-
RYCZNE SERVA DRUGA.

CENA RB. 1.80.

WARSZAWA E. WENDE I S-KA.

ODBIŁ CZCIONKAMI DRUKARNI WŁ. ŁAZARSKIEGO
W WARSZAWIE.

J. K. KOCHANOWSKI.

POSTĘP
LUDZKOŚCI

JAKO WYRAZ
PRAW PSYCHICZNYCH
ROZWOJU.

ad astra.



E. WENDE I SPÓŁKA

WARSZAWA — LWÓW — 1917

172 1. 3M : 008

PRAWA PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

30500 | 2



*Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseabteilung
Warschau, den 29. X 1916. T. № 3266, Dr. № 297.*

*Pamięci Tej,
z Której życia i śmierci wszystko wziętem
— wszystko oddaje.*

*La gloria di colui che tutto muove
Per l'universo penetra, e risplende
In una parte più, e meno altrove.*

*Nel ciel che più della sua luce prende
Fu'io, e vidi cose che ridire
Nè sa, nè può qual di lassù discende;*

*Perchè, appressando sè al suo disire,
Nostro intelletto si profonda tanto,
Che retro la memoria non può ire.*

*Veramente quant'io del regno santo
Nella mia mente potei far tesoro,
Sarà ora materia del canto.*

.....
(Dante. *Commedia. Parad. I. 1 -- 12*).

Słowo wstępne.



Temat „Le progrès“, rzucony w Bernie szwajcarskim w lipcu 1909 r.,¹ jako program VIII-go Kongresu Paryskiego Międzynarodowego Instytutu socjologii, odbytego w październiku 1912 roku w Rzymie,² nasunął mi pewne myśli, będące w ścisłym związku z teorią, którą wypowiedziałem przed kilku laty w studyum psycho-socjologicznem p. t. „Echa prawieku i błyskawice praw dziejowych na tle terażniejszości“,³ a starałem się rozwinąć i uzasadnić wkrótce potem na podłożu historycznym w książce p. t. „Nad Renem i nad Wisłą, antyteza dziejowa“.⁴ Myśli te, częściowo już przeze mnie ujęte w szkicu p. t. „Quelques notes sur le progrès social“,⁵ przedstawiam tutaj w szerszych ramach kwestyi zasadniczych, dotyczących zagadnienia Postępu Ludzkości.

Zagadnienie to, dręczące w sposób wieloraki umysły ludów, wieków i pokoleń, nie jest, ściśle biorąc, i być nie może z natury swej rozwiązalne. Jest ono bowiem skierowanym do człowieka pytaniem podstawowym z zakresu zagadki bytu, pytaniem, łączącym się z nią najbardziej zasadniczo. To też, z punktu widzenia „ściśle krytycznego“, możnaby go nie poruszać wcale, gdyby nie dwie okoliczności, zasługujące na baczną uwagę.

Pierwszą z nich jest wzgląd, że człowiek, jak najściślej związany z otaczającą go przyrodą, posiada jednak w sobie zasób pierwiastków, umożliwiających mu subiektywne oderwanie się od niej i skupienie się, mniej lub bardziej doskonale, w swym świecie wewnętrznym; drugą, płynącą z tego świata ludzka właściwość psychiczna, która, dążąc poprzez animizm, antropomorfizm, antropocentryzm i wszelkie naogół, znane z dziejów myśli, formy teleologii, zatrzymała się w czasach naszych ponownie, pono nie poraz pierwszy ani ostatni, na krawędzi bezwzględnego materializmu (monizmu), aby wiekuisty swój pochod znowu ku opuszczonym na chwilę torom (dualizmu) skierować.⁶

Z punktu widzenia Historii, której przeszczerpione z pracowni przyrodniczych, nie bez dużego pożytku, na jej niwę, materialistyczne pojmowanie dziejów, nie zdołało, bądźcobądź, wydrzeć *Człowieka pełnego*, jako właściwego przedmiotu jej do-

ciekań, zwrot myśli ludzkiej, o którym tu mowa, jest aż nazbyt zrozumiała, bo naturalny.

Pogłębiwszy w czasach ostatnich swe poznanie w zakresie *mechaniki* bytu i rozwoju społeczeństw i ludów, skieruje zapewne Historya w przyszłości niedalekiej skalpel swój ku ich *psychologii*, a udoskonalenie dociekań w obu tych kierunkach odpowie tylko istotnej, czynnej i biernej: *duchowej* i *materyjalnej*, roli człowieka w dziejach.

Zagadnienie postępu ludzkości, narzucające się tak silnie umysłowości świata, posiada tedy, jak widzimy, własny swój zakres i prawo bytu, zawarte, bez względu na celowość *κατ' ἐξοχήν* natury, w pogłębionych możliwie dziejach ludzkich i psychice człowieka.

A zakres ten i to prawo, zawsze tak doniosłe i pierwszorzędne, zyskują dzisiaj, wśród przeżyć bez miary, iście wyolbrzymioną powagę.

Usiłujemy, odpowiednio do trudnego, lecz podjętego z miłością zadania, wznieść się tu na wyżyny bezstronności możliwej, do punktu rozważania „Człowieka pełnego“ z poza wyłączości postaci wewnętrznej czy zewnętrznej jego bytu.

Idea dociekań na temat „postępu“ człowieka, jako jednostki, społeczeństwa, czy „ludzkości“, jest właściwie, z punktu widzenia czasów naszych, anomalją w znaczeniu logicznem. Mam tu, oczy-

wiecie, na myśli nie przebłyksi *speciei aeternitatis*, które zaznaczyły się najdobitniej w latach ostatnich w znanej książce Henryka Bergsona,⁷ lecz styl przeciętny rozumowania na temat najwyższych nawet zagadnień społecznych i moralnych, przyjęty ogólnie przez pisarzy europejskich naszej doby.

Jakże bowiem mówić o „postępie“, t. j. innymi słowy: o zbliżaniu się do „celu“, skoro zarówno samo jego istnienie, jak rodzaj leżą poza granicami terenu, uprawianego przez umysłowość współczesną? Dodajmy odrazu: przez umysłowość nawskroś materialistyczną, ściśle do panującego ducha czasu przystosowaną. Zastanowimy się nad tem bliżej w dalszym ciągu książki niniejszej; na razie dość będzie stwierdzić ogólnie, że, podobnie jak idee doby naszej nie zdołały sprostać naturze nietylko indywidualnej, lecz i społecznej człowieka, tak też i towarzysząca im nauka nie uczyniła za-
dość temu pożądaniu, jakie świadomy siebie duch ludzki żywi w sferze zagadnień, o których tu mowa, w stosunku do siebie i sobie podobnych.

WE wspomnianych na wstępie pracach podjęliśmy sprawę stosunku psycho-społecznego jednostki do masy ludzkiej. W pierwszym z tych studyów usiłowaliśmy przedstawić to zagadnienie w zasadniczej jego postaci mechanicznej,⁸ w dru-

giem zaś, z punktu widzenia historycznego, na odpowiednim tle dziejowym.⁹ Obecnie zamierzylśmy określić toż samo zagadnienie, skupiające w sobie treść istotną zespołu zjawisk życia zbiorowego, w zastosowaniu do możliwego całokształtu tych pytań, jakie umysł nasz zwykł skierowywać ku człowiekowi, jako części ludzkości.

Jest to rzeczą aż nazbyt naturalną, że, podejmując takie zadanie, a nie poprzestając na garści luźnych, cisnących się pod pióro aforyzmów, usiłujemy wykazać tu, w pozornym chaosie zjawisk, pewien zasadniczy ich porządek: wykryć w świadomości naszej i określić rodzaj tych podstaw psychicznych bytu zbiorowego i jego rozwoju, jakie tkwią w jednostce, społeczeństwach i „ludzkości.“

Próba podobna ujęcia *ogólnego* opracowanych dotąd częściowo dociekań naszych,¹⁰ nie mogła, oczywiście, obejść się bez dotknięcia tej *pełni* cech ludzkich, która stanowi przedmiot badań nietylko „pozytywnych“ ale i „metafizycznych“. Wymagała tego poprostu *realna* strona zadania, zapoznawana z konieczności w studyach, wyłącznie pod względem metody swej jednostronnych i zadających przeto gwałt sferze, czy to subiektywizmu, czyli też obiektywizmu człowieka, a niekiedy obu tym sferom zarazem.

Mniemając, że obiektywizm jest w zasadzie łącznikiem psychicznym *człowieka zbiorowego*, subiek-

tywizm zaś, *człowieka-jednostki*, z otaczającym go światem, wyszliśmy z założenia, że, obcując tu zarówno z jednym, jak z drugim, winniśmy połączyć obu tych ludzi i swoiste ich sfery psychiczne odpowiednim pomostem *syntezy*.

STudyum niniejsze powstawało stopniowo w ciągu ostatnich lat siedmiu,¹¹ które, następując w ślad po wstrząsającym okresie rewolucyjnym 1904–1907 r., przyniosły z sobą tak wiele nowych doświadczeń. Oba te okresy i połączone z nimi przeżycia stały się zarodnią myśli, które składamy tu przed czytelnikiem.

*Warszawa,
dnia 15 lipca 1916 r.*

AUTOR.

Część pierwsza.

C Z Ł O W I E K.





„Co wam w ciemnościach mówię,
„powiadajcie na świetle: a co w ucho
„słyszycie, opowiadajcie na dachach”.
(MAT. X. 27).



le potrzeba długich wywodów na to, by stwierdzić, że, podobnie, jak wielki, a tembardziej nadmierny wysiłek w jednym kierunku prowadzi do zmniejszenia siły w kierunkach innych, tak też to, co nazywamy potocznie postępem, t. j. doskonaleniem się rozwoju, ulegać musi, jeśli idzie o pełną (*sit venia verbo!*), a choćby tylko szeroką w swej rozmaitości, skalę zjawisk życia, odpowiednim wahaniom: ruchom „postępowym“ i „wstecznym“.¹

Wiek XIX i początki naszego stulecia zaznały się w dziejach świata rozwojem olbrzymim ludzkości w kierunku techniki nie tylko mechanicznej w znaczeniu przemysłowym, ale politycznej i społecznej. Są to rzeczy tak już powszechnie uznane, a óczywiste, że ich dowodzić ani uzasadniać nie potrzeba. Ludzkość zrobiła w kierunku

pomienionym krok niebywały, umożliwiając sobie egzystencję własną, pomimo wzrastającej wciąż prokreacji, a nawet, jak chcą niektórzy, zwiększając skalę szczęśliwości powszechnej.

Na razie ostatnie to twierdzenie, tak rażąco pod względem psychologicznym błędne,² pozostawimy bez dłuższej odpowiedzi i zapytamy, w myśl wyrażonego tu założenia: gdzie jest ów teren życia, który, poza mechaniką, techniką, polityką państwową i społeczną, a wreszcie nauką, zjawiskami tak bardzo w czasach ostatnich postępowymi, musiał je w danym przypadku okupić?

Sądzę, że nietrudno będzie odkryć go w... człowieku samym, w pokładach głębszych własnej jego jaźni: w sferze, którą wciąż jeszcze za przykładem przeszłości, acz już tylko i to coraz bardziej konwencyjonalnie, mianujemy najgodniejszą dostojeństwa naszego, sferą ducha.

ALe cóż to jest właściwie „postęp“ w najbardziej namacalnych zjawiskach wszechbytu, którego człowiek i ludzkość są jednym tylko ogniwem? Czy może istnieć „postęp“ w znaczeniu wiekui-stego, a choćby tylko równego okresowi trwania ludzkości, posuwania się człowieka w pochodzie *ad astra*? Czyli też może „postęp“ zamyka się tylko w ramach poszczególnych pod-okresów bytowania ludzkości, podobnie jak celowość, jakoby

wyraźna w części rozwoju danego zjawiska, stanowi zagadkę, dla umysłu ludzkiego nierozwiązalną, w stosunku do danej całości, a za nią: do wszechświata?

Jeden z myślicieli naszych pisze:³

„Lester Ward w dziełach swoich z wielką „skrzętnością kładzie wszędzie nacisk na rozwój „*rozumu ludzkiego* i na fakcie tym buduje nadzieję „coraz doskonalszej struktury państw, coraz to „doskonalszego rządu się ludzi.

„Ale czy *uczucia* ludzkie wykazują takież sam „rozwój postępowy i takież doskonalenie się, jak „rozum? Czy na polu uczuć ludzkich osiągnięto „takie ulepszenia i udoskonalenia, jak na polu „techniki i mechaniki? Czy wiek XX, wiek „żelugi napowietrznej i telegrafów bez drutu, nie „zna już rozlewu niewinnej krwi ludzkiej?

„Czy «miłość bliźniego» w wieku XX po Chrystusie poczyniła wielkie postępy? I czy postęp „ten może się mierzyć z postępem, jaki zaszedł np. „pomiędzy lektyką starożytnych Rzymian, a dzisiejszym automobilem?...”

Usiłujmy wyrozumieć te zagadnienia, równie nieśmiertelne, czy śmiertelne, jak samo życie!

POzostawimy na razie sprawę teleologicznego, celowego postępu ludzkości, wkraczającego w sferę wielorakiej metafizyki, na uboczu i po-

mówimy o tem, co się naogół, konwencyonalnie, „postępem“ mianuje, a co jest właściwie przechodzeniem zjawisk z jednego stanu w drugi w toku niezbadanych kolei wszechrozwoju, czy wszechruchu życia.

Na tle krótszych okresów czasu może nam tu dostarczyć materiału odpowiedniego historia, a nade wszystko semazyologia, jako źródło pierwszorzędne poznawania rozwoju pojęć moralnych.⁴ Wszelako, jeśli chodzi o t. zw. *zjawiska przelotowe*, o momenty przeobrażeń potężnych w dziejach człowieczeństwa, przeobrażeń tak zasadniczych i doniosłych, że ich na tle dociekań lingwistycznych, czy dziejów, mniej lub więcej znanych, w granicach zbyt krótkiego w danym przypadku okresu kilku tysięcy lat, w sposób namacalny stwierdzić ani określić niepodobna, winniśmy sięgnąć do najbardziej odwiecznej z ksiąg człowieczych, do *psychiki ludzkiej*, by nam zagadki takie wyjaśniła.

Podniesiemy tu dla przykładu fakt ciekawy, wychodząc z założenia, że *nawyknienie*, t. j. przystosowanie się do pewnych warunków bytu, powołuje do życia w każdym ustroju odpowiednie cechy.

Człowiek żył niegdyś w *stadzie* przez okresy niezmierzone:⁵ wszystko przez nie widział (*a*) i przez nie działał; później byt jego uległ przeobrażeniu zasadniczemu: *indywidualizacji*⁶ (*b*), której początek ginie również w mroku wieków. Faza

pierwsza, stadna, powołać musiała w nim do życia cechy odpowiednie (a_1), których z kolei nie może mu poskąpić i faza druga (b_1). Aliści, dziś jeszcze, po długim od ustania bytu stadnego (a) szeregu wieków, ludzie, tkwiący już umysłem, a niekiedy i pełnią swej świadomości w następnej fazie rozwoju (b), t.j. pojmujący np. dokładnie, że masa ludzka składa się w swej olbrzymiej wielkości z typów o wiele od nich niższych, a nadto, że zespół gromadzki, stadny tych typów, tłum,⁷ przedstawia wartość bodaj od nich samych niższą, coś niemal niegodnego (*sit venia verbo!*) uwagi filozofa, ludzie ci, odczuwający niewątpliwie, a nieraz głęboko, własną, bezwzględną wyższość swoją, nie zaspokoją się, mimo to, w pełni uznaniem ze strony doskonalszych od siebie, lub równych sobie, lecz nielicznych typów wyższych i zawsze jeszcze odruchem, bez względu na wszelkie *zaprzeczenia*, potężnym (a_1), łaknąć będą poklasku nietylko mas ludzkich, ale, i to bodaj najnamiętniej, porywów rozigranego tłumu: chwalby najwyższej ze strony przedawniającego się już w rozwoju, lecz nieprzedawnionego jeszcze w życiu, majestatu stada!

Mimo to jednak, a może tembardziej właśnie, nie należy gardzić faktem *zaprzeczeń*, o których tu mowa: Są one bowiem odruchem i zarodzią, na razie wątlą i dlatego podziśdzien jeszcze na poły kłamliwą, nowego stanu psychiki ludzkiej (b_1), biorącego przyszłość w swe posiadanie.

Formuła „postępu“ brzmiałaby przeto, jak następuje:

$$a : a_1 = b : b_1 ; b_1 = (a_1 \cdot b) : a$$

A Le w ten sposób przedstawia się tylko strona *zewnątrzną*, psycho-mechaniczną, że ją tak nazwiemy, postępu ludzkości, oraz jego osi: stosunku jednostki do zbiorowiska.

Cóż jednak kryje się *poza* nią?

Głębia *wewnętrzna* psychiki człowieczej, *dusza*, będąca formułą rozmaitego u różnych ludzi stosunku do Nieskończoności: *do Boga*.

Czy wątpimy, że krople wody sączyły się tak samo przed tysiącami lat, jak dzisiaj?

Dlaczego?

Bo w procesie tym widzimy tylko i wyłącznie „martwe“ prawo natury. Nie dostrzegamy, ani, co ważniejsza może, nie odczuwamy w nim zmiany stosunku jego do ducha;⁸ nie sądzimy ani na chwilę, iżby proces sączenia się wody polegał na stopniowym i coraz głębszym, jak w człowieku, uświadamianiu sobie tej siły przepotężnej a niepojętej, którą nazywamy Stwórcą.

Czy nie trafiliśmy tu przypadkiem w stare jak świat, a wiekiuście żywotne, choć zapoznavane dziś tak powszechnie, sedno rzeczy?

Mógłby ktoś na to odpowiedzieć, że jest to punkt widzenia, a bardziej może odczuwania, czysto podmiotowy.

Niewątpliwie.

Pytanie tylko, czy obiektywizm materialistyczny zdoła odeprzeć należycie krytykę ze strony *pełnych*, a więc i subiektywnych władz człowieka, nasuwającą się tu z siłą żywiołu?

Miesięcznik paryski, *Mercure de France*, ogłosił był, mniej więcej przed dziesięciu laty, ankietę, skierowaną do myślicieli i uczonych świata, a zawierającą pytanie:

Assistons-nous a une disparition ou a une evolution du sentiment religieux?

Większość olbrzymia, bo niemal wszystkie odpowiedzi, oświadczyły się za ewolucją.

Filozofowie mieli rację, a potwierdził ją wszczęty na Zachodzie i rozwijający się tam coraz bujniej odpowiedni ruch umysłowy. Wzięto się raźnie do pogłębiania przesłanek wiary: do rewizyi i dyktowanej przez ducha czasu interpretacji jej podstaw religijnych (modernizm).

Wszystkie te objawy, to zjawiska *fali powrotnej*, która ufnym w swą gwiazdę mędrcom „z szkiełkiem w oku“ wydawała się już niecofnioną.

A jednak przyszła, by pograżyć i ich także, zwykłą rzeczą koleją, w muł ziemi..

Wszelako, nie chodzi nam tu o prorocтва; stwierdzmy tylko, że fala ta, jak każda wogóle reakcja, idąca za akcją i odwrotnie, posiada, wzo-

rem wszelkich zjawisk, dwa oblicza, t. j. istotę swą wewnętrzną i jej objawy zewnętrzne.

Istotą jest tu rwący się z więzów materializmu duch uciśniony, *objawem* dostrzegalnym — zespół środków działania ze strony służących mu szermierzy. Istota, walka ducha z materią, jako zasadniczy a stały w kolei wieków prąd rozwoju, tak czy owak spełni swoje zadanie; co zaś do objawów zewnętrznych tej walki, to trudno oprzeć się uwadze, że mamy tu, jak zawsze i w każdym przypadku podobnym, do czynienia z usiłowaniem narzucenia przez działaczy „ja“ swojego, subiektywizmu, czy subiektywizmów własnych, otoczeniu; innymi słowy, z dążeniem do możliwie powszechnego uogólnienia poczuć i poglądów indywidualnych: do *zobjektywizowania* wierzeń *subiektywnych*.

Jeżeli jednak walka jednostki z masą, zawsze mozolna i trudna, staje się względnie łatwą wtedy, gdy chodzi o sprawy porządku bardziej powszechnego w rodzaju $2 \cdot 2 = 4$, to niezawsze można rokować jej rychłe zwycięstwo, gdy idzie o narzucenie bliźniemu duszy własnej, będącej, jak nadmieniliśmy, formułą swoistą stosunku danej drobiny do Boga.

Wspiera wprawdzie człowieka w tem zadaniu istota fali rzeczonyj, spowita w prąd czasu, ale nie bezwzględnie: jest bowiem rzeczą wiadomą, że przystępność, nie pozorna, lecz realna i mo-

źliwie trwała, rzucających w masy hasła, ma się w stosunku prostym do ich wartości materialnej, w odwrotnym zaś do głębi ich treści duchowej, a choćby tylko intelektualnej. Im wyższych dotykać będziemy kręgów rozwoju, tem więcej stosunkowo znajdziemy tam subiektywizmów, indywidualności samotnych, izolowanych i, odwrotnie: im niżej zstępować będziemy na padole, tem silniej otoczy nas obiektywizm, coraz bardziej ogólny i zwarty.

Przeciwstawiliśmy przed chwilą treść duchową treści intelektualnej, ducha intelektowi: wartości, których granice, zacierane skwapliwie przez materializm, znikły niemal zupełnie na tle pojęć ostatniej doby.⁹ Trudność odpowiedniego wysłowienia się na dany temat jest niemal, a może i zgoła niepokonalna, leży bowiem w samej naturze języka, będącego środkiem *powszechnego* porozumiewania się ludzi pomiędzy sobą: narzędziem klasycznym obiektywizmu bez skazy. Powszechność „doskonała“ to, jak wiadomo, antypody najniższe najwyższych kręgów poznania. Pozostaje nam tedy, jak gdyby nie dzieliło nas od epoki powstania Ewangelii jedno okamgnienie, obrazowe wysławianie się, *przenośnia*. Aliści, w charakterze tej ostatniej, podobnie, jak w naturze każdej transmisji, leży, mimo wszelkich pozorów, to przede wszystkim, że *nie* pompa wydaje wodę, lecz: *źródło*. To też wyraz wyładowań psychicznych, po-

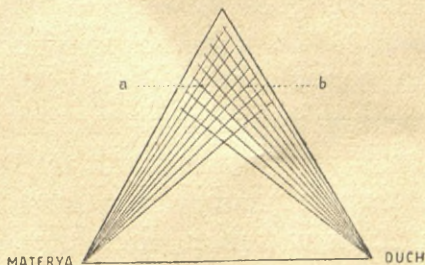
wstających w gronie słuchaczy jednej i tej samej przerośni, jest równie różnolity, jak różnolita jest treść wewnętrzna jednostek, składających owo grono. W Ewangeliach przemawiają szczyty natchnień duchowych: jakże inaczej słuchać ich będą, pogłębiać się lub utrwać na stanowisku swoim, działać w ich kierunku, albo zwalczać je za wzięcie, Voltaire czy Nietzsche, św. Augustyn, czy św. Franciszek z Asyżu, zbój popolity, ksiądz Baudouin, oracz Izydor, czy pasterze z Betleemu — wszyscy i każdy z osobna, bez względu na życiowe stanowisko swoje i zasoby intelektualne, lecz tylko i jedynie w myśl własnej głębi, lub własnej płytkości duchowej!

A pełnia ich puścizny również tylko *prawym* ich potomkom dostać się może: *Ktoć z Boga jest, słów Bożych słucha. Dlategoż wy nie słuchacie, że nie jesteście z Boga.* (Jan VIII, 47).

DUcha i materii, nie znając ich istoty, niepodobna nam nazwać wręcz tezą i antytezą, jakkolwiek skłaniałyby nas ku temu subiektywne poczucia nasze. Wszak conajwyżej możemy odczuwać je w synbiozie, którą jesteśmy sami, a której rozwikłać nie potrafią najwyższe nawet i najszczytniejsze wysiłki umysłu ludzkiego. Mimo to jednak łatwym jest względnie spostrzeżenie, że istnieją jednostki mniej lub bardziej uduchowione

i zmateryalizowane, oraz, że stany te stanowią w świecie jakby dwa bieguny bytu człowieka. Jeżeli na jednym z nich umieścimy koncepcję dziejową św. Franciszka z Asyżu, a na drugim okaz krańcowy *bête humaine*, uderzy nas zjawisko, że różnorodność olbrzymia znanych nam bezpośrednio, czy też odtwarzanych przez historię, typów ludzkich, grupuje się, zależnie od cech swoich, w jednym lub drugim kierunku. Większość, jak we wszystkim, stoi w środku, stanowiąc typ przeciętny, będący wyrazem zespołu wpływów obu biegunów rzeczonych.

Gdybyśmy wyobrazili sobie w człowieku porządek jednakowy ducha i materji (a skłania nas do tego system nasz myślowy) i gdyby nam kazano *odczucie* to przedstawić graficznie, wywiązałibyśmy się tak z tego zadania:



Należy przytem zauważyć, że im dalej w kierunku rozbieżności promieni ducha czy materji

umieścimy punkt danej jaźni, tembardziej będzie on od sąsiednich promieni pokrewnych oddalony. To też, zarówno wysokie umysłowo kategorie dociekania (np. filozofia), zbliżone do punktów *a*, jak szczyty natchnień duchowych w rodzaju „Wyznań“ św. Augustyna (punkty *b*), stanowią wyżyny, od właściwego im otoczenia w stosunku prostym do wzniosłości swej izolowane. Owa zaś *splendid isolation* o tyle tylko wywierać może ożywczy wpływ bezpośredni na swe środowisko ludzkie, o ile promieniuje nietylko ku własnym swym wyżynom, ale i wstecz: przez wysiłek myśli swej i trudu, przez przykład życia, darzy wytworzonym przez się „chilusem“ tych, którym samodzielnie równie wysoko wzniesć się nie było dano.

Tymczasem zwróćmy się ku wyżynom.

O Tacza nas świat tajemnic, systemy drobin i planet bez początku, miary i końca, systemy w nas i poza nami, ujęte w ramy wieczności, co do której niepokoju świadomość naszą nie samo jej istnienie, lecz jej własny do niej stosunek. Świadomość ta pragnęłaby objąć i ogarnąć wieczność sobą i zawrzeć ją w sobie: chciałaby stać się jej podmiotem, Bogiem, podczas, gdy sama jest pochłonięta przez nią, jest jej szczegółem drobnym, jej przedmiotem, jednym z niezliczonych, a najprzeważniej nieznanym nam zgoła.

Czemże wobec tego jest życie?

Bańką na powierzchni tajemnic, a kolejność jego w pokoleniach, kolejnością baniek, powstających i znikających, jedna po drugiej, na szybie otchłani.

A wśród tego każda drobina atomu, każdy kołos planet dąży do *przetrwania*.

I czyż może być cośkolwiek godniejszem człowieka nad to, że prąd ten *odczuwa*: że żyjąc i chcąc żyć nie samym tylko chlebem, życie swe zdolen jest opromienić wielkich tajemnic instynktowym odczuciem i tchnieniem?

Wychodząc z takich założeń, nie trudno jest stwierdzić, że istotą wszelkich zabiegów ludzkich jest *dążenie do nieśmiertelności*, rozmaicie, bo na różną skalę pojmowanej, zależnie od widnokręgów, jakie towarzyszą człowiekowi w życiu. Dąży on do nieśmiertelności i, jak dziecię wzór niedościgły, usiłuje, najczęściej nieświadomie, naśladować i odzwierciadlać ją naokół siebie. Przeziera to, nawet w świecie powszednim, zarówno z najwzorniejszego przygotowywania sobie pogrzebów własnych przez prostaków, z zabiegów ludzkich o zapewnienie sobie epitafiów i nekrologów na wyższych szczeblach bytu, a biografii, kronik, czy historyj na najwyższych, jak z wszelkich naogół, istotnie *sub specie aeternitatis* poczynanych *ex ungue leonem*, jakby w przewidywaniu instynktowym, że sam tylko pierwiastek trwały, iskra nieśmiertelności, uczczona będzie w każdym, co widomie ją

posiadał, przez potomnych dziedziców czasu, posuwającego się w wieczności.

BEz współ-życia objawy bytu powszedniego tworzą zazwyczaj szarzyzną monotonna, bo człowiek styka się psychicznie ze światem zewnętrznym najprzeważnie, jeśli nie wyłącznie, za pośrednictwem człowieka. Innymi słowy, łącznikiem pomiędzy nim, a tem wszystkim, co nie jest nim samym, jest inny jakiś człowiek, są ludzie.

Jest tak, prawie zawsze a bezwzględnie, w rzeczywistości bytu powszedniego, nie w chwilach promiennych, kiedy człowiek oddaje się kontemplacyi w cichem skupieniu.

A jednak jest ów człowiek sobą i przeto, a mimo wszystko, potrzebuje być *sobą*: musi posiadać pewną częśćkę wewnętrzną wyłącznie dla siebie, a częśćka ta jest w nim zawiązkiem z Boga.

Myśl o bycie namacalnym, o tej czy innej jego postaci, nigdy skarbem takim być nie może, albowiem bywa zawsze częścią, splotem czy cieniem nieznaney do głębi jaźni cudzej, zpoza której wstaje on — człowiek drugi.

Tylko *modlitwa kontemplacyi*, idąca z głębin otchłannych, daje człowiekowi to, czego tak skwapliwie a daremnie poszukuje w życiu: daje mu świat zaczarowany a cudny rozkwitu własnej jego jaźni i jedna tylko wielka, przeogromna miłość,

unicestwiająca „mnie“ dla „niego“ czy dla „niej“, na wyżynie modlitwy takiej stanąć może. Boga—wszechdoskonałość i wszechpotęgę harmonii dobra i spokoju, lepi modlitwa-miłość w człowieku i ponad nim, niby kopułę mistyczną z kwiatów własnego jego istnienia, urabia Go na modłę od-czuć jego własnych, wiąże z bezcielesnymi cienia-mi tych, co stali się już własnością jego wyłączną: częścią świata, czy światem bez początku i końca, dążącym z siłą żywiołu w dal swego trwania, jak nieskończoność.

Wszystko — bezwzględnie wszystko stwarza tam człowiek z siebie i w sobie, jak sam najwyższy, bez-kresny jego Bóg, z Którym i w Którym zlało się doszczętnie wszelkie a najwyższe jego umiłowanie.

I nie potrzebuje już ów człowiek *wierzyć* w żywot wieczny, bo wszelka wiara łączy się z wątpieniem. On już nie „wierzy“, on *wie*, że jest nieśmiertelnym: osiągnął cud najwznioślejszy obcowania z Bogiem, modlitwa stała mu się życiem, a życie modlitwą.¹⁰

Bóg, w samotności pogrążony, przemówił do niego Swą mową: *Ale ty gdy się modlisz, wnijdź do komory swojej, a, zawartszy drzwi, módl się Ojcu twemu w skrytości; a Ojciec twój, który widzi w skrytości, odda tobie.* (Mat. VI., 6). I stała mu się jasną potężna Jego wola i człowiek — pył stworzenia, poczuł się nagle odbiciem źródeł świata: pojął, że on sam, będąc sam przez się niczem, pia-

stuje w sobie obraz i podobieństwo Boga... I natchnęła go siła wielka i moc i wytrwanie w pracy na danym mu posterunku—dla innych, a pełną spokoju jaźń swoją zawarł w samotnem skupieniu, czując, że nie posiada ona mowy, godniejszej nad — czyny.

Dawniej zbierali swe siły ludzie tacy na puszczy, zdała od zgiełku świata; dziś, jakkolwiek życie ich płynie nieraz linią łamaną sfer ducha i ciała, dano im już zrzadka, choć patrzą na marność, nie widzieć ich odbicia — w sobie. I, działając pod przewodem napęliwiającej ich siły, stają się powolni jej rozkazom, nie przypisując ani na chwilę czynów swych własnej zasłudze. Nie wie ich ręka lewa, co czyni ich ręka prawa, a nie wie choćby dlatego, że obce im jest zawsze i wszędzie poczucie swego, zwężonego przez krótkowzroczność, „poświęcenia“...

Wiara dlatego jest, była i będzie potęgą niezmożoną, ogniwem wiekuistym związku człowieka z nieśmiertelnością, że stanowi wyraz wiecznotrwały boskiej potrzeby, boskiego namaszczenia jego jaźni, dążącej do odbicia w sobie nieskończoności, spojenia się z nią w jedną nieogarnioną całość i zawarcia w niej — świata. Jest to jakgdyby powtarzanie się w procesie ontogenetycznym walk ducha ludzkiego z materią—cudownej a tajemniczej filogenezy wszechstworzenia. A proces ten odbywa się jednostkowo, indywidualnie,

bo, w chwilach najwyższych swych napięć, bez pośrednictwa cudzego. I podobnie, jak *Jeden* jest Bóg w nieskończoności swych objawów, tak *je-den* jest, mimo wielości swego gatunku, człowiek, w chwili, gdy zbliża się do Niego. A wielkie to poczucie odbija się w najbardziej nawet prosta-czej i naiwnej, lecz płynącej z wiary żarliwej, po-ezyi nieba. Poeta, odtwórca wizyi na jego temat, skupiający w sobie wszystko na ziemi przeżyte i umiłowane, nie przebywa tam w gronie dawnych swych towarzyszy. Napawa się sam bytem swym nieśmiertelnym, spoglądając zdala ku swoim i bło-gosławiąc im z wyżyny. Rozkoszuje się pieniami aniołów, którzy, służąc Bogu, pieczęcią *własne* je-go ucho. Wszystko staje się tam napięciem naj-wyższym „subiektywnej“ jego rozkoszy, jest nie-podzielną jego własnością przez wieki.

I nagle, upadłszy na duchu, przestano wierzyć w to *jedynie prawdziwe niebo*, stwarzając natomiast fikcyę potworną „objektywnego“, zatruwającego wszystkim życie, raju społecznego, niby nawrót do kopalnych przesłanek *stada*.

Fikcyę ta nie zburzy *wiary*. Może ją tylko wy-olbrzymić pod bodźcem tragizmu rzeczywistości. Bóg-raj jest, był zawsze i będzie „we mnie“ je-dności, nie zaś w wielości „naszej“, która, do-piero gdy stanie się, jako „ja“, zbliżoną do Bo-ga, zapanować może na ziemi, jako *jakość* odmien-na—Królestwo Boże.

I gdyby istniał na łonie świata jeden tylko człowiek pełny—on—jego jaźń—zwierciadło wszechrzeczy,—najgłębsze a wierne odbicie tego, o czem tu mowa, stałyby się *sicut Deus, scientes bonum et malum*.

Chrystus, w przeciwstawieniu do urabiających organizację stadną twórców „Zakonu“, otwarł wewnątrz *jednostki* i, nie burząc wielości bytu ludzkiego, natchnął jaźń człowieczą mocą jej indywidualnego związku z Bogiem: *Nie mniemajcie, abym przyszedł rozwiązywać Zakon, albo proroków: nie przyszedłem rozwiązywać, ale uzupełnić*. (Mat. V., 17).

Nie do was lecz do ciebie zwraca się Chrystus, nauczając: *Będiesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkich sił twoich i ze wszystkiej myśli twojej, a bliźniego twego, jak siebie samego*. (Łuk. X., 27). A wołanie to—przenajpotężniejsze z tych, jakie kiedykolwiek przedarły się przez wargi ludzkie w głąb tajemnicy istnienia. Znaczy ono bowiem: Niechaj świat cały będzie „mną“ — takim, jakim byłem, jestem i będę w poczuciu mojem bezkresnej prawdy „ja“ mojego, od wieków po wieki związanego z Bogiem...

Jeżeli kto pragnie, niech do mnie przyjdzie, a pije. Kto wierzy we mnie, jak Pismo mówi, rzeki wody żywej popłyną z żywota jego. A to mówił o Duchu, którego wziąć mieli wierzący w niego. (Jan VII., 37—39).

*R*Zeki wody żywej, puszczone na koła jaźni człowieka pełnego, uskrzydłają jego psychikę w kierunku najwyższym: odróżniania ziarna od plewy, rzeczy wiecznych od przemijających, nieśmiertelnych od marnych, „dobra“ od „zła“, czasu, związanego węzłem jego umysłu z przestrzenią, od nieskończoności... Jego intelekt, mechanizm syntetyczny zmysłów, służący wyłącznie tym ostatnim na nizinach ducha, opanowuje je sprawnie tam, gdzie panują ducha wyżyny przezrocze.

Pójdźmy na chwilę górnym ich szlakiem!

Dostrzega zeń człowiek naturę umysłu własnego — wyraz syntezy swych zmysłów: intelekt — w sferze materii, jak lew pewny siebie, potężny i dumny, a w sferze ducha tak bezsilny, cichy i niemy, jak dziecię, co stanęło z palcem na ustach u skalistych wrót morza... I chochy krzepki wiek męski miał mu później upływać wśród lądów, którym ocean, mający je z czasem pochłonać, wydałby się tylko wcieleniem odstępstwa i zdrady, widzenia swego nie zapomni nigdy, jakkolwiek daremnie będzie szukało dlań — *słowa*. A jeśli je znajdzie pozornie i w wyrazie śmiertelnym zarzeczce rzeczy wieczne, uczyni jak ten, co zespolił na monumencie kwiat cięty z granitem i szpizem.

Intelektem rozważać można to tylko, co ze sfery jego powstało; *czuciem*, co jest z czucia. Jedni idą za pierwszym, inni za drugim, ufnie w swych

przywódców. Jeżeli jednak pierwsi wahają się nieraz i dręczą, drugim obcy jest lęk i zwątpienie. Ci zaś, którym obie władze są dane, pierwszą uważają za marność, drugą za ostoję, a próba człowieczeństwa każdego z tych typów zawiśla nietyle od rodzaju, ile od stopnia jego zestroju z Bogiem.

Ale cóż dalej dostrzega człowiek z górnego szlaku?

Czas i przestrzeń jawią mu się jako odbita we własnym jego umyśle synteza toczących się kolejną czynników przewagi życiowej pierwiastków materialnych nad duchowymi. Natchniony działaniem tych ostatnich, stanął mocną stopą w ocenie istoty zjawisk na gruncie nieskończoności, nieznającej podobnego ograniczenia. I ujrzał przed sobą, ów wędrowiec z poza czasu i przestrzeni, drogę bez przeszkód, wiodącą w głąb ducha.

A spostrzegł z niej przede wszystkim i odczuł do głębi, że „wszystko płynie“. Pojął, że piskłę, dla którego gniazdo jest światem, może pragnąć i dążyć do stworzenia w nim rajy pełnego dla siebie. Dojrzał, że ptak szersze ogarnia widnokręgi, a człowiek pełny jeszcze rozleglejsze i coraz dalej idące horyzonty skupia w świadomości swojej, nie zakreślając im miary, ni końca... Nietylko *wie* on, jak wszyscy, ale *odczuwa* nadto całą swą istotą, że byt jego obecny, zarówno subiektywnie, jak obiektywnie, jest, bo być musi,

jednym tylko okresem niezliczonych momentów istnienia. A skoro się prawdą tą przejmie do głębi, pogląd jego na życie musi uleść zmianie, bo przywiązanie nadmierne do danej formy bytu to-wnieje w świadomym sobie strumieniu πάντα ῥεῖ, a ska-ła nieskończoności pochłania drobne, znikome wy-miary. I w duszy człowieka tego świta promień ogarniającego wszechświat słońca:

— L'amor che muove il sole e l'altre stelle...

(Dante, *Commedia, Paradiso. XXXIII, 145*).

Dziką miłość momentu życia — istotę *zła* — za-
stępuje w nim *dobro* — istota nieskończoności: kult
tchnień nieśmiertelnych treści wiekuistej, panują-
cej ponad zmiennością form wszelakich...

Sub specie aeternitatis istoty dobra i zła, to ni-
by pra-treść i pra-forma stworzenia. Kategorją
pierwszej to droga ducha, „absolutu“ treści, nie
dającego się pomyśleć w formie określonej; dru-
giej — droga materii, „absolutu“ formy, nie dają-
cej się pomyśleć bez treści, gdyż niepodobna nam
wyobrazić sobie nicości. Źródła dobra odczuwa-
my w nieśmiertelności ducha, a źródła zła w wie-
czności materialnej istnienia. Odczucie ducha
i płynące zeń dobro zachowują się wobec materii
odśrodkowo, odczucie materii i płynące zeń zło —
dośrodkowo. Im bardziej zło ma być potężnym,
tem większego szuka uposażenia w materii; od-
wrotnie zaś, im szczytniejszem bywa dobro, tem-

bardziej od niej stroni. Zasada dobra zlewa się z istotą ducha i nieśmiertelnych jego tchnień; zasada zła to dyament w koronie marności.

A Le ocknął się człowiek pełny z kontemplacyi i wzrok swój zwrócił ku padolom, gdzie uderzył go w świecie ludzkim bliźni, borykający się samotnie i gromadnie z trudem istnienia. Ból jego przeniknął go do głębi — umarł dla świata, a własna jego istność stała się już tylko troską o powszechne dobro.

Zaczął od myśli o Bogu i dostrzegł, że wielu — jakżeż wielu ludzi: tych nawet, co wymawiają gorliwie Imię Jego, nie „wierzy“ w Jego istnienie. Pojął, że niepodobna im *wierzyć*, skoro Go nie *czują*, albowiem powiedziano jest przeopatrnie: *Próżno mnie chwalać, ucząc nauk i rozkazań ludzkich.* (Mat. XV. 9).

I widział jednych, co *intelektem* usiłują skruszyć tajemnicę swych przeznaczeń; innych, szamocących się na granicy, jaka pomiędzy nim — królem zmysłów, a tchnieniem z ducha zawisła; widział prostaków, tkwiących między pokusą zwierzęcia a strachem mąk zagrobowych; widział innych, ciu-lających ze skrzętnością skąpca środki zbawcze dla nienawidzących bliźniego, własnych dusz umiłowanych; widział krótkie chwile szczęścia i długie, mroczne godziny niedoli; widział anachore-

tów, uprawiających wewnątrznie, zdala od świata i bez względu na cierpienia jego, własne swe udoskonalenie; widział nędzę i pożądanie, użycie i przesyty, pogoń za złotem celową i bezcelową; widział radość z jego zdobycia i rozpacz z utraty; widział „silnych“ i „słabych“, „złych“ i „dobrych“ — widział wszystko, prócz królestwa ducha, z którego szczytów spływały słowa: *Kto miłuje duszę swą, traci ją: a kto nienawidzi duszy swojej na tym świecie, ku wiecznemu żywotowi strzeże jej.* (Jan XII. 25).

I pojął, że ludzie, bez względu na swe klasy społeczne, są różni: że nie tylko formy zewnętrzne ich bytu, ale i wnętrza ich nie są jednakie, podobnie, jak nie jednako oświetlone są promieniami słońca postacie wędrowców, wspinających się tak i owak ku górskiej przełęczy.

Dostrzegł, że ich pochodem kierują pewne prawidła; zapragnął przyjrzeć się im zbliska, ufny, że jak we wszystkim, tak i w nich także, w ich głębi i sensie najwyższym, tkwić muszą dla przyszłości wędrowców, bez względu na panujący wśród nich jęk i pogwar, chaos i zwątpienie, przesłanki wielkiej nadziei.

Zachowane podziśdzień w pokładach wysoko nawet wyrobionej psychiki ludzkiej ślady jej pierwotności głębokiej, tak są jeszcze wymowne i uderzające, że wątpić niepodobna, zarówno z punk-

tu widzenia semazyo,¹¹-jak i psycho-logii, nietylko porównawczej w znaczeniu etnologicznem, lecz i introspekcyjnym, o psychiki tej rozwoju stopniowym.

— A bodaj-eś przepadł! (skoro mi krzywda)—
powiada prostak do prostaka.

— A bodajby świat runął! (skoro ja cierpię)—
myśli niekiedy człowiek cywilizowany.

U podstaw zasadniczych tego zjawiska, głębszych może niż pokłady animizmu, co dały życie olimpom i płynącemu z nich poczuciu potrzeby obsługi dla zmarłych na tamtym świecie — jęczy echo mordy jeńców, kobiet i rumaków na grobie wojownika...

A jeśli dalej spostrzeżenie to zechcemy rozwijać, przyjrzyjmy się cechom psychiki cierpienia.

W pewnych rodzajach bólu fizycznego sprawia człowiekowi ulgę — niszczenie; w bólu moralnym, widok cudzego cierpienia: analogie wcale niedwuznaczne.

Nie zapuszczając się w epoki kopalne, lecz porzostając na przesłankach, czerpanych z historii, stwierdzić możemy, że dawniej człowiek władny folgował sobie nieraz w obu kierunkach rzeczonych, tworząc *ad hoc* męki i zniszczenie. A kto wie, iżali śmiech serdeczny a szczery, będący wyrazem lubego sharmonizowania się subiektywnego ze światem, nie wskaże nam źródła, jeszcze bodaj głębszego, rzeczonych zjawisk?

Widok cudzego cierpienia napawa człowieka pierwotnego, a poniekąd i dziecko dzisiejsze, takim właśnie śmiechem, objawem niekłamanego zadowolenia.

Ale gdzież leży wszystkich tych zjawisk, rozważanych razem, źródło najgłębsze?

Jest nim niechybnie, grube jak popęd rozrodczy, a zbliżone doń zasadniczo, prawo natury, dające się sformułować jako wrodzony każdemu stworzeniu: nakaz strzeżenia swego „ja“, bronienia t. j. przystosowywania go, *per fas et nefas*, do środowiska, czy—odwrotnie—środowiska do danej, właściwej owemu stworzeniu, *formy istnienia*.¹²

Broni jej tedy, jak umie, człowiek zagrożony, życząc bliźniemu swemu, czy światu, zagłady, niby dla zrównania otoczenia swojego z sobą; bronią jej u stosu całopalnego krewniacy, służba i druhowie zmarłego wojownika; broni jej, jak może i potrafi, opanowany bólem fizycznym człowiek, uprzedzający, przez siane naokół spustoszenie, zagładę własnej, zagrożonej formy bytu, a cieszy się ze śmiejącego mu się bezpieczeństwa (zagrożony tak wielorako) człowiek pierwotny na widok męki cudzej.

I jest on w tem podobny do stojącego nad grobem starca, którego myśl pierwsza na wieść o zgonie przyjaciela dałaby się podziśdzić może sformułować niekiedy w słowach: Jak to dobrze, że—on, a nie ja!...

Rozwój przyniósł atoli, w poruszonej tu dziedzinie, olbrzymie przeobrażenia. Nastroje, o których mowa, stały się dzisiaj, nawet w przeciętnej jednostce cywilizowanej, najprzeważniej krótkim jak błyskawica odruchem psychicznym, hamowanym przez późniejsze nawarstwienia. Odruchy te pozostały jakby skróttem nakazu dziejów minionych: puściżną nawyknień odwiecznych, wyrazem ontogenezy psychicznej człowieka-jednostki, będącej powtórzeniem w miniaturze odpowiedniej filogenezy rodzaju ludzkiego.

Dzisiaj już człowiek, choćby i przeciętny a prosty, nie zawsze stosuje do krzywdziciela swego środki; narzucone przez głos wewnętrzny: a bodaj-eś przepadł! Rzadziej jeszcze zapaliłby minę, pod kulę ziemską podłożoną, człowiek, który myśli: bodaj-by świat runął!

A jakże olbrzymio uduchowił się kult zmarłych i pojęcie Boga od czasu stosów całopalnych i najwykwintniejszego nawet ze znanych, olimpu Grecyi!

Człowiek, choćby i nękany bólem fizycznym do głębi, nie zawsze już miążdzy posiadane pod ręką przedmioty, a cierpiący moralnie stara się, mimo przeszywającej go błyskawicy prawieku, raczej koić aniżeli podniecać, a cóż dopiero tworzyć, cierpienia współbraci... *Śmiech* serdeczny zwierzęcia ludzkiego na widok mąk cudzych przeobraził się w uczucie współczucia czy litości, a w przypadkach potwornych, nawet *bólu* lub *wstrętu*, w jaźni

człowieka cywilizowanego, ale źródłem jego dobroci pozostaje tu nieraz jeszcze „obawa własnych cierpień, które sprawić mu mogą, dzięki współczuciu psychologicznemu, cierpienia cudze“.¹³ Człowiek wyzwała się stopniowo, przez uduchowanie, z ciasnoty pierwotnej bytu, zatracając potęgę jej umiłowania, rozkwita w szerszej skali istnienia. Na szczytach zaś swoich nie dostrzega już jej krańców i wszelka forma znana staje mu się obojętną. Zawisa więc nad światem, jak oderwany odeń duch dobra i smutku: *Dobra*, bo tylko ono go pociąga i koi; *smutku*, bo przepelnia go tęsknota za kształtem swego ideału. I on, co w stosunku do życia przestał bać się nie tylko nieszczęścia, ale nawet szczęścia samego, któreby mu kroczące w ślad za nim — tem większe ciosy znieść utrudniło; on, co pod szczerym hasłem wewnętrznym: *marność—wszystko jest marność* (Eccl. I. 2), zdołał w istności jedynej: w miłości Boga—opanować samego siebie i oddać się w całej pełni bliźnim swoim, człowiek ten, pełen poczucia swej roli, jako *narzędzia* w ręku Opatrzności, znajdzie kształt ideału swojego *dzisiaj* lub *jutro*, albowiem szuka go całą mocą swojego istnienia, a powiedziano jest przeopatrzenie: *Proście, a będzie wam dane: szukajcie, a znajdziecie: kołacie, a będzie wam otwarte*. (Łuk. XI., 9).

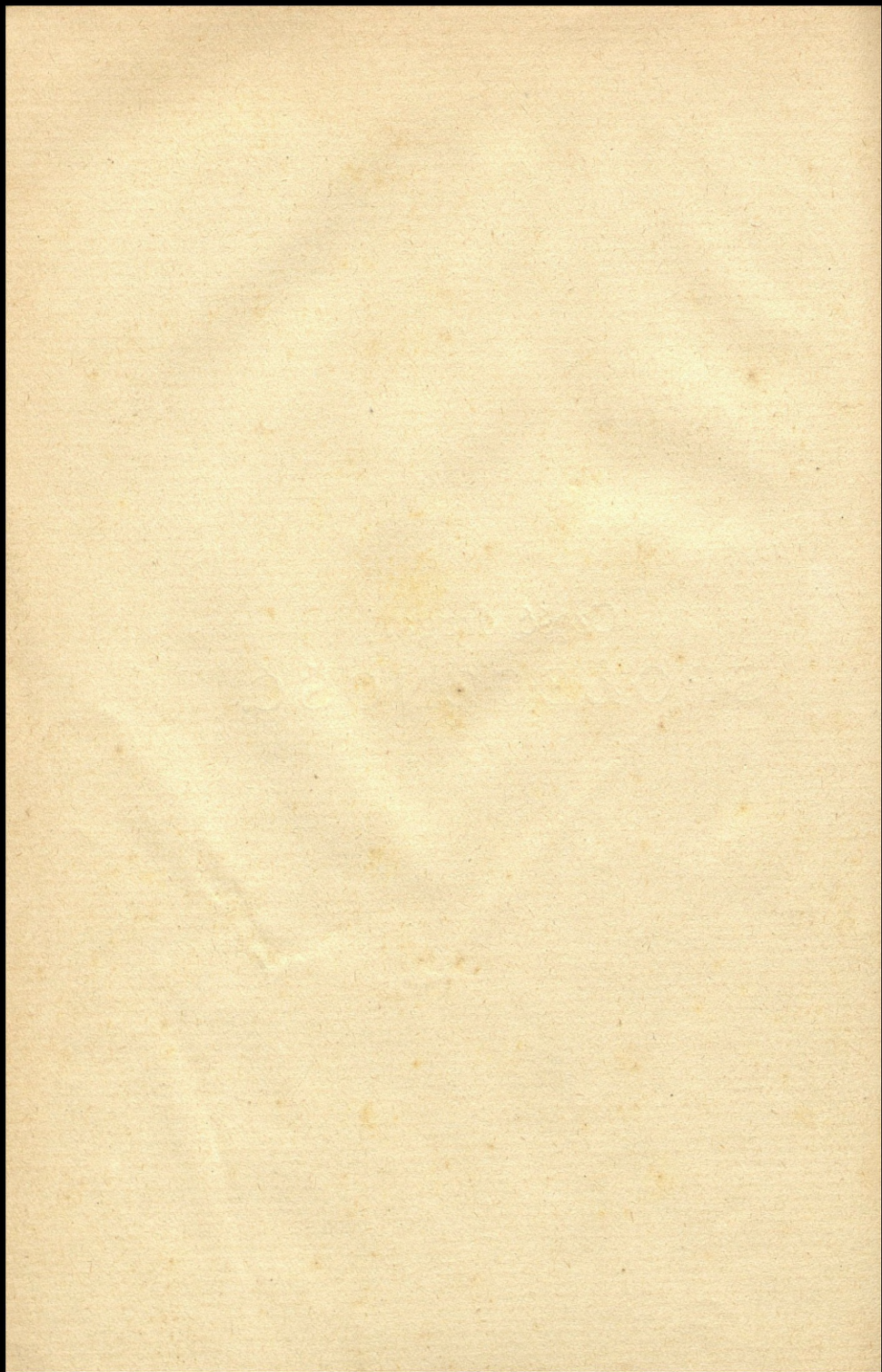
Jest to punkt, z którego *nieśmiertelność* spogląda w *wieczność*, sługę swą i niewolnicę. A *meta-*

fizyką wszystko to być może i musi (do czasu) dla tych tylko, co nie wniknęli dostatecznie w prostą a naturalną — *infizykę* człowieka:

A quella luce cotal si diventa,
Che volgersi da lei per altro aspetto
È impossibil che mai si consenta;
Perocchè il ben, ch'è del volere obbietto;
Tutto s'accoglie in lei, e fuor di quella
È difettivo ciò ch'è li perfetto.

(Dante, *Commedia, Paradiso*
XXXIII. v. 100—105).

Część druga.
SPOŁECZNOŚĆ.





*„A w Zakonie waszym jest napisane, iż
„świadoctwo dwóch ludzi jest prawdziwe.
„Jam jest, który sam o sobie daje świade-
„ctwo; i wydaje świadectwo o mnie Ojciec
„który mnie postał“.*

(JAN VIII, 17—18).



Jeżeli w takim, jak wyżej, świetle występuje strona psychiki indywidualnej człowieka-*jednostki*; jeżeli możemy, mimo wszystko, stwierdzić w niej postęp ku uduchowieniu, to inaczej może przedstawia się nam rzeczy w ramach *zbiorowości* ludzkiej: masy, gromady, czy tłumu.

Nie będziemy rozstrząsać tutaj szczegółowo, a z naszego punktu widzenia ponownie,¹ przesłanek zasadniczych ostatniego tego zjawiska. Dość będzie stwierdzić ogólnie, że, choć jednostka przedstawia się po świecie w postaci typów nader różnych, a od równości dalekich, to typ skupień ludzkich występuje podziśdzien pod względem podstawowym nader jednolicie, a istoty psychiczne tych skupień są sobie w danych formach i okolicznościach zespołu jakby równe, bo obdarzone

prostą psychiką swoistą, stojącą na poziomie człowieka pierwotnego, molekuli stada.

A jeżeli nawet istota skupień ludzkich ulega w ciągu wieków jakimś przemianom, to skala historii jest zbyt nikłą, by mózdz stwierdzić na jej podstawie rodzaj i szybkość odpowiedniej metamorfozy.² Z faktem tym musimy liczyć się niezbędnie w ocenie zjawisk społecznych, płynących z zasadniczego mechanizmu rozwojowego ludzkości.

Pomijając na tem miejscu właściwe dane, tkwiące w tajnikach dziejów,³ czy psychiki tłumu,⁴ rzućmy okiem na postać jaknajogólniejszą różnicy treści, jaka dzieli jednostkę od współczesnych jej zespołów ludzkich.

Wysuwa się tu na plan pierwszy poczucie każdego z nas: „ja“ i—„oni“, a w ślad za tem „ja“ moje dąży tak lub owak—bardziej świadomie lub nieświadomie — do narzucenia „im“ przekonań swych, woli, a wreszcie władzy; „oni“ zaś — do bezwzględnego zrównania „mnie“ z „sobą“. „Ja“ mogą ludzi, różniących się odemnie, bez względu na ich stosunek do mnie, kochać lub nienawidzić, cenić ich, czcić, lub pogardzać nimi. „Oni“ ludzi, różniących się od nich: przestępców, szczęśliwców, czy zgnębionych w niedoli—prześladują, lub unikają, póki nie dojrzą w nich, słusznie czy niesłusznie, uosobienia własnych swych (przeciętnych) porywów i dążeń. „Ja“, im bardziej i do

głębi jestem sobą, uznaję „ich“ wszystkich razem i każdego z nich z osobna; „oni“ — im bardziej jedni są w swym zespole, tem mniej uznają cokolwiekbądź poza „sobą“. „Ja“, idąc za Seneką (List VII), twierdzą, że *ile razy poszedłem między ludzi—mniejszym wróciłem człowiekiem*; „oni“ odpowiadają „mi“ na to: „Dla towarzystwa dał się cygan powiesić“.

Zasady, jakimi rządzą się skupienia ludzkie, są wyrazem o wiele bezwzględniejszego istotnie, niż w świecie jednostki, bo kategorycznego w swej wyłączności, nakazu natury: *zabezpieczenia za wszelką cenę* bytu swego i rozwoju.

Jednostka wzmaga swe uduchowanie; wszelako, gdyby stan szczytny szczytnych jednostek opanował gromadę, przestałaby ona w znanym nam sensie być sobą. Bez niej zaś, takiej, czy podobnej, jaką jest, jednostka musiałaby uleść przemianom niepojętym, lub zginąć.

Z trudem możemy wyobrazić sobie zbrodnia-rza nie-mściciela, pałającego szczęściem na widok, czy na wieść o mękach swego przeciwnika, albo człowieka, widzącego jednocześnie też samą istotę rzeczy w barwie czarnej i białej. Każda natomiast gromada, im większa, im bardziej w danym kierunku skupiona, tembardziej i tem głębiej żywi uczucia podobne w stosunku do swego rywala. Wierność i sprzeniewierzenie zawisło w jej oczach od tego tylko, *кто* go się dopuszcza i względem *ko-*

go, a najkrwawsza nawet i najokrutniejsza walka może stać się dla niej najwyższym ideałem. A czyliż możemy wyobrazić dziś sobie „ideał“ taki w świecie *jednostek* cywilizowanych?!

Gromada, jak powiedziano, zachowuje pełnię przyrodzoną istoty, mającej nakaz *jedynej*: zachowania swego bytu, nie w rozumieniu transcendentalnym, lecz pospolitym, danej, subiektywnie (i „objektywnie“ w oczach jej członków) przedoskonałej, *formy* istnienia. Rolą gromady w stosunku do jednostki jest zabezpieczenie jej człowieczeństwa w rozumieniu zwykłym. Jednostka powstaje jako kwiat z ducha na bagnisku amoralnym gromady, najpewniej przez ów kwiat uszlachetnianej w toku okresów olbrzymich. Indywidualium, w rozumieniu moralnym, jest też bezwzględnie, bo zasadniczo *wyższe* od gromady, która rozumuje, jak przysłowiowy dziki: „Dobrem jest, gdy ja komu porwę żonę; złem, gdy mnie ją kto zabierze“. Masa, im jest większa i bardziej zwarta, tembardziej jest, w stosunku do tych, co stoją poza nią, w znaczeniu moralnym *gorsza*; jednostka zaś, im bardziej jest skupiona w sobie, a od innych izolowana wewnątrznie, tem wyższą staje się duchowo, tem *lepszą* dla tych, co ją otaczają. Lepsze jest bowiem to, co ideał swój widzi nie w sobie, lecz poza sobą.

W zjawisku tem tkwi postać najbardziej może w rozumieniu ludzkim zasadnicza stosunku wza-

jemnego jednostki i masy: walki ducha z ciałem, rozwoju z bezwładem, a dążenie etyków do przeistoczenia gromady, jako gromady, jest równoznaczne na dzisiaj z dążeniem ruchu do spokoju, życia do wieczności, „bytu“ do „niebytu“.

GDyby ktoś zechciał rozstrzygać zagadnienia społeczne w duchu twierdzenia:

Choć to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły — *niezli są ludzie...*

— niechaj zważy, że, gdy spoglądamy na srebrną kroplę dżdżu, zawisłą u listka róży, drżąca w promieniu słońca i odbijającą z uśmiechem, niby łza szczęścia, świat cały w brylantowej soczewce miłości, to czyliż przychodzi nam na myśl, że kropla ta, zrzeszona z masą podobnych sobie towarzyszek, zburzy ów świat w powodzi i, niby grom, zniweczy szczęście, do którego z naiwnością dziecięcą się uśmiechała?

Zaiste! Nie możemy opierać *prawdy życia* wielości na klejnocie serca jednostek, albowiem najcenniejszy nawet klejnot taki, pomnożony ilościowo w nieskończoność, stanie się dyamentem, twardszym od opoki, gdy mu przyjdzie walczyć o kształt swój z otoczeniem i głosić swe gromowe: *jestem!*

Bywają momenty, w których najszczytniejsze nawet cnoty jednostek ludzkich zdolne są zamie-

nić się w najbardziej nieubłaganą potęgę niszcząca masy i w których jawi nam się przed oczyma prawda żywa a wiekuista natury, prawda bytu i rozwoju wszechrzeczy: walka nieubłagana i śmiertelna wszystkiego tego, *co jest*, z tem wszystkim, *co nie jest* — „nami“.

„Ja“, w bycie codziennym drżące nieraz i słabe, a w złudnem poczuciu człowieka tak „dobre“, „rozkoszne“, czy „miłe“: przeciętne „ja“ jednostki w „my“ masowem staje się straszne, groźne i jakże tragicznie potężne! Czyliż istnieją w wyobraźni ludzkiej, nie mówiąc już o życiu, masy święte, prócz mistycznych chórów archaniołów? Czy dostrzegamy gdziekolwiek bądź naokół siebie przewagę masy dusz nad masą ciał? Przewagę masową „dobra“ nad takimże „złem“? Wcieloną w życie przewagę niebosiężnych pragnień ludzkich, nad niezłomnymi prawami natury, tkwiącymi w każdej *jednostce*, lecz widocznymi w pełni i okazałości dopiero w *masie*?

Żyjemy, jako ludzie, na łonie natury, z niej i dla niej. Ona zawiera w sobie dla nas prawdy życiodajne, podłoże formuły stosunku wszechludzkości do Boga. Badajmy ją niemniej troskliwie, jak duchowość własną: olbrzymią, pełną i rzeczywistą, nie tylko w listku róży, lecz i w świecie całym, a człowieka, jej syna, tam, gdzie jest on olbrzymem-twórcą dziejów, t. j. nietylko w indywiduum jednostki samej, ale także w jej właściwościach, uja-

wniających się w stosunku człowieka pojedynczego do zbiorowiska.

Jednym z terenów, najbardziej może w wymienionym kierunku wskazanych, jest wyraz ogólny potrzeb mas zorganizowanych, polityka państw i narodów.

Jakże przedstawiają się na jej tle najbardziej nawet podstawowe zagadnienia moralne człowieczeństwa?

Oto, w polityce, jak dotąd, hasła sprawiedliwości, czy inne, najświętsze nawet w poczuciu jednostek dążenia, mają i mieć mogą jedynie charakter — *demagogiczny*.⁵ Polityka każdego państwa, czy narodu, jest bowiem z natury rzeczą wyrazem skupionym życiowych *jego* potrzeb i interesów. Gdybyśmy wyobrazili sobie państwo czy naród, złożony z mężów naprawdę ewangelicznych, to polityka ich, gdyby ją uprawiali i uprawiać chcieli, musiałaby być oparta na sprawiedliwości, jako na wyrazie najistotniejszym ich potrzeb. Uderzmy się jednak w piersi i powiedzmy, jak nam wszystkim i bardzo, daleko stąd do owąd. Samo istnienie i rozwój pełny najbardziej nawet idealnie, patriotycznie pojętych nacjonalizmów, stwierdza odrębność i przeciwieństwa nader poziomych nie-rzecz interesów rozlicznych gromad ludzkich, a cóż dopiero mówić o charakterze i stopniu rozwoju ta-

kich zespołów, co trwają podziśdzień pod względem psychicznym w sąsiedztwie najbliższem *stada*?

Dalekim, jak samo Królestwo Boże, jest moment przeniknięcia w głębię struktury psychicznej *gromady* poczuć moralnie wysokich, rzadkich podziśdzień jeszcze, jeśli o ich pełnię możliwą chodzi, nawet wśród *jednostek* wybranych.⁶

Na pociechę musimy sobie jednak powiedzieć, że gdyby skupienia ludzkie przestały kochać swą *formę*, przestałyby zarazem istnieć w dostępnym dla myśli naszej charakterze, a wraz z tem straciłaby i jednostka możliwą do pomyślenia rolę swą w dziejach. Masa jest tu bowiem, jak człowiek-zwierzę, *pieliną* ducha, jest niezbędem dla jednostek podłożem formy istnienia: jest przeznaczoną dla garncarza gliną, z której tenże — siła życia — lepi twory swoje na kole rozwoju.

Zanim przejdziemy do nasuwającego się tu pytania, jaki jest owego koła mechanizm zasadniczy,⁷ winniśmy rozejrzeć się bliżej w nieporuszonych jeszcze właściwościach samego tworzywa.

Dotykając ogólnie strony materialnej człowieka, usiłowaliśmy dotąd scharakteryzować nieco bliżej duchowe jego oblicze. Obecnie chcemy tu podjąć próbę określenia bardziej dokładnego stosunku ambibii cielesno-duchowej, jaką jest człowiek, do materialnej, w rozumieniu pospolitem, strony bytu.

Założenia niniejszego studium, rozsnuć na kanwie *speciei aeternitatis*, same przez się prowadzą

nas do wniosku, że materya i wszystko, co z niej w stosunku do człowieka płynie, stanowi jakby *etap* nieskończoności w toku istnienia. Człowiek, a zwłaszcza masy ludzkie, ulegają jeszcze wpływom etapu tego tak dalece, że, jak pisze, nie bez pewnej słuszności, jeden z myślicieli francuskich:⁸ *Nous croyons combattre pour notre religion, notre patrie, nos affections, nos intérêts; en cela, nous sommes victimes d'une illusion. Ces mobiles, et tous autres, sont simplement le moyen qui nous permet d'obéir.... inconsciemment à.. (la vérité, que).. la lutte est la loi suprême de la nature. A nawet: La paix est pour les nations ce que l'oisiveté est pour les individus.*⁹

Powiedzieliśmy przed chwilą, że wszystko, co z materyi płynie, jest jakby etapem (w drodze do uduchowienia). Naturalnem będzie przeto spostrzeżenie, że poprzez materyalizm gruby, a wreszcie wysubtelniony: poprzez umiłowanie materyi i stopniowy nią przesyty, dąży rozwój dziejowy człowieka ku duchowi. A przechodzi po drodze, w stosunku do świadomości ludzkiej, różne koleje. Jedne z nich dają się dostrzedz jako tako, w rozumieniu naukowem, na tle dziejów; inne, jak większość olbrzymia tajemnic istnienia, usuwają się z pod poznawania. W danym przypadku plon tego ostatniego dałby się może ująć w ramy hipotezy, że człowiek jest ilorazem urodzenia przez wychowanie: że — wbrew iluzyom Rousseau'a,

oceniającego noworodka, jako *tabula rasa*—próba późniejszego jego człowieczeństwa zawisała w każdym przypadku poszczególnym od zespołu życiowego czynników *dziedziczności* i *środowiska*.

Owóż, postać, charakter i stosunek obu tych wpływów, możliwy do pochwycenia w przybliżeniu na tle historycznym pewnych, nader nielicznych klas społecznych, czy jednostek, usuwa się w ogromnej większości przypadków całkowicie z pola widzenia...

Czyliż jednak wzgląd, że przedmiot, unoszony przez pełne fale morza, dostrzegamy z łódki na pewnej tylko przestrzeni, upoważnia nas do wniosku, iż nie płynie on już poza nią?

Jeszcze przed pół-tysiącem lat podawał dziejopis nasz, Długosz,¹⁰ charakterystyki moralne wielu starych rodów polskich: Topor, ...*cuius viri facundia et industria redolent...*; Odrowansch, ...*providi et facundi, in varium sermonem proclivi*; Łódzka ...*viri providi, in ambitionem proni...*; Rosa... Poray ...*in avaritiam et superbiam, potationemque proclivi....*; Leliva*rei publicae et propriae studiosi...*; Wadwyczowye ...*recti et mediocritate contenti...*; Srzenyawa... *in tibiis ulceriosi, canum et venationum studiosi....*; Rawa *severi, audaces et crudeles, nonnulli etiam sanguinarii, periculatorum contemptores...*; Zabawa *sensati...*; Dembno*audaces, vehementes et gulosi...*; Ostoya *loquax et arrogans...*; Polu-

koza *vafri, in Venerem et simulationem ... proclivi*.... i t. d. i t. d. Świadczy to conajmniej o istnieniu w poczuciu subiektywnem tego pisarza pewnych cech znamienych wśród *niektórych* grup rodowych rycerstwa polskiego w wieku XV. Ktoś inny dostrzegłby był w nich może, w znaczeniu obiektywnem słusznie, czy niesłusznie, cechy inne, a ktoś trzeci mógł być żadnych zgola nie zaobserwować. Zupełnie jak trzech ludzie, płynący w łodzi po falach morza, unoszących przedmiot, ginący w oddali...

Poza monarchami, rycerstwem czy mieszczaństwem historycznym, poza ludźmi, wybitniejszymi z jakiegokolwiek bądź tytułu w życiu, istniał i istnieje zawsze legion bezimiennych. Trzeba jednak zgodzić się na to, że człowiek nie snuje nigdy i w żadnym kierunku wniosków swych z wszechrzeczy, lecz z tych tylko, które zdolen był zauważyć, a wnioski te, płynące z danych spostrzeżeń, przenosi na skrzydłach wniosku logicznego tam, dokąd nie dotarł sam mocą autopsyi bezpośredniej.

Możemy orjentować się jako tako w genezie historycznej wad i cnót Burbonów czy Domu Sabaudzkiego; zdolniśmy poznawać w przybliżeniu źródła dostrzegalne jaźni świętych czy zbrodniczych pań; potrafimy zagłębiać się w procesy psychiczne św. Augustyna, dzięki własnym jego „Wyznaniom“, ale nie potrafimy w zakresie filiacji podobnej

orzec nic zgola o św. oraczu, Izydorze. Wszelako, samo istnienie jego i jemu podobnych obok świętych królów i mocarzy, upoważnia nas do wniosku, że istnieją po świecie ciche genezy ducha ludzkiego, nie mniej szczytne i nie mniej pod względem wyników swych wspaniałe, od głośnych... Wszak ubóstwo i związane z nim niziny społeczne wywyższone zostały przez Chrystusa, a powiedziane jest, że: *Łatwiej wielbłądowi przejść przez Ucho Igiełne, niżli bogaczowi wnieść do Królestwa Niebieskiego.* (Mat. XIX., 24).

To prawda. Talenty z ducha znaleźć się mogą wszędzie: *Spiritus flat ubi vult..* (Jan III., 8). I nie tylko to: prostota, zwłaszcza uprawiana na łonie natury, wśród jej, podnoszących człowieka, wpływów, może nawet stać się tutaj ułatwieniem. Na ogół wszakże: *w znaczeniu stopniowego a powszechnego* rozwoju człowieka-zwierzęcia w kierunku uduchowienia, możnaby więcej może oczekiwać zdobyczy po środowiskach, przesyconych dziezicznie darami fortuny, a przynajmniej wielostronnie z jej przywilejami i ciężarami obytych, aniżeli po tych, co łakną jej jeszcze na ślepo całą siłą swego pożądanja, albo też nie znają jej zgola, bo się z nią jeszcze nie zetknęły w życiu. Nadto, więcej bodaj siły dobra, skupionego w naturze ludzkiej, możnaby dopatrywać się w uduchowionym a olbrzymim trudzie św. króla, niż oracza. Ów bowiem wolny jest od nakazu: *Przedawajcie ma-*

*jętności wasze a dawajcie jałmużnę... Albowiem, gdzie jest skarb wasz, tam i serce wasze będzie. (Łuk. XII., 33, 34)... A, co ważniejsza może, jest tak i dlatego także, że św. król nierazby wśród walk swych wewnętrznych wiele oddał za to, by stać się oraczem i, mimo wszystko, przez szczytne poczucie obowiązków swoich, zostać nim *nie może*; św. oracz zaś nicby nie dał za koronę, a ona sama omija go *bez trudu*. Na wyżynach ducha trud szczytny i tu i tam jest jednaki, bo niema dlań kresu; w życiu atoli rzecz ta przedstawia się podobnie, jak określiliśmy ją wyżej: ...*Panie, pięć talentów dałeś mi, oto drugie pięć zyskałem... Panie, dwa talenty dałeś mi, oto drugie dwa zyskałem*. I zarówno jednemu, jak drugiemu: *Rzekł... Pan... Dobrze, sługo dobry i wierny, gdyżś był wiernym nad małym, nad wiewem cię postanowię: wnijdź do wesela pana twego. (Mat. XXV., 20, 22, 21, 23).**

Jakże więc zarysowuje się w świecie ludzkim mechanizm *powszechny* rozwoju, o którym tu mowa; jakże przedstawia się wspomniane wyżej „koło garncarskie“ człowieczeństwa,¹¹ sprawiające, że wyłoniona ze stada powszechność ludzka, wkroczywszy z fazy żywiołu w okres organizacyi, zdołała zamienić pradzieje swoje na historyczność rozwoju, panowanie wojny na długie okresy pokoju, koczownictwo na osiadłość, zniszczenie na twór-

czość, a bezład skupień instynktowych gromady na ład organizacyi i *wyższą* ze strony zarówno masy jak jednostek, *harmonję* bytu?

Wspomnieliśmy we wstępie do książki niniejszej, że rzucony na jednym z kongresów naukowych temat „postępu“, zachęcił nas do rozwinięcia w kierunku odpowiednim spostrzeżeń, omówionych w studyum p. t. „Echa prawieku i błyskawice praw dziejowych na tle terażniejszości“.¹² Badania, związane z tem dziełem, poświęconem analizie teoretycznej zjawiska, zwanego rewolucyą, pozwoliły nam bowiem, z naszego punktu widzenia, na pochwycenie istoty czynników zasadniczych powstawania wszelkich naogół stanów społecznych, zarówno rewolucyjnych, jak pokojowych. A było nam дано poddać je próbie obserwacyi nietylko w obliczu rewolucyi, ale i pokoju. Osiągnęliśmy dzięki temu, w mniemaniu naszym, niejaką podstawę do przeniknięcia wgląd wszelakich zjawisk społecznych, z pośród których wyłania się zagadnienie „postępu“ ludzkości.

Naogół, rozwój społeczności przedstawia się w świetle teoryi pomienionej jako proces, polegający na wzajemnem oddziaływaniu na siebie dwu czynników zasadniczych, istotnych a wiekuistych, jak ludzkość sama: *sily* i *słabości*; oba zaś czynniki te posiadają naturalnych swych przedstawicieli w dwu typach *psychicznych*: *indywidualistów* i *gromadowców*. Istotna postać *historyczna* tych typów, to

panowie i niewolnicy; społeczną omówimy w miejscu odpowiednim naszych wywodów.¹³

Oto szkic zasadniczy teorii, rozwiniętej w rzeczonym dziele.

Aby oprzeć się, w studyum nad „postępem“, na takiej podstawie, stawiamy tezę następującą:

Zarówno ludzkość cała, jak każda jej część gromadna, wszelka społeczność ludzka, mogą być, jeśli chodzi o ich cechę zasadniczą, porównane z *kryształem*, którego budowa opiera się na szkielecie naturalnym a stałym procesy podstawowego ich rozwoju. Ów kształt krystaliczny ludzkości i gromadnych jej poddziałów dałby się wykreślić graficznie jako *piramida*, której wierzchołek zajmuje *siła* (indywidualiści), podstawę zaś *słabość* (gromadowcy). A byłby ów stan rzeczy aż nazbyt prostym i oczywistym, gdyby rola pewnego czynnika, wynikającego z „siły“, nie przesłaniała przed wzrokiem naszym postaci istotnej rozwoju. Czynnikiem ten to instytucja *własności dziedzicznej*,¹⁴ powodująca mieszaninę różnorodnych typów psychicznych na każdym szczeblu piramidy rzeczowej. Wskutek tego widzimy niekiedy, i to dość często, „niewolników“ psychicznych u jej szczytu, a takichże „panów“ u jej podnóża. Wszelako, podobnie jak żaden środek drugorzędny nie byłby w stanie zmienić kierunku *naturalnego* w rozwoju kryształów, tak też wtórny ów czynnik (własności dziedzicznej) nie jest w możności przeobra-

zić w sposób istotny postaci naturalnej bytu i rozwoju ludzkości. Nadto, co podnieść tu należy, rolę czynnika tego paraliżują stale w toku dziejów dwie okoliczności zasadnicze: Pierwsza z nich, w stosunku do jednostek, to fortuna, co „kołem się toczy“, druga, w stosunku do gromad, to opór niemniej chroniczny ze strony masy ludzkiej, tworzącej podstawę piramidy, przeciw będącym zarodnią cywilizacji — „ekstrawagancyom“ jej szczytów. Kierunek przyrodzony wszystkich tych zjawisk spoczywa w głębi tajników natury człowieczej, a osią Historii, odzwierciadlającej w sobie obraz *zewnątrzny* borykania się ludzkości z naturą, lecz będącej niemniej przeto odbiciem *istoty* rozwoju, jest właściwie walka jednostek z masą, walka różnych *sił: indywidualnych* czy (poniekąd) oligarchicznych, potencjalnych czy panujących, z przeciwną im siłą skupień *zbiorowych*. To też możliwie ścisła analiza psychologiczna tych zjawisk, oraz ich wzajemnego stosunku do siebie, stanowi jądro niezbadane zagadnienia dziejów, a wraz z nim „postępu“ ludzkości.

Jakimże jednak jest charakter przyrodzony a istotny obu zwalczających się nawzajem obozów?

Na imię mu: dążenie do zdobycia siły za pomocą wysiłków indywidualnych lub zbiorowych.

Metody te, tak naturalne a proste, wyjaśnią nam w sposób najbardziej podstawowy, gdy im się przyj-

rzymy bliżej, istotę zasadniczych zjawisk społecznych.

Oto, aby mózdz wytłumaczyć sobie gruntownie zasadę „postępu społecznego“ naszych czasów, którą jedni zdają się dostrzegać we wzmagającym się upadku roli jednostek na rzecz masy, inni zaś w towarzyszącym temu zjawisku wzroście pierwiastku sił zbiorowych, należałoby zbadać jaknajgłębiej tajniki dusz ludzkich, iżby mózdz, wniknąwszy w istotę rzeczy, zbliżyć się do prawdy, i odpowiedzieć na pytanie, czy ów „upadek“ i ów „wzrost“, to zjawiska rzeczywiste i ustalone, czyli też może tylko przemijające, a nawet pozorne, i to tak dalece, że ulegamy prostemu *złudzeniu*, przypisując im rolę, wręcz przesadną, bo tylko imaginacyjnie zasadniczą, w postaci rozwoju społecznego naszych czasów?

Sprawa to nader doniosła, albowiem chodzi tu o rdzeń kryształu, o którym mowa, o postać piramidy rzeczzonej. Chodzi o to, czy odwróciła się ona istotnie szczytem swym ku dołowi, czyli też może odwracamy ją tylko sami w wyobraźni naszej, podnieczonej przez zjawiska drugorzędne — *sub specie aeternitatis* tymczasowe, przemijające?

Postawmy dwa pytania zasadnicze:

Czy dążenie do zostania pierwszym w świecie, zanikło istotnie w głębi dusz, choćby i najbardziej oddanych ogółowi?

Czy najszczytniejsza nawet twórczość czasów ostatnich rozporządza oryginalnością dość potężną na to, by mózgi uczynić zadość wymaganiom wyższym dusz wrażliwych, nie naśladować, a choćby tylko nie czerpiąc bez końca dorobków, osiągniętych ongi przez tych, co nad epokami, wyklętymi obecnie, roztaczali swe panowanie?

Pozostaje tu jedna tylko odpowiedź szczerą:

Nie i — nie!

A odpowiedź ta starczy, by pochwycić istotę „postępu“, jako ewolucję, której bieg zasadniczy toczy się *sub specie aeternitatis* dwiema z kolei drogami.

Pierwsza z nich to oś piramidy, o której tu mowa: *pion twórczości* cywilizacyjnej, który ludzkość zawdzięcza „ekstrawagancyom“ indywidualistycznym jednostek; druga, to droga *pozioma* podstaw tejże piramidy: linia *rozpowszechnienia*, dzięki wysiłkom zbiorowym skupień ludzkich, tych zdobyczy, jakie zostały osiągnięte na pierwszej drodze.

A żadna z tych dróg nie jest ani jedyną, ani zapewniającą zwycięstwo bezwzględne: obie zlewają się w istocie rozwoju, toczącego się pod hasłem swoistej równowagi dziejowej ludzkości, to jedną to drugą kolejną.

Pierwszeństwo, oraz koniec czasowy każdej z nich, rozpoczyna się i dobiega kresu swojego tam, gdzie wyczerpuje się cierpliwość a powstaje zniecierpliwienie czynne indywidualistów czy gromadowców, każdy bowiem z tych obozów koń-

czy z kolei okres swego panowania w steku własnych swych „nadużyć”.¹⁵

Spiritus movens, poruszający ów mechanizm tajemniczy, spoczywa w głębi natury ludzkiej, w nurtach stworzenia, z których, poprzez zwał nieogarniony przeszkód, poprzez otchłanie trudu, bije głos przepotężny: *Estote sicut Deus!*...

Jedni, silni, stają pojedynczo do apelu; inni, słabi, mkną tam mniejszą, czy większą gromadą, a duszą ich wszystkich jest tylko i wyłącznie *Silata* (boć i słabość, acz w stopniu mniejszym, być nią nie przestaje), stanowiąca podstawę wyluszczonej tu teorii.

Jej racya daje się stwierdzić wielorako zarówno w dziejach, jak w psychice ludzkiej. Co do pierwszych, któż wątpi, że górne warstwy społeczne usiłują zawsze i wszędzie dorobek swój i opartą na nim rolę swą życiową, utrzymać wobec wszelkich, z nizin pochodzących uroszczeń, *dla siebie*, a na ów skarb czynione są systematycznie zamachy ze strony masy.

Wykazuje to historia wszystkich wogóle rewolucyj, znanych w świecie, dowodząc ponadto, że gromady ludzkie, w razie zwycięstwa swego, „dzielą się szatami” pokonanych tak skwapliwie, jak gdyby pragnęły ugasić w ten sposób pożerające je pragnienie rozwoju.¹⁶

Zjawisku temu towarzyszy istniejący w psychice ludzkiej nakaz, który dyktuje jednostkom silnym

(indywidualistom) ochronę owoców, a nadewszystko samego talentu swego, przed zachłannością słabych (gromadowców). To też typ, indywidualnie silny, kojarzy często z poczuciem swej mocy własnej niechęć, a niekiedy nawet wstręt do t. zw. działalności społecznej, do działalności w gromadzie. Tkwi w tem jakby ostrzeżenie natury, która pod postacią instynktu, samozachowawczego w znaczeniu psychicznem, zdaje się podszeptować mu prawdę utajoną a prostą, że własna jego moc, jego talent czy gieniusz, byłyby najprzeważniej pod tanim hasłem słów górnych, nie zaś gorących poczuć moralnych i obywatelskich, pomiędzy słabych jego współtowarzyszów dzielone *przedwcześnie*, zanimby, jako rozwojowo dla gromadowców przeznaczony produkt uboczny, osiągnąć mogły wśród niezbędnej dla siebie izolacji od masy, wyżyny własnego rozkwitu.¹⁷

ALe skierujmy wzrok nasz ku tajnikom, które określiliśmy już ogólnie jako *siłę*, wypełniającą kształt *piramidy* rozwoju i usiłujmy przeniknąć ich głębinę.

Zacznijmy od „siły“ w świecie ludzkim, jako *treści* jego bytu i rozwoju.

Wiemy już, czem ona jest w pojęciu ludzi uduchowionych; zdajemy sobie również najogólniej sprawę z tego, jaką jest i być może jej koncepcya

w umysłach, operujących wyłącznie lub najprzeważniej wartościami natury czysto materyalnej.

Jakże jednak przedstawi się ona w przeciętnym typie ludzkim, który, pomnożony ilościowo o przez miliony, stanowi tworzywo zasadnicze rozwoju?

Zwykliśmy rozróżniać „siły“ rozmaite: mówimy o sile ducha, sile umysłu, sile wpływów, pieniądza, pięści, by dalej przykładów nie mnożyć... Zapominamy jednak najprzeważniej o tem, że siłą, opanowującą życie zbiorowe, a więc, w danym czasie i środowisku, możliwie pełną wielorakość jego objawów, jest odpowiednia *synteza* sił wszelakich—wyraz historyczno-społeczny starego przysłowia: *mens sana in corpore sano*.

Ideał syntezy takiej nie jest osiągalny, podobnie jak wszelka harmonia doskonała; jednakże, dążąc ku niemu stale torami ducha i ciała, różne zbiorowiska ludzkie zdają się zbliżać do niego mniej lub bardziej w ciągu dziejów. Owo „zdają się“ zawisło oczywiście od subiektywnego punktu widzenia spostrzegacza. *Albowiem, ciało pożąda przeciwko duchowi a duch przeciwko ciału.* (List św. Pawła do Gal. V., 17). Inaczej przeto odbije się w umyśle konserwatysty a wywrotowca, poety a rzeźnika, sybaryty a spartanina, rodzaj i stopień harmonii czy dysharmonii dziejowej Dyrektoryatu lub epoki Ludwika XV. To prawda. Wszelako z drugiej strony harmonię tę mierzyć można

w sposób bardziej obiektywny stopniem *realnym* pokoju społecznego (*paix sociale*), panującego w danym czasie i środowisku.

Podkreślamy tu stronę realną dlatego, że opatrzna rozciągłość psychiki ludzkiej sprawia, iż upośledzona w pewnym momencie rozwojowym sfera bytu zwykła nagradzać to sobie zarówno wśród ogółu, jak i jednostek, dalekich jeszcze od uduchowienia, bujnym rozkwitem odpowiedniej krainy fantazyi.

Głodomorowi towarzyszą nieraz sny i widzenia obficie zastawionych stołów; sybarycie, dającymu grosz żebrakowi—sentymentalna uluda poświęceń, karmiących rzesze.

Przeżywana przez nas faza rozwoju ludzkości, tak jeszcze, mimo tysiącoleci dziejów, od Królestwa Bożego daleka, sprawia, że czcimy naogół, jeśli nie słowem, to czynem, o wiele bardziej siłę materyalną, niżli duchową człowieka.

Odbija się to, nie mówiąc już o punkcie ciężkości życia powszedniego, o t. zw. walce o byt — nawet w poezyi świata.

Zastanówmy się dla przykładu nad psychologią legendy historycznej, albo koncepcyi szatana.

Pierwsza bywa najczęściej, jakkolwiek z niepopolitych nastrojów płynie, fantazmagoryą siły fizycznej, jako (rzekomego) obrazu niezbadanych krytycznie przyczyn danego faktu czy faktów, uderzających wyobraźnię potęgą swego znaczenia, na

tle okoliczności, do owej potęgi (materyalnie) nie-dorastających. Jest ona przeto jakby uczuciwem a fikcyjnym uzupełnieniem (znowu w znaczeniu materyalnym), porządku logicznego przyczyn i skutków — tam, gdzie go rozum należycie pojąć nie jest w stanie...¹⁸

A dyabeł?

To niby uosobienie (materyalistycznej) logiki rzeczy, jarzmione przez przebłysk potęgi ducha. To symbol zmagających się z nią sił fizycznych życia. Ponieważ zaś potęga ducha rzadką bywa jeszcze w człowieku, nawet wyjątkową, a więc: *nad-„przyrodzoną“*, przeto ostatnią tę jej cechę — *meta-„fizyczność“* w świecie ludzkim, przelewa masa, od poczucia *in-fizyki*¹⁹ człowieczej nader jeszcze daleka, i na dyabła, choć ten zgoła tego nie potrzebuje we własnem jej łonie.

Założenie powyższe zdoła nam może wyjaśnić wiele zagadnień, pozornie nierozwiązalnych.

I tak: krytycy-moralisci nieraz biadają, że, jak np. u nas, ani Żółkiewski, ani porywy roku 1831 czy 1863-go, ani Kościuszko, ani żaden wogóle bohater, fizycznie pokonany, nie staje się osiłą wielkich natchnień — bohaterem „przepotężnego“ dramatu.²⁰

A przecież bardzo to naturalne i proste...

Wszak chodziłoby tu o dzieła, chwytające ogół za „serca“: o ton, poruszający go *do głębi tej istoty*, która roztacza nad nim swe panowanie.

Czyliż może poruszyć opilego widok źródła, a łaknącego, po przesycie wśród skwaru, spalona słońcem manna, spadająca z nieba?

Zupełna to iluzja, jakoby człowiek czcił *istotnie* w życiu cośkolwiek bądź innego, niż syntezę sił, będącą ustosunkowaniem wyolbrzymionym czynników, tkwiących w nim samym.

Podobnie jak cały świat, w szerszym czy węższym, głębszym czy płytszym zakresie, tak też i siłę wszelaką widzi człowiek i odczuwa li tylko przez samego siebie, przez pryzmat swój swoisty, przez własne o niej pojęcie i wyobrażenie.

Zenitem czci ludzkiej może być tylko wyolbrzymienie pełni sił własnych człowieka; jeżeli zaś w wyolbrzymieniu tem, choćby przewspaniałem, odbije się jaźń czyjaś, w jakikolwiek bądź sposób uszczerbiona, ów ktoś przechodzi nad Torsem Belwederskim do porządku dziennego, albo li też, o ile zmysłu rzeczywistości nie posiada, tworzy *legendę*, uzupełniając, iub zgoła przeobrażając fragment genialny *ad usum Delphini*.

Masa, przykrawająca wszystko do swego materalistycznego szablonu, powiada tedy o wielkich duchem:

— Święty *mógł* unicestwić przeciwnika, ale nie *chciał*...

Dajmy w obecnej naszej fazie rozwoju Żółkiewskiemu czy Kościuszcze olbrzymie zwycięstwo do ręki, a datom 1831 czy 1863 r. podsuńmy pogromy

wroga—i znajdują się talenty, co jaźń masy wypowiedzą ku pełnemu zadowoleniu pożądań gromadzkich.

Wszak utwór „nieśmiertelny“, to odbicie i apo-teoza tej, *jaka w nas tkwi*, koncepcji siły.

Jakże więc zespół pozbawionych powodzenia materialnego czynów, nasycić może tych, co istnieć nie mogą jeszcze bez *przewagi* chleba?²¹

Nawet utwory religijne, przeznaczone dla mas, materializują podziśdzień rozkosze nieba; inne zaś, bardziej uduchowione, służyć mogą najprzeważniej nielicznym wyjątkom:

Vicitrix causa placuit diis, sed victa Catoni.

PRzejdźmy z kolei do *formy* krystalicznej siły czy sił, o których mówiliśmy wyżej: do formy, której kształt przyrodzony a niezmienny określiliśmy już jako „piramidę“ układu ludzkości.

Forma ta powtarza się w nieskończoność; jest nieodłączna od natury jednostki i masy, stanowi atrybut swoisty zarówno każdego indywiduum ludzkiego, jak każdej grupy, każdego pokolenia, środowiska i czasu, a wreszcie ich wszystkich razem od wieków po wieki.

Jej wierzchołkiem w jednostce jest zenit zetknięcia się człowieka z najwyższym jego ideałem; podstawą — cały bezmiar punktów związku jego z naturą, a pojemnością, między ścianami piramidy zawartą: mozoł życia.

Wypełniają przeto tę formę zasadniczą piętra niższe i wyższe: szczeble, prowadzące od nizin ku wyżynom bytu.

W myśl dotychczasowych wywodów naszych, jednostkę trzeba uznać w pewnej mierze za wyższą od zbiorowiska, od masy: za wyższą *istotnie* pod względem wartości wewnętrznej (moralnej), która w człowieku pojedynczym o wiele bardziej zbliża się ku duchowi, aniżeli w jego zespole gromadnym.

Z tychże wywodów wynika, że między *wartością* tą, a *liczebnością* zespołu zachodzi stosunek odwrotny. Im liczniejsze jest zbiorowisko, tembardziej obniża się moralna jego wartość gromadzka, tembardziej strona materialna bytu staje się jego wyrazem.

A jednak z tychże wywodów płynie wniosek, że grupa jest przyrodzonym środowiskiem jednostki, przyczem stosunek tej ostatniej do otaczającej ją masy, to niby miniatura stosunku ludzkości do natury.

Pozostaje tedy proste stwierdzenie faktu, że *istnieją* jednostki i masa, oraz konieczność logiczna określenia z kolei, po omówieniu jednostki, stosunku, jaki wiąże formę tej ostatniej z kształtem swoistym ludzkości.

Stosunek ten polega przedewszystkiem na tożsamości zupełnej form rzeczonych: na piramidzie, z tem jedynie zastrzeżeniem, wynikającym również z założeń dotychczasowych, że, im bardziej jednost-

ka, im *istotniej* zwarta jest z otaczającym ją zbiorowiskiem, tembardziej przestaje być w znaczeniu moralnem sobą, tem dalej staje od zapowiedzi, *I każdy, ktoby opuścił dom, albo braci, albo siostry, albo ojca, albo matkę, albo żonę, albo synów, albo rolę, dla Imienia mego, weźmie stokroć tyle i żywot wieczny otrzyma.* (Mat. XIX., 29). Albowiem, im bliższą jest jednostka w swem mniemaniu t. zw. „umilowaniu ludzkości“, tembardziej oddala się w istocie od *miłości: człowieka. A w Zakonie waszym jest napisane, iż świadectwo dwóch ludzi jest prawdziwe. Jam jest, który sam o sobie daję świadectwo: i wydaje świadectwo o mnie Ojciec, który mnie posłał.* (Jan VIII., 17, 18). Nie przez zlanie się wewnętrzne z gromadą,²² lecz przez ofiarną służbę dla niej z wyżyn własnej swej jaźni, staje się człowiek zdolnym do zrozumienia wezwania: *Pójdźcie za mną, a uczynię was, że się staniecie rybakami ludzi* (Mat. IV., 19); staje się zdolnym do oderwania się od podstaw poziomych ambicyi świata, o których powiedziano: *Kto z samego siebie mówi, chwały własnej szuka. Lecz kto szuka chwały tego, który go posłał, ten jest prawdomówny, a nie masz w nim niesprawiedliwości.* (Jan VII., 18).

CO do porządku, w jakim przedstawić sobie możemy układ wewnętrzny „piramidy“ każdej bez wyjątku gromady, skupienia, zespołu, klasy

społecznej, czy masy, posiadamy, jak we wszystkim, odczucie: „subiektywne“ i „obiektywne“, przyczem pierwsze panuje (w znaczeniu realnem) najsilniej w otoczeniu najbliższem jednostki, tam, gdzie jest ona możliwie najbliższą siebie samej; drugie zaś—w temże znaczeniu—w kierunku odwrotnym: punktu wyjścia t. zw. ludzkości, pojętej jako całość dziejowa, historyczna, a wreszcie współczesna z nami. Podmiotowa dośrodkowość pierwszego z tych odczuć, oraz przedmiotowa odśrodkowość drugiego, są zjawiskiem aż nazbyt naturalnem, wynikającym zarówno z porządku świata, jak z będącej jego odbiciem natury naszego myślenia.

Najpospolitszy prostak uważa się obiektywnie (i najczęściej słusznie) za wierzchołek tej piramidy, jaką tworzy dom jego pod własną swą strzechą; subiektywnie zaś—im mniej liczy się z rzeczywistością bytu, tem łatwiej stawiać może w swej wyobraźni piramidę tego skupienia, do którego sam należy bezpośrednio, na wierzchołku świata. I światu zaszkodzi to mniej, niżli zaszkodzić może jemu samemu, o ile i im dalej z pod strzechy swej zapuścić się zechce w głąb swego otoczenia.

Gdyby zaś powstać miało pytanie, czy wyobraźnia owego prostaka, ze względu na wysoką jego wartość duchową, nie ma słuszności za sobą, odpowiedź dałaby się zawrzeć łatwo w krótkich słowach, że prostaka, pełnego ducha, a tak

jednocześnie pewnego siebie, nie było i niema, albowiem:.. *Ktoby się wywyższał, będzie uniżony, a ktoby się uniżał, będzie wywyższony.* (Mat. XXIII, 12). Natomiast, prostaków mniej uduchowionych, ale tembardziej zato pewnych siebie, są rzesze niezliczone. I dla nich to: dla mas, żyjących, jeśli nie wyłącznie, to najprzeważniej chlebem — nie dla wybrańców ducha—istnieje bezmiar oków społecznych piramidy głównej, jako zespołu przepelniających jej piętra wewnętrzne skupień piramidalnych ludzkości.

Z Założeń naszych wynika, że, mówiąc o piramidzie, jako o strukturze zasadniczej ludzkości, mamy na myśli *formę*, nie zaś—objaśnioną już jako „siłę“ — *treść* jej rozwoju. Nie jest też zadaniem naszym prawić tu o piramidzie sfery duchowej człowieczeństwa, o uszczebłowaniu wartości moralnych w jednostkach i masach, żyjących czy minionych. Ludzkość sama posiada jasne i wyraźne wartości tych odczucie we własnej swej koncepcyi nieśmiertelności i wieńczy „niewiedzącym“ wawrzymem chwały tych, życiowo wielkich, średnich, czy pomniejszych swych synów, co, bezcieleśni już i od obniżania lotów swych wolni, zajęli miejsca dostojne w jej pamięci, czci i uwielbieniu, we wdzięczności gorętszej, czy mniej gorącej, kół większych czy mniejszych, trwalszych lub mniej

trwałych, zależnie od stopnia i zakresu swego pośrednictwa między ludzkością a ideałem.

To też nie o tę sferę nam tu chodzi: nie o Pantheon ani Olimp, gdzie, co jest rzeczą wysoce znamionną, a z założeniami naszymi zgodną, ludzkość umieszczać zwykła *jednostki*, nie zaś *gromady* ani *masy* swych przedstawicieli.

Idzie nam tu nie o *treść* ludzkości, zawartą w jednostkach, lecz o *formę* zasadniczą zbiorowego jej rozwoju, o *kształt* kryształu i podstawowe jego znaczenie w dziejach, nie zaś o składające go pierwiastki.

Chodzi nam o „piramidę“, jako o systemat zasadniczy tej przyrodzonej *szkoły życia*, w której natura sama kształci wszelaką zbiorowość ludzką poprzez wieki dziejów i pokoleń.

Szkoła i życie!

Ileż wrażeń i myśli sprzecznych budzi to zestawienie...

A jednak, choć bez szkoły zostać można tęgim, a nawet wybitnym człowiekiem, należy to do wyjątków, gdyż ogół szkoły potrzebuje niezbędnie i tej właśnie okoliczności zawdzięcza ona byt swój powszechny a trwały. Nieodłączną zaś jej cechą, dlatego właśnie, że najliczniejszej na świecie *prze-ciętności* służy, jest i być musi mniejsza lub większa, lecz zasadnicza, bo z natury rzeczy płynąca, *szablonowość* w traktowaniu przez nią młodzieży: szablonowość, w stosunku do pewnych uczniów,

najniewątliwiej nadmierna. Jeżeli też w szczupłym gronie wychowawców możliwe są do zastosowania z dobrym skutkiem środki najbardziej nawet indywidualne, to postać rzeczy zmieni się zasadniczo i będzie wymagała coraz bezwzględniejszego szablonu, w miarę pomnażania się tego grona.

Piramida szkoły składa się z szeregu klas, następujących jedna po drugiej. Najniższa bywa zwykle najliczniejszą, najwyższa najmniej liczną, ponad nią zaś stoi grupa nauczycieli, a na ich czele dyrektor. I choć nie jest to wcale wykluczone, aby ten czy ów uczeń z klasy najniższej nie miał stać wyżej pod względem duchowym od dyrektora, a uczeń z klasy średniej czy wyższej, w zakresie uzdolnień pedagogicznych — od własnych swych nauczycieli, to jednak struktura szkoły zachowuje właściwą sobie postać i uczniowie z klasy pierwszej nie są powoływani w warunkach normalnych do jej zarządu, ani piątoklasiści na miejsce swych pedagogów. A jednak wszystko to razem nie zabezpiecza dyrektorowi pewności zupełnej, iż nie zostanie on *z czasem* podwładnym najmłodszego z uczniów swoich, ani nie powinno utrzymywać tego ostatniego bez końca na poziomie klasy najniższej.

Szkoła jest wierną aż do drobiazgów *miniaturą* narzuconej ludzkości przez naturę organizacyi, płynącej z rozwoju; organizacyi, której duszą jest

zawsze i wszędzie *hierarchia* o przyrodzonej wszystkim, co ludzkie, strukturze piramidalnej.

Makrokosmos natury jest jednak i, oczywiście, być musi, zarówno w tym kierunku, jak w innych, o wiele bardziej w stosunku do wszystkich naogół zjawisk swoich, a więc i ludzkości, ścisły i bezwzględny (szablonowy!), aniżeli szkoła — na wielkich wzorach oparte, lecz skromne dzieło *człowiecze*.

DOtknęliśmy przed chwilą pojęcia *hierarchii*. Zastanówmy się nad jej istotą. Hierarchia, oznaczająca w rozumieniu najpospolitszem szczeblowanie części składowych zbiorowisk ludzkich, opiera się, jako pojęcie zasadnicze, na trwałej podstawie przesłanek logicznych umysłu ludzkiego, będącego w swej postaci sprawnej, probowanej wielorako przez naturę, ludzkim odbiciem praw, rządzących światem.²³

Hierarchia w znaczeniu pomienionem oznacza zespół podporządkowanych sobie — niższa wyższej — części danej zbiorowości ludzkiej. Tak pojęta, przedstawia się jako odzwierciedlenie społeczne, czy inne, odbitego w umyśle ludzkim świata zjawisk — niby olbrzymiego łańcucha przyczyn i skutków. W koncepcjach najwyższych człowieka: w religii i metafizyce, łańcuch ten zwiera się w jedno koło — w jeden bezkresny krąg wieczno-

ści, spięty przez odczucie, a za niem religijne pojęcie Boga, jako pra-przyczyny i zarazem skutku ostatecznego wszechrzeczy.

Filozofia materyalistyczna monizmu nie stawia tu również, bo nie stać na to umysłu ludzkiego, *kategorji nowej*.

Boga zastępuje pojęciem „Prostoty“, która, poprzez wszelką „Złożoność“, znowu do siebie samej zmierza.

To też teleologia metafizyczna koncepcyi religijnych i filozoficznych, usiłująca ogarnąć wszechświat, znajduje w hierarchii ludzkiej, niby w odpowiadającym tej teleologii mikrokosmosie, swe wierne odbicie.

W epokach wiary żarliwej hierarchia rodzinna, klasowa, zawodowa, społeczna, czy wreszcie państwowa, wypływała w poczuciu człowieka z nakazu Boga, prowadzącego z jej pomocą lud swój ku najwyższemu celom.

Ponieważ siła hierarchii płynie nie z fantazyjnego widzimisię teoretyków, lecz z wiekuistych nakazów natury, przeto, choć po literacku nieraz potępiana, a z fikcyjnymi hasłami Rewolucyi niezgodna, pozostała ona, oczywiście bez przerwy, i mimo wszystko, czynnikiem niezbędnym, a od wszelkich zespółów ludzkich nieodłącznym, porządku i ładu, jako warunków *sine qua non* ustroju bytu zbiorowego.

Istota rzeczy pozostała tedy od wieków podziś-dzień bez zmiany, podobnie jak niezmienną jest

natura sama i prawa jej, rządzące światem.²⁴ To też, śledząc hierarchję poprzez wieki na tle ludzkości, można w niej stwierdzić jedynie, podobnie jak w działaniu wszelakiego prawa na wszelaki, określony przedmiot bytu, zmiany wyłącznie *morfologiczne*.

Formy hierarchii, podobnie jak wszelakie formy inne, zależne są, oczywiście, od środowiska i czasu; treść jej jednak pozostaje zawsze taż sama w granicach naszego poznania.

Wiele już mówiliśmy dotąd o *treści i formie*. Pora zapytać, jak układa się w kierunku, o który nam tu chodzi, wzajemny ich stosunek zasadniczy w psychice człowieka?

Ujmiemy podstawowo charakter tego zagadnienia, stwierdzając, że płynie ono ze sfery poczucia *harmonii*, będącej, jak *szczęście*, stanem równowagi między światem wewnętrznym a zewnętrznym danej jaźni.

Estetyka, logika i psychologia schodzą się tu we wspólnym mianowniku, którego formuła brzmi krótko, że: wszelka treść pożąda właściwej sobie formy, a wszelka forma domaga się swej treści.

Cóż tu atoli znaczą wyrazy: „swoj“ i „właściwy“? Poprostu: *naturalny*, niesfalszowany *zrost ewolucyjny* obu kategorii pomienionych: *treści i formy*, w jedną całość, zwaną „wcieleniem ideału“.

Dotknęliśmy znowu szczytów najwyższych, z których winniśmy rozejrzeć się z kolei w sferach odpowiednich psychiki ludzkiej: moralnej, logicznej i estetycznej.

Zacznijmy od pierwszej, której busołą jest czynnik, zwany *sumieniem*, dążącym jak wszystko, po przez *ruch*, będący w danym przypadku wyrazem stosunku życiowego danej jaźni do jaźni innych, ku *harmonii* spokoju i ukojenia. T. zw. wyrzuty sumienia, z tego punktu rozpatrywane, nie są niczem innym, jak rozdźwiękiem, powstałym między zasadniczym nakazem wewnętrznym danego indywiduum, a tkwiącemi w niem wspomnieniami myśli jego czy czynów, wywołanych przez okoliczności przemijające.

Niemniej rozciąglą, a wśród bezmiaru ludzi nader względna, jest i sfera logiki, sięgająca z jednej strony wyżyn poznawania,²⁵ z drugiej zaś—bezmyślności, w stosunku do owych wyżyn, niemal zupełnej.

Kant i matolek, Kopernik i dziki, co pięciu palców zliczyć nie umie — czyliż trzeba mnożyć tu przykłady?

Toż samo, *mutatis mutandis*, da się powiedzieć i o estetyce, choć ta, podobnie może jak poczucia moralne, jest bardziej od logiki względna, bardziej podmiotową aniżeli ta ostatnia: szczupła kopa przedmiotowości, co rodzaj nasz ogarnia.

Skądkolwiek bądź i dokądkolwiek bądź zmysł nasz spostrzegawczy zwrócimy wgląd ludzi, mu-

simy stwierdzić zawsze i wszędzie, że są oni — poza pewnym zespołem przeciętych a najniższych cech masowych — *różni*, oraz, że wśród tej ich różności przebogatej każde drgnienie życia przybiera, jak w naturze całej, postać odpowiednią, kojarzącą w sobie siłę i materię, treść i formę — ducha i ciało.

Brak harmonii w tej mierze — fala rozdźwięków — uciążliwą jest dla tych, których pochłania, a śmieszna, przykrą, albo nawet wstrętną,²⁶ w rezultacie zaś szkodliwą dla ich otoczenia, będącego, podobnie jak oni sami, tworzywem rozwoju.

I tak być musi, albowiem istota formy nie jest czczym konwenansem, co wmówić w nas usiłują bladzi filozofowie. Czynią tak zazwyczaj, by ratować rację własnych błędów logicznych, płynących ze zwichniętego w ich umysłach pojęcia o naturalnym stosunku wzajemnym jednostki do masy, człowieka do ludzkości.

Forma wszelakiego czynu, wszelakiej roli i działalności ludzkiej, winna być *naturalną*: na przesłankach płynącego z przyrody rozwoju opartą, ramą ewolucyjną danego zjawiska — niby postacią kryształu, przystosowaną do jego istoty.

Gmin, snujący się w sabotach, z fajkami w zębach, po salonach Wersalu, albo misterny klejnot wenecki w namulonej dłoni kopacza, rażą nas nie tylko dlatego, że posiadamy dość historyzmu na to, by mózdz powołać w swej wyobraźni do

życia dwór Króla-Słońca, czy postać Dogaressy z *Ca d'Oro*, lecz—i przede wszystkim dlatego, iż w prawach natury, których odbiciem jest psychika ludzka, tkwi zasada logiki rzeczy, a za nią poczucie nieubłagane harmonii, płynącej ze związku przyczynowego między treścią a formą zjawisk.

„Wygląda jak kwiatek przy kozuchu“—powiada przysłowie dlatego, że odczucie logiki rzeczy istnieje nie *poza* nami, lecz *w nas* samych: w każdym człowieku normalnym. Wszak treść i forma to *synteza* bytu, którego my sami jesteśmy odbiciem i którego przeto fałszować nam niewolno bez popełnienia mściwego błędu w stosunku do siebie samych.

Związek logiczny, a za nim estetyczny i moralny treści z formą—to prawo, zaprawdę, o wiele potężniejsze od poznania historycznego faktów: od wspomnienia o Ludwiku XIV, czy Benwencie Cellinim, bo zespół to tak naturalny a głęboki, jak ogień i dym, jak wstrząśnienie i huk, jak ból i krzyk. To też żadne chwilowe a przemijające próby skojarzeń treści cudzej z obcą im formą *ad usum Delphini*, wytrącić związku tego nie potrafią z torów rozwoju przyrodzonego, ani z ram uczciwego poznawania. Nie wykoleją go żadne filozofie papierowe ani doktryny. Przeciwnie; stać się one muszą jedynie w znaczeniu dziejowym (jeśli nie życiowym jeszcze) zgrzytem sumienia w łonie własnych swych twórców.

W bólu i trudzie rozwoju ludzie wybitni męstwem, talentem i zdolnością czynu, wspinali się z niżin barbarzyństwa na szczeble coraz wyższe, wywalczając zwolna w kierunku ewolucyjnym daną formę dla danej treści. I pozostała po nich dla ogółu — przedewszystkiem forma, jako najprzystępniejsza, bo zewnętrzna strona zjawiska. Do niej też gromadowiec najskwapliwiej zmierza i — trzeba to przyznać — najłatwiej osiąga ją pozornie, łudząc się, że zdobycie formy markiza przemienia istotnie pastucha w pana. Jest przytem rzeczą wysoce wątpliwą, czy dziś ktokolwiek zdolny jest pojąć przeszłość panów prawdziwych *do głębi*: Większość najpewniej nie odczuwa jej zgoła, *nie dostrzegając*, podobnie jak gmin w Wersalu, różnicy między nią a sobą.

Duch wielki, treść szczytna, dążąca w dal zawrotną udoskonalenia, a pełna już przesyty na punkcie materii, jak św. Augustyn w swych „Wyznaniach“²⁷ — formy, dla umysłu ludzkiego dostępnej, nie znosi zgoła. To prawda, ale w błędzie są ci, co na prawdzie tej oparciu, szczepią ją *ogółowi* i, niby w czci szczerzej czy kłamanej dla wyżyn ducha, narzucają formę najwyższą: *bezforemności* tym, co rozwojowo dalecy są jeszcze od wyzwolonego z więzów zewnętrznych bezkształtu. Bóg Kościoła „nie potrzebuje“, ale — potrzebują go *ludzie*. Inaczej ogół ich rozleje się w sposób pierwotny a brutalny w zwierzęcości swojej, zamiast,

ujęty w karby doskonalenia się, podążać *ad astra*. I wielka prawda będzie sprofanowana: *Nie... miotajcie perel waszych przed wieprze, by ich snadź nie podeptały swemi nogami...* (Mat. VII, 6).

A tymczasem człowiekowi pełnemu widok formy, tak niezbędnej dla legjonów ludzi przeciętnych, nie przeszkodzi zgoła w rozwoju. W treści będzie treść widział, a w formie tylko i wyłącznie właściwą tej treści powłokę.

Czyliż widok dziecka, uczącego się abecadła, przeszkadza mędrcom w rozważaniu wielkich tajemnic?

Dlatego tylko, że istnieją rzeczy wielkie, nie należy pogardzać małymi. Te małe bowiem, a najczęściej „małe“ tylko pozornie, w ład i porządek przyrodzony złożone, nie zaś płytkość i pustka poznania—ku rzeczom wielkim wiodą na wyżyny.

ALe jakże przedstawia się mechanizm układu jednostek w grupy-piramidy, a tych ostatnich w większe i coraz większe, również piramidalne, zespoły, zwarte w dążeniu ku piramidzie zasadniczej ludzkości?²⁸

Sukcjektywnie, gdybyśmy do jądra ich jaźni sięgnęli, stoi każda z nich: jednostka czy grupa, u zawrotnych szczytów.

Wiedzie je ku nim ich *egoizm* — jednolity na wszelkich szczeblach społecznych.

Aliści, w sferze dostrzegania *objektywnego*, widzimy, że wyróżnia każdą z nich zosobna *styl* swoisty a odrębny w drodze *ad astra*.

Egoizm i styl!

Czemżeż są one? Jaka jest ich istota? Gdzie leży związek, łączący je w misteryach istnienia?

Egoizm, jako pojęcie, jest przeciwstawieniem *altruizmu*, a przeciwstawienia te (*ego-alter*) i związane z nimi, wyjaśniające się nawzajem zjawiska, stanowią w zasadzie dwa bieguny psychiczne dostępnej dla umysłu ludzkiego sfery ujęcia świata, zarówno w zakresie zjawisk jego wewnętrznych, jak zewnętrznych: *speciei aeternitatis* i *speciei vitae*.

Z natury rzeczy, między obu tymi biegunami, mieści się ludzkie „wszystko“, a więc nietylko to, co stanowi przedmiot pojętego jaknajszerzej empiryzmu, lecz i to także, co leży w krainie metafizyki.

Podstawą obu tych właściwości psychicznych człowieka, jest *miłość*,²⁹ która, w zastosowaniu do życia i jego spraw, staje się egoizmem właściwym (dośrodkowością jaźni) — do nieśmiertelności zaś: altruizmem (odśrodkowością jaźni). Wszelako, ponieważ życie (skończoność) jest fragmentem, nie zaś przeciwstawieniem wieczności (nieskończoności jako atrybutu nieśmiertelności), przeto egoizm uznać należy w zasadzie raczej za miłość niezupełną, fragmentaryczną, cząstkową wszechrzeczy,

aniżeli za przeciwstawienie istotne miłości pełnej, t. j. altruizmu.

Kojarzy się to ściśle z pojęciem zła (*a*) i dobra (*b*), co, wraz ze stosunkiem istotnym egoizmu (*c*) do altruizmu (*d*), możnaby wyrazić w formule:

$$a:b = c:d; \text{ t. j. } c = (a.d): b; d = (b.c): a.$$

Formuła ta określa zarazem każdego bez wyjątku człowieka, nikt bowiem nie jest od wyrażonych w niej cech psychicznych wolny. Różnym bywa oczywiście, a jedynie, stosunek wzajemny pierwiastków pomienionych w każdym osobniku. Jest też rzeczą zupełnie naturalną, że przewaga jednego z nich nad drugim, powoduje, bo powodować musi, stosunkowe jego osłabienie.

Siła egoizmu (i zła) jest słabością altruizmu (oraz dobra) i odwrotnie: siła altruizmu (i dobra) staje się słabością egoizmu (i zła). Psychicznym punktem wyjścia egoizmu jest bowiem poczucie: „Świat dla mnie“, altruizmu zaś — „ja dla świata“.

W zasadzie tej—jednej czy drugiej—mieści się wszystko to, co dany człowiek jaźnią swoją zdolny jest w danych okolicznościach ogarnąć. Wyrazem jej, pełnym szczytnego natchnienia, jest indyjskie *Tat Tvam Asi*,²⁹ któremu odpowiada w sferze religijno-moralnej i społecznej podstaw historycznych rozwoju naszego, chrześcijański nakaz miłości Boga i bliźniego.

Tak przedstawia się naogół *zasada najwyższa* poruszonych tu zagadnień. W *życiu* zaś oba wymienione bieguny, istniejące w każdym bez wyjątku człowieku — wszelako w różnej rozciągłości i napięciu — wyczarowują kalejdoskop zawitych, przebogatych w swej różnaitości, skomplikowanych zjawisk psychicznych: indywidualnych i społecznych, regulowanych jednak przez prostą konieczność, zmuszającą każdą jednostkę do współżycia ze swem *otoczeniem*.

Zależnie od swej siły i powodzenia w życiu, klasyczny egoista stać się może w danej chwili zarówno entuzyastą-optimistą, jak pesymistą zgorzkniałym, gdy natomiast takież altruista przedstawi się nam, jako pełen pogodnej, owianej smutkiem rezygnacyi, myśliciel, tęskniący za nieziszczalnym w życiu kształtem swego ideału. Istotnym bowiem wyrazem psychicznym pierwszego z nich jest intelekt, przenikający tak lub owak sferę materyjalną bytu, drugiego — uczucie, zespalające się ze sferą duchową istnienia.

Miłość Boga i bliźniego, oraz płynące z niej dobro, nie mogą stać się głębszym udziałem tego, co miłuje nadewszystko siebie, co — w znaczeniu pospolitem — nie *przezwyćzył* samego siebie, co się nie: *narodził z Ducha*. (Jan III, 8): Albowiem: *Kto miłuje duszę swą, utraci ją, a kto nienawidzi duszy swojej na tym świecie, ten jej strzeże ku wiecznemu żywotowi*. (Jan XII, 25).

Mają też one—miłość i dobro—podstawę przedewszystkiem „metafizyczną“, albowiem „pokój społeczny“ (*paix sociale*), wytwarzający jakoby *realną* miłość bliźniego, co stanowić zwykło argument na rzecz pożytku egoistycznego, mającego płynąć z altruistycznego traktowania swego otoczenia, zasadniczo nie odpowiada tej *prawdzie*. Z jednej bowiem strony głosi ona, iż ze zła — przez ucieczkę od niego—a za nią przez reakcję, rozszerzającą widnokręgi człowieka²⁹—powstaje w nim dobro; z dobra zaś, drogą takiejże reakcyi, t. j. znużenia się szczytnym jego lotem, może zrodzić się zło, połączone z odpowiednim zwężeniem horyzontów człowieczych. Z drugiej strony taż sama prawda powiada, że szczytne dobro i altruizm, to atmosfera świętych, którzy wszystko już, prócz nieskończoności, mają poza sobą i niczego poza nią osiągnąć *nie pragną*, a dobro pozorne i takiż altruizm, to sfera *slabych*, którzy nie osiągają wiele, bo wiele osiągnąć *nie mogą*. Często też *silniejsi* od nich ludzie, a przeto od fałszywych pozorów dalsi, *lepszymi* od nich się stają.

Czyż i tutaj dodawać trzeba, że indywidualizm jest wyższym, szczytniejszym szczeblem rozwoju, aniżeli stadność? Że cechą gromad zwartych jest egoizm dlatego, iż *slabe* są ich części składowe? Że wysoki altruizm jednostek-indywidualistów, to wyraz naturalny a szczytny pierwiastków przebogatych, co darzą ich *siłą*?

Jest tak, pomimo przeciwnych najczęściej pozorów, polegających na namiętnej niekiedy izolowaniu się indywidualistów od stada. Podobnie bowiem, jak, wpatrzony w moc swoją lew, zginąć może w sieci zdradnej, ze słabych nitek utkanej, tak człowiek silny, szczerze a niebacznie sprzeniewierzający się pod wpływem syrenich zawodzeń gromadzkich swemu instynktowi odosobnienia—zginie, jeśli nie opatrzy się rychło i nie skupi sił swoich na drodze, przez własne ja swoje wskazanej. A gdyby ktoś powiedział, że wobec faktu, iż jednostka, żyjąc w społeczeństwie, przez nie tylko moc swoją zdolna jest wypowiadać i że przeto ów instynkt to niby „pies na kopie siana”—odpowiemy mu, że tkwi w tem tylko *nieporozumienie*. Typ silny nie zabiera bowiem dorobku swego do grobu, chodzi zaś o to, aby „siano“, na którem spoczywa, wymieniać umiał na skarby, nie zaś na klęski dla talentów swoich, których owocem, oby najwspanialszym, pożywi się kiedyś, może jeszcze za życia jego, masa. Gdyby zaś zdał się na łaskę tej ostatniej *przedwcześnie*—osiągnie tylko klęskę. I to nawet nie przez złośliwość czy obłudę otoczenia, lecz na mocy wyraźnego prawa natury: z przyczyny, która znalazła wyraz swój w przysłowiu: *Ne sutor ultra crepidam*.³⁰

Pomiędzy geniuszem a społeczeństwem istnieje *tragedya* rozłamu. Oba chcą się pochłonać nawzajem *a nie mogą*. On, prawiać o swoim świe-

cie wewnętrznym, chciałby mimo to pochłonąć w nim swe otoczenie; ono—jego świat, wraz z nim samym. On, jeśli ma siłę po temu, kaźnią proces ów prowadzić usiłuje daremnie; ono, jeśli ma nad nim przewagę fizyczną, wstępuje pod tym względem w jego ślady, krępując go stękiem swych nakazów niemniej bezowocnie. Śmierć dopiero kładzie tamę, bo nie kres nawet, tej waśni, z której tryska życie w znaczeniu nowego zaczynu. On, zgładziwszy swe otoczenie, stałby się niczem: czubkiem własnego nosa, punktem, utkwionym w przestrzeni; ono, podeptawszy grób jego, podzieliłoby się, mimo to, nim samym.

Zmarły olbrzym staje się w pojęciu każdego karła zosobna i ich wszystkich razem—jego, ich własnem wcieleniem, w istocie zaś leży poza nimi, jak oni poza nim, z wyjątkiem tych cech swoich, które się na wspólny ich i jego, ludzki mianownik psychiczny składają. Oba te światy służą całości niepoznanej, niby bieguny sobie przeciwne, a jednak tylko w związku ze sobą powodujące w ramach bytu odpowiednie wyładowania sił twórczych życia.

Powiedzieliśmy wyżej, że przeciwne sobie bieguny egoizmu i altruizmu darzą świat ludzki, w zależności od czasu i środowiska, przebogatym w swej różnaitości kalejdoskopem zjawisk psy-

chicznych, regulowanym przez konieczność, zmuszającą jednostkę do współżycia ze swym otoczeniem. Jest tak istotnie choćby dlatego, że człowiek, posiadający ilość olbrzymią cech wspólnych z innymi ludźmi, co go czyni niezaprzeczoną częścią *ludzkości*, posiada ich jednak najwięcej w stosunku do tych, co stoją na jego własnym, lub najbliższym mu szczeblu rozwoju. Czynnikiem ten, bo tak tę okoliczność nazwać wypada, jest osią układu mechanicznego, skupiającego jednostki w grupy-piramidy, wypełniające od podstaw aż po szczyty wszystkie naogół warstwy wewnętrzne piramidy ludzkości.

Człowiek posiada, obok rozlicznych właściwości indywidualnych, jeden, wspólny całemu jego rodzajowi, przyrodzony ton zasadniczy: dążenie do pierwszeństwa w swym domu, środowisku, a wreszcie — poprzez kręgi coraz rozleglejsze — w świecie. Dążenie to osiąga w każdym przypadku poszczególnym mniejsze, większe lub bardzo nawet znaczne powodzenie, zależnie od zespołu właściwości indywidualnych człowieka z okolicznościami, wśród których przychodzi mu żyć i działać. Stopień analogiczny powodzeń takich — osobistych czy dziedzicznych — stwarza grupy, a zespoły tych grup odpowiednie warstwy ludzkości. Wyrazem ruchu międzycząsteczkowego, odbywającego się w każdej warstwie takiej, są t. zw. *hasła społeczne*, właściwe danemu zespołowi, a ma-

jące — mniej lub bardziej świadomie — służyć mu do wywalczenia sobie pierwszeństwa w świecie. Pierwotność psychiczna każdej, zwartej w sobie gromady, oraz idący za nią, właściwy jej konserwatyzm, sprawiają atoli, że „pierwszeństwo“ to byłoby nietylko dla wszelkiej grupy, oddalonej jeszcze od szczytów, ale i dla wszelkiej jednostki, wchodzącej w jej skład, nieosiągalne, gdyby nie kapilarność wewnętrzna piramidy ludzkości. Ona to — obok emulacji wzajemnej grup i jednostek — sprawia, że indywidua, których treść, a za nią i zdolność przystosowania się do otoczenia, przestała odpowiadać formie danego zespołu, poszukując właściwej sobie formy, przenikają do zespołów innych. Zespoły te wszelako, jako warstwy układu ogólnego, pozostają sobą: stanowią jakby formę, gotową dla tych, co treść odpowiednią posiadli. I tylko rewolucyi, będącej aktem ewolucyi, burzącym (pozornie!) wszystkie wiązania, a ułatwiającym (istotnie!) proces kapilarny, o którym mowa, udaje się na krótko — w momentach „psychozy“ stada-tłumu³¹ — zamieniać (znowu tylko pozornie!) na płaszczyznę przyrodzone kształty piramidalne kryształu ludzkości.

Grupa, jako grupa, przemykająca się podczas rewolucyi, dzięki rozszerzonym kanałom kapilarnym, z miejsca swojego na cudze, skazana jest w dobie pokoju, odnawiającego w sposób przyrodzony dawne władzła społeczeństw ludzkich, na

degradację, odpowiednie wywyższenie, lub zagładę. Treść bowiem pożąda formy swej i odwrotnie: forma domaga się swej treści, pozatem zaś—stosownego dla siebie miejsca w ogólnym zespole. Hierarchiczność³² jest tu nakazem rozwoju naturalnego tak kategorycznym — pewnikiem tak jasnym, jak słońce. Idzie o to tylko, aby, wobec przeświadczenia subiektywnego grup i jednostek o „pierwszeństwo“ swoim w ogólnym układzie piramidalnym społeczeństw ludzkich, mózdz odnaleźć sprawdzian obiektywny, któryby każdej grupie i należącej do niej jednostce potrafił wskazać w układzie ogólnym miejsce, odpowiadające jej istotnie.

Sprawdzianem tym jest ich własne poczucie tajemne ideału, do którego zmierzają w życiu, oraz współzawodnictwo, również tajemne, w stosunku do tych, co ideał ów osiągnęli w przekonaniu wewnętrznym obserwatorów.

Ponieważ mówimy tu o stronie życiowej zjawiska, winniśmy pominąć na chwilę wyjątki — typy wysoko uduchowione królów, marzących o plugu i oraczów, pogardzających koroną, stwierdzając natomiast powszechny jeszcze w świecie ludzkim—folgujący ciału i pogoni jego za potęgą, porządek rozwoju.

Ale bylibyśmy wysoce niesprawiedliwi, poprzestając na charakterystyce tak brutalnej, materyalistycznej, grup społecznych i ludzi. Wszakże są

one wszystkie i wszyscy postaciami człowieczeństwa, polegającego na zespole pierwiastków najbardziej poziomych z najwyższymi; wszystkie i wszyscy posiadają formę swej treści — swój *styl* swoisty — wyraz swych najgłębszych i o prawdzie swej przekonanych szczerze, pojęć, poglądów i wierzeń. A „styl“ — toć to najwyższa, bo w danym czasie, środowisku i zakresie życiowo „doskonała“, *koncepcja świata*.

Wszystko, co jest samo przez się sobą, co jest w szczegółach swych zharmonizowane, zapładniająca, a w istocie swej niezmienna, bo samo w sobie „doskonała“, nazywamy zjawiskiem prawdziwie „stylowym“ lub — *stylem*. Najczęściej jednak nie zastanawiamy się zgoła nad tem, czym jest właściwie „styl“, i gdzie bije jego źródło. Posiłkujemy się tu zazwyczaj wyjaśnieniem ubocznym, wtórnym zjawiska, mówiąc, że styl wypowiada się za pośrednictwem *talentu*. Ponieważ jednak talent nie jest niczem innym, jak tylko zdolnością uzewnętrzniania się,³³ mniej lub bardziej rozumianego przez otoczenie twórcy, a tak go określając, mamy zawsze bodaj na myśli narzędzie talentu: odpowiedni kunszt techniczny, styl zaś, pociągający ku sobie i kunszty i talenty, nie jest sam przez się ani jednym ani drugim, przeto pojąć łatwo, że nie tą drogą rozumowań dojdziemy do pochwylenia jego istoty: treści formy, o którą nam chodzi.

Nie! Istotą stylu, a raczej źródłem jej bezwzględ-
nem, jest t. zw. *natchnienie*, którego rozkosz, wiara
w jego potęgę i jedyność jego racyi, twórca go-
tów jest kategorycznie przypieczętować śmiercią
i męczeństwem. Nie pod przenośnią, lecz w zna-
czeniu dosłownem tego wyrazu... Innymi słowy, go-
tów jest poświęcić dla przepelniającego go tchnie-
nia: *wszystko, co niem nie jest*—wszystko, co mija,
co nie jest tak a nie inaczej pojętych przezeń rze-
czy racyą ostateczną. Styl jest wyrazem tej treści,
zwycięstwem tej mocy przedziwnej, o której powie-
dziano: *Wedle wiary waszej niechaj się wam stanie.*
(Mat. IX, 29).

I czemuż jest owa treść, co się z potęgą tak
żywiolową przeciwstawia marnościami życia w świe-
cie wewnętrznym twórcy?

To *Nieśmiertelność*—jej tchnienie, przelane przez
drobinę-człowieka w drobinę, zwaną jego arcy-
dziełem: w synonim stylu, który dlatego tylko
jest zjawiskiem w szczegółach swych z daną ca-
łością zharmonizowanym i (życiowo) doskonałym,
że jest wiernem odbiciem w czynie ludzkim prawa
natury samej—stylu wiekuistego nieskończoności.

Liść-doczesność, symbol pelzawych trwał, re-
produkcyja stylu natury, zieleni się krótko, schnie,
oblata i gnije; liść-nieśmiertelność rozwija się w nie-
skończoność każdej wiosny. Podobnież nie częst-
ka-jednostka czy cząstka-grupa, naśladowujące sty-
lowość innych, lecz *typy* zarówno jednostek jak

grup, składające się na styl rozwoju ludzkości, niby szczeble drabiny niebosiężnej, kojarzące się i uzupełniające nawzajem, stanowią wyraz człowieka-ludzkości w pochodzie jego *ad astra*. W ich podporządkowaniu jednych drugim w łonie piramidy, jako kształtu przyrodzonego ustroju nas wszystkich, panuje wiekuisty ład i porządek natury, spoglądającej szczytem swym w nieskończoność.

Leży w tem *prawda*; za nią zaś, kto się z nią bez obłonek zapoznać chce i umie—jaśniej w całym swym majestacie: *piękno* rozwoju.

PRawda i piękno!

Doknęliśmy tu znowu pojęć, wymagających—pomimo, a może właśnie dlatego, że każdy rozumie je po swojemu—bliższego określenia.

Zacznijmy od *piękna*.

Czemże jest ono w fazie swego ideału, jeśli nie wrażeniem, którego napięcie najwyższe staje się harmonią, kojarzącą jaźń ludzką z jej istotnem a szczytnem pojęciem o rzeczy, wywołującej w danym przypadku owo wrażenie?

I dlatego to piękno jest, bo być musi równie subiektywne, jak szczęście i miłość. Dlatego — harmonizując, t. j. darząc spokojem poczucia właściwe, zamiast szarpać je rozdźwiękiem zgrzytów, podnosi te poczucia na wyższy szczebel rozwoju,

a doskonaląc je, darzy człowieka rozkoszą twórczości, będącej nie czemś innym, jeno *pochłaniającym go stanem poznawania*, t. j. zbliżania się ku *prawdzie*, niedościgłej jak Bóg, bo spoczywającej w ręku Boga.

Sięgnijmy po ilustrację do środowiska wielkich artystów z czasów świetności dziejowej pod-florenckiego nieba Italii.

W dziedzinie porywów altruizmu słowa i czynu mężowie świętobliwi, a w dziedzinie sztuki prerafaeliści, wyrażają najgłębiej może misteryum zbudzonego w średniowieczu życia duchowego Włoch i świata, któremu one świeciły niedościgłym wzorem. Misteryum, święćące się w białosrebrnych promieniach słońca zakątków uroczych, przeżytnych dolinek i pełnych słodyczy wzgórz, które ongi, gdy człowiek, wolny od kosmopolityzmu, sięgał *głębiej* w najbliższe swe otoczenie, wyśpiewywali słowem i pędzlem modlitwy św. Franciszek z Asyżu i Fra-Angelico—mistrzowie słodyczy anielskiej. *Byli w niebie*. Byli tam, gdzie poezyę swych cudów święciła natura, darząc stworzenia ludzkie zapachem kwiatów, urokiem barw pastelowych i manną życia.

Sam nawet symbol mozołów przyrody i człowieka: wyniosłe góry, strzeliste a nagie szczyty skał, *przejmujące bólem wędrowca*, co z pod nieba pagórków łagodnych wgłęb Apenin się przedarł—*spowijał tam błękit oddalenia*, zamieniający w wi-

zyę poetycką, a od trosk już wolną, wspomnienie
walk i trudów rozwoju.

I można było wołać tam tylko pędzlem czy słowem, z głębi duszy, przejętej dla Stwórcy wdzięcznością bez granic:

Sit Nomen Domini benedictum!

Posunięty nieraz aż do bezmyślności, do wyżyn bezkrytycyzmu zupełnego liberalizm czasów ostatnich, wytrącił z umysłów naszych ów pion świadomej siebie logiki — chłopski rozum — który stanowił ongi na świecie miarę rzeczy niższych i wyższych, prostych i skrzywionych.

I musimy dziś szukać go z mozółem za pomocą obliczeń skomplikowanych, niezawsze pewni uchronienia się od pomyłki czy uchybienia.

Jakże tedy dojdziemy do wniosku, które to mianowicie: indywidualne i gromadzkie typy rozwoju, które style, stylowości i ich wyrazy, które koncepcje piękna i prawdy, miłości i szczęścia — cały bezmiar splotów podmiotowo-przedmiotowych człowieka zbiorowego, stoją wyżej, a które niżej, na szczeblach tej drabiny, co spiętrza w sobie warstwy piramidy świata zjawisk, zwanego ludzkością?

Odpowiedź subiektywna, jak wynika z natury rzeczy i z założeń naszych, może tu być jedynie równym samemu pytaniu bezmiarem twierdzeń ró-

znorakich i różnolitych jak nieskończoność; obiektywna zaś, oparta na wyraźnej w życiu *normie* ogólnej, jest natomiast nader jasna, zwięzła i prosta, a tkwi w każdym człowieku oświeconym, jako w świadomej sobie części ludzkości.

Uczeń przechodzi z klasy pierwszej do drugiej, nie odwrotnie; nie przeskakuje też z drugiej do siódmej, lecz zbliża się do niej stopniowo, a dzieje się to wszystko na podstawie zespołu cech normalnych jego umysłowości, bez względu na genialność czy upośledzenie intelektualne wyjątków.

Te ostatnie bowiem inną — „anormalną“ pójść mogą drogą, przyczem należy stwierdzić, że fakt, iż nie wszyscy znają tabliczkę mnożenia, czy alfabet, nie wyklucza bynajmniej w stosunku do życia potrzeby tych umiejętności.

Olbrzymia większość ludzi składa się z jednostek przeciętnych, „normalnych“, a większości tej — tonowi zespołu powszechnego — poddawać się musi mniejszość tak lub owak.

Każdy człowiek (a_1) posiada w sobie część (a_2), wiążącą go z ludzkością (λ_1), podobnie jak każda drobina (b_1) obdarzona jest właściwością (b_2) zespołu swojego z wszechświatem (λ_2). Stosunek tych części do nieskończoności (∞) bywa wprawdzie różny, ale stosunek każdej z nich do własnej swej molekuli (c), jako postaci *istotnej* życia, musi być zawarty w pewnych granicach (d) *zasady* bytu, iżby molekula ta mogła być sobą.

I wywiązuje się stąd formuła następująca:

$$c:d = [(a_1 \cdot a_2): \lambda_1 = (b_1 \cdot b_2): \lambda_2]: \sim$$

Na tej to podstawie w „normalnym“ świecie ludzkim, w świecie odwiecznej przewagi materii, oracz dąży do tronu, a w świecie wyjątkowej przewagi ducha król — do pługa; na niej wykwita piramida miarkowanych przez ład przyrodzony niewolników ciała i na niej wreszcie, nie burząc jej szczebli, jako zasad rozwoju ludzkości, zakwita duch nieśmiertelny: *Nie mniemajcie, abym przyszedł rozwiązywać Zakon albo Proroki. Nie przyszedłem rozwiązywać ale wypełnić.* (Mat. V., 17).

I Stotę człowieczeństwa usiłowaliśmy przedstawić w części pierwszej niniejszego studium; zastanówmy się teraz nad jej wyrazem w świecie społecznym ludzkości, znanym nam z obserwacji i dziejów.

Przytaczając wyżej nasze tezy zasadnicze,³⁴ wypowiedzieliśmy zdanie, że *sila* i *slabość* posiadają naturalnych swych przedstawicieli w dwu typach *psychicznych*: indywidualistach i gromadowcach, których postacią *historyczną* są panowie i niewolnicy. Jakież będzie ich wyraz *społeczny*? Jak zarysował się ich stosunek wzajemny na tle naszej doby? Czy zmienił istotę — treść swoją, czyli też może

tylko formę, albo zgoła — najbardziej zewnętrzną jej powłokę?

Oto pytania, jakie się tu nasuwają.

Aby na nie odpowiedzieć, winniśmy przede wszystkim stwierdzić, czy istnieją jakiegokolwiek — bądź przesłanki, upoważniające nas do wniosku, że w toku znanych nam dziejów zmienił się zasadniczo układ (wewnętrzny) jaźni ludzkiej, dążącej zawsze i wszędzie do pochłonięcia sfery (zewnętrznej) otaczającego ją świata.

Nie sądzimy, a przeświadczenie to winno skierować nas do wykrycia wśród komplikacji zagmatwanych bytu społecznego naszej doby, tejże samej struktury przyrodzonej ludzkości, której istnienie wykazywaliśmy wyżej, pod postacią piramidy, wśród podstaw psychicznych rozwoju.

„Jądrem historycznym kwestyi dziejów, jądrem dociekań naukowych na jej temat, jest zawsze i wszędzie stosunek człowieka do otoczenia“.³⁵ Jakże przedstawia się on w naszych czasach? Jak kształtuje się w obecnym zakresie *społecznym* bytu?

Czy ludowładztwo i parlamentaryzm zabiły dużą monarchii—*oligarchię*? Czy kapitalizm pograżył w niebycie istotę feudalizmu: *zrzeszenie przemocy*? Czy t. zw. „równość“ ludzi zniweczyła rdzeń społeczny nierówności rozwojowej jednostek: *współdzielczość ich zabiegów o pierwszeństwo wśród otoczenia*?

Odpowiedzmy szczerze.

A jeśli w odpowiedzi na te pytania paść musi krótkie, jednobrzmiące—nie; jeśli istota bytu społecznego, a za nią politycznego i historycznego ludzkości, nie zmieniła zgoła swej treści, zmieniając swą formę, to — jedno z dwojga: albo nasza analiza zjawisk społecznych jest zupełnie błędną, albo li też ich forma obecna jest w stosunku do przeszłości fikcją i pozorem.

I tak i nie.

Tak — w stosunku do praw niezłomnych, rządzących ludzkością; nie — w stosunku do naszej koncepcji tych praw, a w zależności od ogarnianego rozmaitości przez dociekanie charakteru i skali zjawisk.

Dotarliśmy tu w sferze społecznej do punktu, z którego Poincaré³⁶ w sferze przyrody starał się pochwycić ewolucję praw natury.

Wytłumaczmy się jaśniej.

I tu i tam istnieje tylko *różnica w dostrzegalności tarcia*: inaczej przedstawi się nam ono w matematyce, inaczej w geologii, inaczej też pochwyci je nasz umysł w introspekcji własnej (z konieczności!) psychiki, inaczej w perspektywie historycznej stuleci, inaczej w dobie Ludwika XIV i Felixa Faure'a, inaczej wreszcie w soczewce obserwacji współczesnego sobie otoczenia... To też zarówno „prawda“ jak „błąd“ winny tu być oceniane *zasadniczo* tylko w przybliżeniu, podobnie jak we wszelkich naogół zakresach zjawisk.

Istota wspomnianej przed chwilą *dostrzegalności* „*tarcia*“ występuje w świecie ludzkim jako stopień świadomości przedstawicieli danej fazy rozwoju dziejowego, w stosunku do praw niezłomnych, rządzących stale człowiekiem i ludzkością.

Określiśmy wyżej,³⁷ w uzupełnieniu podstawowych tez naszych,³⁸ *nierówność* ludzi jako wyraz społeczno-dziejowy jednostki; *równość* zaś jako takież wyraz gromadzkości ludzkiej. Jednostka i masa istniały zawsze w dziejach, a treść istotna ich stosunku wzajemnego: pochłanianie świata zewnętrznego w pojedynkę lub zbiorowo — nigdy, jako prawo natury, nie ulegało zmianie. Zmienną bywała wszelako i bywać musiała w stosunku do tego prawa *świadomość* jednych i drugich — jednostek i mas, bo „okoliczności zewnętrzne“, „*duch czasu*“ i „fazy rozwoju“ rozmaicie kształtować musiały w różnych okresach ich pojęcia o potęgę życiowej własnej swej roli.

Z kolei, niby w wiekuistym zmaganiu się materii z ożywiającą ją siłą — niby w zapasach wzajemnych ciała, pożądającego przeciw duchowi i tegoż ducha, pożąda jego przeciw ciału, przedstawia się nam, jak następuje, bieg fal powrotnych³⁹ rozwoju:

Przewaga równości. Na tle pierwotnego, na polu zwierzęcego *stada*, powstają silniejsi od tworzących je jednostek indywidualiści, aby powołać do życia —

Przewagę nierówności: ustrój zbliżonych do progów historii nomadów, posiadających *przywódców* swoich; a na tle tej epoki zamierzchłej, pod wpływem czynników pra-ekonomicznych,⁴⁰ rodzi się dążenie ku osiadłości, ogarniające coraz szersze kręgi koczowników:

Przewaga równości. I tak powstaje w brzaskach historii *lud rolniczy*, wyłaniający z siebie, pod wpływem niebezpieczeństw zewnętrznych —

Przewagę nierówności: książąt-wojewodów, protoplastów dynastji, stających się osiłą monarchji, na których tle rozwijają się z czasem, jako

Przewaga równości — gromadne a zwycięskie dążenia *ludów*. Tak właśnie powstały czasy ostatnie, rzekomo w typie swym (przewagi równości) skryształizowane już ostatecznie. Aliści liczne, coraz liczniejsze, przesłanki⁴¹ zdają się zapowiadać —

Przewagę nierówności — zgołą odmienną *przyszłość* rozwoju....

Z natury rzeczy w każdym z takich okresów *inaczej* kształtować się musiała i kształtować się będzie bez widomego końca, świadomość ludzka w stosunku do praw rozwoju i w coraz to inne pojęcia je przyoblekać na korzyść tej (masy) czy innej (jednostek) strony, choć prawa te trwały, trwają i trwać będą w istocie swej bez zmiany; choć — mimo wszelkich a różnych poglądów i wierzeń — zmieniają się nie one, lecz stosunek czło-

wieka do nich: jego ułomność, bo fragmentaryczność tkwiącego w jego umyśle odbicia całokształtu praw natury — niewspółmierność szczegółu z ogółem wszechrzeczy: przyczyna „tarcia“, zachodzącego między „prawem“, a jego koncepcją ludzką.⁴²

Czyż można przeto nazwać *postępem zasadniczym*⁴³ obecną fazę rozwoju?

Chyba takim tylko, jak kiedy ktoś, chcąc dom stary z gruntu przebudować, rozbiera go. Żyjemy właśnie w czasach rozbiórki starego domu. Jest to niewątpliwie postęp w stosunku do czasów, kiedy dom stary (doba ostatnia przewagi nierówności) stał jeszcze nienaruszony, i — również niewątpliwie — doba młodsza w stosunku do ery przyszłego, nowego domu. Jest to faza postępu, wszelako nie w jego linii charakterystycznej, podobnie jak staw, przez który rzeka przepływa, nie jest jej obrazem, choć stanowi etap niewątpliwy w jej biegu od źródeł do ujścia... To postęp, ale nie jego szczyt, ani nawet perspektywa w świetle właściwym: to przeżuwanie nabytków dawnych, pańskich, przez niewolników. Do szczytów ludzkość zmierza po linii rzeki: po linii przyrodzonej — *jednostkowej* swego rozwoju.

ALe jakże przedstawi się nam w introspekcyi społeczeństw ludzkich stosunek *treści* danego z kolei (równość-nierówność) typu zwycięzcy, do

form pokonanego przeciwnika, uwarstwionych we wnętrzu piramidy społecznej rozwoju? Zwycięski typ-jednostka, powołany w życiu na jej szczyt przez prawa ewolucyi, może tu poczynać sobie bez obłudy: Napoleon, szyty złotem i purpurą, zasiądzie w Nôtre-Dame na złotym tronie, a potrzebnych sobie pomocników z ludu, świeżych jeszcze przywódców tłumu,⁴⁴ przyodzieje w pióra strusie i lśniące klejnotami liberye swoich marszałków... Natomiast zwycięski typ-masa szczytów tych, ani szczebli ku nim wiodących, rzekomo nie dostrzega wcale. Hasła jego, wywodzące ród swój z duszy stada-tłumu, unicestwiły jakoby piramidę bytu, rozpylając ją w płaszczyznę kolistą równości z napisem w otoku: *liberté, égalité, fraternité*. Ponieważ jednak *on affiche toujours ce qu'on a perdu*, a piramida—mimo wszystko—stoi niewzruszenie, przeto, pełzając w iluzyi kłamliwej, typ ten wypełnia górne, szczytne jej formy, płaską—niby jej podstawa — treścią swoją, bierze w swe posiadanie jej poziomy wewnętrzne, odpowiadające jakoby, bo tylko zewnętrznie, a więc pozornie, *materyalnej* jego mocy, i stroi się w formy, powstałe niegdyś logicznie z zespołu materyi *z duchem*. I duch jego w formie cudzej czuje się nieswojo, a opuszczona przezeń forma nizin tęskni za swą treścią. I bywa ów typ, jako dziki, przybrany w cylinder: Straszy swoich, nie zostając sam gentlemanem. Temu też chyba tylko—*wyjątkowemu*

obywatelowi pół-ludzkiego stada, co sam przez się bliskim był już człowieczeństwa, cylinder ułatwi poniekąd osiągnięcie istotne wyżyn rozwoju. Powszechnie natomiast zapanuje w licznych stadzie pół-ludzi zwycięzców, forma pusta bez treści: lupina, z której orzech wypadł bez śladu. I zbudzi się w niem smutek—tęsknota za własnym swym kształtem, za formą swoistą: za *odpowiednim stylem*. Kto bowiem woła najgłośniej „wolność, równość, braterstwo!“, bywa zazwyczaj najpokorniejszym z niewolników: niewolników nie sprawy publicznej ani wewnętrznego w stosunku do niej nakazu moralnego, lecz pierwszego lepszego z brzegu pana, który go żywi tak lub owak. Jest to całkiem naturalne, albowiem wszystko dąży do równowagi i harmonii: im przeto treść rzeczy jest w danym przypadku uboższa, tem głośniejszego szuka sobie równoważnika we frazesie i haśle. Dzieje się to często nieświadomie, ale nie mniej przeto—wymownie.

Tak przedstawia się w przybliżeniu ogólna postać psychiczna tej fazy, w której masy ludzkie, jakby przekreślając w formie krzyża, symbolu cierpienia, linią poziomości swojej pion rozwoju, dzielą się szatami jednostek. I ciężar goryczy, unoszącej się jak opar, nad wyschłym źródłem życia, nad bezpłodnością bytu materyalnego mas, „doskonalącego“ się w nieskończoność, tłoczyć je będzie tak długo, aż wyłoni się z pośród nich, z prze-

ciętego przez nie same pionu jednostek, *ćwiczących się w człowieczeństwie swoim*, płonka nowa... Obdarzy ona szczęściem jednych, a spokojem innych—względny jak życie w zestawieniu z wiecznością. To prawda. „Lepsze“ jest atoli wrogiem „dobrego“: czyliż tego tymczasem nie dosyć? „Szczęście“ posiadają twórcy z ducha, a „spokój“ ci, co pojmować ich będą.

A Teraz przyjrzyjmy się psychologii społecznej własnej doby naszej i stwierdźmy, gdzie w niej leży szczyt a gdzie podstawa piramidy — przyrodzonego kształtu rozwoju.

W pojęciach większości u jej szczytu siadł Mamon, a mniejszości—Bóg.

Z jednego tego spostrzeżenia, nawiązując je do wszystkich poprzednich, wywnioskować możemy snadnie, w jakiej to fazie żyjemy, gdzie bije dziś źródło natchnień naszego ogółu, *jakie barwy* dostrzega zbiorowa świadomość nasza na sztandarze szczytów: jednostki czy masy? To też, pozostawiając indukcyę odczuciu czytelnika, wnioskować tu możemy wręcz dedukcyjnie o typie tej fazy (równość — nierówność), która wzięła świadomość pokoleń ostatnich, wraz z naszym, w swoje władanie.

Jakież mienią się w niej barwy? Odpowiedzmy z całą szczerością, że nie pierwsze, lecz — drugie:

nie treści człowieka wewnętrznego, lecz formy zewnętrznej—nie jednostki, lecz masy...

Należałoby się przeto pierwszeństwo tej ostatniej w obecnej analizie naszej, gdyby nie układ książki niniejszej.

Zasadę mechanizmu, wiążącego oba bieguny: jednostkę z masą i odwrotnie, u podstaw bytu społecznego ludzkości,⁴⁵ oraz różne postacie zjawisk dziejowych, jakie z zasady tej płyną, usiłowaliśmy określić bliżej w innych pracach naszych.⁴⁶ Nie będziemy się też powtarzać. Obecnie zamierzamy scharakteryzować bieguny wspomniane w ramach wzajemnego ich stosunku na tle pełni psychologicznej społeczeństw ludzkich, jako całości, stojącej na wyższym szczeblu rozwoju.

Mamy do czynienia z okresem, w którym masy w przekonaniu swoim przysły do władzy, a wolność, równość i braterstwo zostały utrwalone. Ale czy zniknęła przeto w onej fazie władza władców? Czy masy owładnęły same sobą? Czy znikła istotnie nierówność ludzi? Czy chrystyanizm zatryumfował nad Baalem?

Bynajmniej, i to tak dalece, że wszystkie pytania te zakrawają wręcz na ironję.

I czemu?

Bo *zasada psychiki ludzkiej* pozostała sobą, a przebycie, choćby i wielu zakrętów drogi, nie zmienia ani celu podróży ani pielgrzymia.

Psychika ludzka!

Mówiliśmy o niej — *sit venia verbo* — już wiele, ale jest ona tak niewyczerpaną, jak własna jej *rozciągliwość*, jak bezmiar, którego jest, bo stać się może — odbiciem. Powiadają, że pewne jej nastroje, np. namiętność cierpienia, wypowiedająca się między innymi w hasle niegramatycznym pewnej grupy biczowników dzisiejszych, dotkniętych pono obłędem⁴⁷ religijnym, a wołających wśród męki: „Pokutujcie wszystkich!“ — to cecha czasów zamierzchłych: minionego już jakoby przez wiek nasz szczebla rozwoju.

Tak nie jest!

Moc potencjalna psychiki ludzkiej jest niezmienna, lecz dany jej wyraz realny a różny, kształtują *okoliczności życia*, osobiste i dziedziczne, przepuszczane w różnym stosunku i układzie przez dany pryzmat psychiczny. Jest tak, bo nie sama tylko świadomość, lecz sfera zarówno poza-świadoma (uczucie — impuls), jak świadoma (rozum — refleksja), składają się w człowieku na jedną całość. Pierwsza, pod wpływem bodźców odpowiednich, przechodzi w drugą i z tą dopiero chwilą staje się zasobem poznawania logicznego. Co dla jednych jest poza-świadomem i dlatego jak sen przerywanem, nielogicznym w całości swego wyrazu marzeniem, to dla innych staje się ciągłością uświadomioną: jawą, myślą *logiczną* i realnym czynem. Nic przeto dziwnego, że ów czyn — wyraz życiowy uświadomionych — wydaje się

marzycielom ekstrawagancją⁴⁸, o tyle bardziej zasługującą na potępienie, o ile życie samo jest bardziej realne od nie-życia, byt od niebytu, a „zło“ — zwarty i sam w sobie ciągły *fragment* nieskończoności — od „dobra“, jako przerywanej przez sprawę życia *pełni* jej odbicia w jaźni ludzkiej.

Mistrzowie życia są, zaiste, może za cenę roli, jaką grają w sztuce rozwoju — bardziej wyrozumiali wewnątrznie dla marzycieli, niż ci ostatni dla nich...

Tout comprendre — c'est tout pardonner, a powiedziano jest przeopatrnie: *Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni*. (Mat. VII. 1.).

Wedle słów jednego z myślicieli, okoliczności nie zmieniają człowieka, lecz wykazują jakim jest. I mistrz ten, mając niechybnie na myśli poruszoną wyżej *zasadę* psychiki „człowieka wiecznego“, wypowiedział prawdę. W życiu jednak, jak je naogół pojmujemy, okoliczności urabiają człowieka w stopniu o wiele znaczniejszym, aniżeli on siebie sam. Dzieje się to nie dlatego, iżby człowiek, a zwłaszcza człowiek silny, miał być chorągiewką, wydaną na pastwę wicherów zmiennych, lecz dlatego, że psycho-fizyczna jego istota, wystawiona na wielorakie działanie bodźców zewnętrznych, składa się z bezmiaru nawar-

stwień, powstałych w ciągu genezy osobnika. Najczęściej tylko powierzchnia owej głębi bywa uświadomiona w życiu, dając wyraz temu, co nazywamy danym „człowiekiem“, „typem“, „indywiduum“ czy „charakterem“, bo *sobą* stało się w nim dla oka naszego, a zazwyczaj i własnych jego o sobie pojęć, to tylko, co pod wpływem pomienionych bodźców zostało w nim powołane do odpowiedniej reakcji. To też wspomniane wyżej hasło: „Pokutujcie wszystkich“, nie jest w istocie swej tem, co zwykliśmy od ręki mianować przeżytkiem, albowiem może to być odruch, w pewnych warunkach całkiem „naturalny“. Gdyby jaki Alboin nowożytny uraczył nas winem z ociekającej krwią czaszki umiłowanej nad wszystko istoty, czyliż moglibyśmy przewidzieć z góry wyraz naszych „nastrojów“? Zmieniamy się nie my, jako zasada mechanizmu naturalnego, budującego jaźń naszą — syntezę składających ją czynników, — lecz zmienia się w dziejowym kalejdoskopie wieków różny w różnych *epokach* i *środowiskach* zespół warunków jej otoczenia. Żadna kultura ani żadna cywilizacya nie mogą tedy z natury rzeczy wytrzymać tej próby, na jaką wystawia je — już nie nieskończoność wszechrozwoju, ale sama nawet t. zw. „wieczność“ człowieka, jako przedstawiciela swego rodzaju. Nie są one bowiem niczem więcej, jak tylko wyrazem momentów dostrzegalnej dla nas ciągłości bytu zbiorowego w da-

nym zespole pod danym podniebieniem. Konstrukcje takie istnieć mogą oczywiście tylko o tyle i tak długo, póki nie zostaną zachwiane ich podstawy swoiste. A dotyczy to zarówno ich całości, jak części: dotyczy zarówno każdej jednostki zosobna, jak każdej grupy społecznej, ludu czy ludzkości, we wszelkich ich zespółach. Człowiek, jako wyraz synbiozy ducha i materii, jest człowiekiem „wiecznym“; człowiek, jako typ „określony“, jest efemerydą — łątką szklistą, bujającą w kalejdoskopie świetlnego wodotrysku.

Czyż możecie określić jej barwę?

W teorii, oderwanej od życia, każdy człowiek wznieść się może do wyżyn *ecce homo*, albo spaść na dno *bête humaine*. W życiu, tylko wyjątki zupełne przebywają na owych nizinach i szczytach: wszyscy inni krążą po stokach góry.

Przed laty kilkunastu panowie świata zadeptali na śmierć księżnę d'Alençon podczas pożaru bazaru dobroczynnego w Paryżu. Przed kilku — kapitan tonącego *Titanic'a* kierował do końca, póki nie zginął, ratunkiem powierzonych sobie pasażerów...

Rodzaj prób, na jakie może być wystawiony człowiek, ulega różnym zmianom w różnych okresach rozwoju. Właściwością kultury czasów ostatnich — przed Wojną Europejską — było między innymi to, że strzegła ona t. zw. ludzi cywilizowanych od wstrząsających wrażeń, budzących

w sposób jaskrawy zarówno duchową jak fizyczną stronę człowieka.

Nie dziwny się przeto, że ktoś, będący przez pół życia swego „zielonym“ czy „żółtym“, został wreszcie „niebieskim“ albo „białym“. On był nim *zawsze*, w stosunku do pewnych bodźców, w swym stanie pozaświadomym, zanim mógł nim zostać na jawie. Każdy z nas jest w tem znaczeniu i zwierzęciem i aniołem; każdy również jest czcicielem siły: złej — przeważnie, a bodaj wyłącznie dlatego, że nie było mu jeszcze dano poznać — dobrej. I w znaczeniu tem ludzkość — szara jej masowość — jest poprostu, *sub specie aeternitatis*, tymczasowością — „nieporozumieniem“. Czyliż bowiem cały bezmiar jej cząstek nie zamienia się w ludzi pełnych tylko dlatego, że nie wie poprostu, *co to znaczy*, a innymi słowy: że z przedstawicielami tego typu, właściwie mówiąc, nie miał do czynienia? W przeciwnym razie *jawa-treść* (stopień człowieczeństwa) tego bezmiaru musiałaby być inną, podobnie jak jego *forma*, będąca w zasadzie wyrazem naturalnym stosunku danej treści do treści innych.

Ludzie powiadają, że chcą prawdy: prawdy „absolutnej“, bezwzględnej. Niepodobna im wierzyć: Oni nie chcą tej prawdy, któraby im powiedziała skąd i czemu są, czem są, czem być mogą i czem będą — prawdy istotnej. Oni chcą — conajwyżej — prawdy takiej, któraby potwierdziła

ich subiektywne „prawdy“ konwencyjonalne. Ich dążeniem jest zamknąć Wszechświat w zakątku własnego ich „dzisiaj — jutro“. I gdyby ktoś odkrył strunę rdzenną wspólności ludzkiej, pani *ideowego* postępowania człowieka przeciętnego, a począł na niej brzdąkać — opanowałby „świat“. Stado poszłoby za nim, jak szczury za fujarką czarodzieja... Na boku tylko stałyby nieliczne jednostki — w zadumie.

J Ak ciało zdaje się panować naogół nad duchem, tak też potęga materialna zdaje się wznosić w przeciętnej, dostrzegalnej postaci życia, ponad potęgę moralną. Dążenie — mniej lub bardziej świadome, czy chętne, — do pierwszej z nich, posiada nawet bezwzględny czciciel drugiej. Jest to zjawisko bezsporne, któremu przeczyć, znaczyło by uprawiać obłudę względem siebie i innych. A powiedziano jest: *Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj*. (Łuk. XI, 3).

W danym razie chodzi tu jednak, a przynajmniej chodzić powinno człowiekowi pełnemu, tylko o materialną *powszedniość* bytu — *różną* wprawdzie w stosunku do materii, bo zależną w różnych przypadkach poszczególnych od rodzaju posiadanych przez tegoż człowieka „talentów ewangelicznych“, — *jednaką* wszakże w stosunku do ducha i życiowych jego nakazów: obowiązków

moralnych. *I rzekł im Jezus: Czyj jest ten obraz i napis? Rzekli mu: Cesarzski. Tedy powiedział im: Więc oddawajcie Cesarzowi, co jest cesarskiego, a Bogu, co jest Boskiego.* (Mat. XXII., 20, 21.).

Podobnie, jak we wszechświecie całym, tak też i w sferze zjawisk, o które tu chodzi, cząstki, przyciągające się nawzajem, skupiają się, tworząc właściwe sobie zespoły, te zaś rysują na tle życia odpowiednie sobie wyrazy.

Aryman i Ormuzd panują zarówno w drobinie, jak w bezmiarze, ale pierwszemu hołdują w jaźni swej ci tylko, co nie zdołali bliżej zetknąć się z drugim. Droga pierwszego z nich jest przystępna i szeroka, drugiego skalista i wązka. Wszelako u wylotu drogi Arymana roztacza się nienasycone niczem pożądanie — zgrzyt tymczasowości bytu, Ormuzda zaś — spokój harmonijny nieskończoności istnienia.

Żaden, najwyższy nawet, stopień siły materialnej nie daje i dać nie może posiadaczowi swemu pełnego zadowolenia, gdyż hamuje je poczucie tymczasowości potęgi, związanej z fazą przemijającą danego stanu posiadania, poza którym rozciąga się perspektywa wrogiej człowiekowi „nicności“ — treści szatana, gdy natomiast stopień wysoki siły duchowej, odpowiednio przewartościowującej świat, rodzi pogardę zupełną potęgą materialnych, wznosząc zharmonizowanego w niewysłowionej błogości obcowania z Bogiem posia-

dacza swego, na wyżyny. I ten, co stał na niskim poziomie kropli, bodajby świat cały w sobie odbijającej, lecz roztrącanej w biegu, podąża tam, skąd całość nieprzebrana kropel, fal i bałwanów życiowego *πάτρα ῥεῖ* budzić może współczucie, litość, czy rzewną zadumę, lecz nigdy trwogi i przerażenia. Bo jest to znowu ów punkt, z którego *nieśmiertelność* spogląda w *wieczność* — sługę swą i niewolnicę ⁴⁹.

To też nie w państwie Arymana lecz Ormuzda biją źródła ożywcze świadomości człowieka pełnego — kwiat z Boga — zawiązek istoty, zdolnej nie burzyć, lecz tworzyć, bo przewartościowywać wewnątrznie, a do głębi, świat zjawisk *na obraz i podobieństwo swoje*. (Genesis I. 27.).

I czyżby przeto ludzie, stojący na szczeblach drabiny życia najniżej, nędzarze, głoszący skwapliwie hasła „dobra“, bo potrzebujący go zewnątrz siebie, zwłaszcza w znaczeniu materyalnym, najbardziej sami; czyliżby właśnie ludzie ci mieli być w zasadzie czołowymi szermierzami pochodu ludzkości *ad astra*?

Wydaje się tak z pozorów, gdyż siłę moralną, siłę ducha, zdobywa człowiek przez cierpienia, przez mękę i udręczenie, wiodące do wyżyn koncepcyi: *marność — wszystko jest marność*, oni zaś stoją jakoby od tej szkoły najbliżej, dając temu wyraz częsty w lekceważeniu życia, w filozoficznym godzeniu się ze śmiercią. Wszystko to prawda,

a jednak znowu przychodzi tu na myśl oracz, niepotrzebujący sprzedawać⁵⁰ co ma, aby nie być królem⁵¹; stają w pamięci słowa pamiętne o wielbłądzie i Uchu Igielnem⁵², przypowieść o talentach⁵³, a wreszcie będąca z nimi w głębokim związku moralnym zapowiedź: *Błogosławieni ubodzy w duchu: albowiem ich jest Królestwo niebieskie* (Mat. V., 3.).

Ich jest ono, bo stoi — otworem dla wszystkich, oni zaś, to tych „wszystkich“ większość przeogromna, wolna od nadludzkich zmagania się z sobą, by ów cel osiągnąć. Ich prosty przykład oraczów nie może jednak starczyć królom ani wojewodom świata: tym rzeszom górnym, do których zwrócone są słowa: *Tak-ci tedy każdy z was, kto się nie wyrzeczy wszystkich majątności swoich, nie może być uczniem moim.* (Łuk. XIV., 33.). Chrystus, pogardziwszy ofiarowaniem Mu Królestwem świata tego, został *Sobą*: *I wiódł go dyabeł na górę wysoką i ukazał mu wszystkie Królestwa wsze-go świata w okamgnieniu. I rzekł mu: Tobie dam władzę tę wszystką i ozdobę ich: bo mnie poddane są, a komu chcesz, dawam je... I odpowiadając Jezus rzekł mu: Powiedziano jest, nie będziesz kusił Pana Boga twego.* (Łuk. IV., 4, 5, 11.). Jemu też właśnie, a zpośród istot ludzkich, posłusznych Jego wezwaniu, nie prostakom zaiste, lecz tym przedewszystkiem, co w wysiłku potężnym uczucia, myśli i woli osiągnąć zdołali szczyt rozwoju,

dano było zawsze porywać czy pociągać innych za sobą: *powiadam wam: żeć takie będzie wesele w niebie nad jednym grzesznikiem pokutującym, więcej niż nad dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwymi, którzy nie potrzebują pokuty* (Łuk. XV., 7).

SKierujmy teraz wzrok nasz ku układowi życiowemu zjawisk społecznych, badając jego piramidę w kierunku od szczytu do nizin, w takim bowiem porządku zarysowuje się w jej łonie między biegunami: indywiduum — masa, proporcya wzrastająca skupień ludzkich, od jednostkowych aż do coraz liczniejszych jej zespołów.

Wiemy już, że osobniki takie czy inne: indywidualiści czy gromadowcy, nie powstałi z różnej gliny; wiemy, że drobiny materji i ducha składają się, a przynajmniej składać się mogą na nie zasadniczo w sposób jednaki, lub też wielce, bo podobnie jak postać fizyczna ludzi, do siebie zbliżony. Wiemy atoli, że warunki życia i rozwoju, a wśród nich przedewszystkiem wpływy fizjologiczne i społeczne „rasy“ (= dziedziczności), środowiska oraz czasu, zetknęły jednych i drugich *inaczej z jawą*, która stała się powodem odmiennego ich ugrupowania, wyznaczając im miejsca odmiennie w piramidzie ustroju. „Jawa“ nie ma bowiem nic wspólnego z „absolutem“ rzeczywistości bytu, wobec którego wszyscy ludzie,

bez względu na rodzaj swych „jaw“, są równi, podobnie, jak, w pojęciu religii, wobec Boga. Ludzie żyją jednak bezpośrednio nie rzeczywistością taką, lecz tylko i wyłącznie różnemi jej „jawami“,⁵⁴ które, zastępując im rzeczywistość istotną, każdego *swoiście* do niej zbliżają. Tacy to właśnie ludzie, „równi wobec Boga“, lecz swoiści pomiędzy sobą w stosunku wzajemnym, składają się na życiową piramidę ludzkości.

Inaczej też indywidualiści a inaczej gromadowcy patrzą na swe otoczenie; inaczej kształtują swój do niego stosunek w życiu, inaczej zarysowuje się na tle bytu i jego rozwoju wyraz (= forma) tworzonego przez nich zespołu materii z duchem, jako z jej treścią.

Jakże się jednak owo „inaczej“ przedstawia na tle możliwej do pochwycenia rzeczywistości bytu?

Oto, zaczynając od indywidualistów, należy przedewszystkiem stwierdzić, że *rozleglejszą* jest skala każdego z nich, aniżeli każdego gromadowca, w ocenie samego siebie zarówno w stosunku do Boga, jak do życia i jego wartości wszelakich.

A tendencja tej skali — linia jej zasadnicza — bynajmniej nie jest pozioma. Przeciwnie; zbliża się ona, podobnie jak ściany piramidy, do pionu: Indywidua uduchowione, odrywając się od materii, usiłują, całą mocą swej jaźni, wzniesić się

do Boga; intelektualiści — całym wysiłkiem umysłu swego — przeniknąć w głąb poznania; artyści — skupioną potęgą geniusza — przeniknąć w głąb ideału; materyaliści-twórcy — całą swą siłą — zaprzędz tajniki przyrody, czy bogactwa ludzkie, do służenia swym celom, materyaliści-spożywcy zaś, — nasycić wybujałe swe pożądanja czarem tych rozkoszy, na jakie zdobyć się może zasób zmysłowy; wreszcie indywidualiści „praktyczni“, potentaci życia, — zespolić nietylko osobiscie, lecz dziedzicznie, naokół siebie, wszystkie te wzloty: *hodować* je i ich owoce spożywać w rozwoju.

I czyśmy nie trafili tu w postać historyczno-społeczną *arystokratyzmu* — władztwa „najlepszych“ — a w ostatnim, syntetyzującym je przykładzie, w jego życiową w piramidzie ustroju ludzkości *treść* realną?

Zdaje się, że tak.

Zastanówmy się tedy z kolei nad jego rolą.

A najpierw pytanie:

Czem jest w zasadzie kultura w znaczeniu cywilizacji?

To synteza danego stanu zróżnicowanej pracy społeczeństw, ludów, państw i narodów.

Czemu służy praca zróżnicowana?

Zaspakajaniu potrzeb zróżnicowanych.

Kto posiada przeciętnie potrzeby bardziej zróżnicowane: Pan czy sługa?

Odpowiedź jasna.

Kto stał się w dziejach źródłem narzuconego ludom przez rozwój nakazu pracy różnicowanej? Panowie, czy niewolnicy?

Odpowiedź jasna.

Gdzie biją *źródła dziejowe* tej treści, której formą jest kultura i cywilizacja nasza? W warstwach indywidualistów, czy gromadwców?

Odpowiedź jasna.

Czyj styl zbliża się w dziejach bardziej do typu indywidualisty? Pana, czy sługi?

Odpowiedź jasna.

A do typu gromadowca?

I tutaj odpowiedź byłaby zbytęcną.

CZem jest arystokratyzm ducha, talentu, intelektu, oraz lukullusowa, w znaczeniu ujemnem, jego karykatura w osobach bezpłodnych użytkowników życia, to już wiemy. Obecnie chodzi nam o tę jego postać, która, w rozumieniu ogólnie utartem, zasiadła faktycznie na szczyblach najwyższych ustroju. Czem jest ona właściwie i jaką jest jej rola w mechanizmie ewolucyjnym ludzkości?

Mamy tu na myśli przedewszystkiem Europę, nietylko dlatego, że jest ona najbliżej nam znaną, ale i dlatego także, że ta część świata ogarnia zespół czynników, które wytworzyły w dziejach t. zw. europeizm, jako syntezę sił zwycięskich w sztuce związanego z naszą dobą panowania nad światem.

tem. Czy panowania bezwzględnego i rokującego przeto długą trwałość, to sprawa inna, którą na razie pokryć musimy milczeniem.

Europeizm!

Z góry już, pomijając świat egzotyczny, który nie znalazł jeszcze odbicia swego w dziejach powszechnych; pomijając afiliacyjny i przeto w stosunku do Europy wtórny, amerykańizm, oraz tak obcy jej azyatyzm, powiedzieć trzeba o stylu ładu naszego, że wytworzył on we współczesnej erze rozwoju ludzkości pewne *maximum* sił żywotnych człowieka w zakresie t. zw. rzeczywistości bytu i dlatego w tymże zakresie zdołał najbardziej ze wszystkich, znanych nam typów historycznych człowieczeństwa zbiorowego, narzucić się światu.

Niezmiernie przeto cennem byłoby wykrycie *istoty* dziejowej jego rozwoju, odróżniającej go od azyatyizmu i amerykańizmu, jako potęg najbliższych, lecz nie dorównywujących mu w szrankach ewolucyjnych ludzkości.

Wszystkie one — wszystkie trzy na równi — podobnie jak cały ogół wszelakich a rozproszonych w czasie i przestrzeni, zjawisk zarówno jednostkowych jak zbiorowych ludzkich, posiadają, bo posiadać muszą niezmiernie, piramidalny kształt przyrodzony swego ustroju. Właściwa swoistość ich wyrazu począć się mogła tam dopiero, w tych tajnikach zespołu części składowych ich brył, gdzie zarysowały się w sposób odmienny skupione w nich

jawy (= treść dziejowa), oraz odmienna, w każdej z pomienionych części świata, postać stosunku jednostki do otoczenia (= forma historyczna). „Arystokratyzm“, jako synteza koncepcyj, a w ślad za nią *wyrazu* sił, w danym zespole najpotężniejszych, bo kierujących życiem, zajął miejsce swe u szczytu każdej z tych piramid, czy to dziejowych czy współczesnych nam—zarówno Azji, jak Ameryki i Europy.

Nie żywmy żadnych w tej mierze wątpliwości ani złudzeń! *Istota* każdego z arystokratyzmów pomienionych musiała być i jest odbiciem odpowiedniem *istoty* właściwych piramid.

Chcąc tę ostatnią pochwycić tu czy tam, t. j. ogarnąć polem widzenia możliwie jaknajdokładniej, wystarczy skierować spojrzenie nasze ku właściwemu arystokratyzmowi, panującemu w danym miejscu i w danej dobie, jako ku soczewce, skupiającej najwierniej cechy swoiste odpowiedniej całości zjawisk.

Mniemam, że będziemy najbliżsi prawdy, charakteryzując krótko wyraz rdzenny „arystokratyzmu“ amerykańskiego słowem: *pieniądz*, azyatyckiego zaś: *ród*. A ponieważ europeizm zawładnął w dziejach, jak rzekliśmy wyżej, jednym i drugim przeto wydawałoby się, sądząc o rzeczach li tylko *logicznie*, że rozporządzał on—tu i tam, odpowiednim kluczem tajemnic: że posiadał, jak Janus, istotę dwuobliczną — że zsprzął w tworzywie potężnej swej kultury *oba* pierwiastki rzeczzone.

A czyliż *historycznie* arystokratyzm europejski dałby się wogóle określić *inaczej*, niż jako synteza dziejowo-społeczna pieniądza i rodu?! Czy dałby się określić *inaczej*, choćbyśmy nawet pragnęli jaknajbardziej zwalczyć przez dane dziejowe logiczną konstrukcję naszą?

A Le cóż to jest właściwie, z punktu widzenia studyum niniejszego, *pieniądz* i *ród*?

Pierwszy z nich określić możemy ogólnie, jako symbol materji, służący nadewszystko do przenoszenia wśród ludzi form, nie zaś treści wszechwartości. To też, podobnie jak ciało, cechy jego i potrzeby, nie może on stać się potrzebą wyłączną rozwoju człowieka pełnego.

A rodowość w znaczeniu jej pnia genetycznego?

To wyjście człowieka poza osobowość własną w kierunku przeszłości i przyszłości rozwoju: to w zasadzie pogłębiona miłość dla potomstwa, znajdująca na drodze, jakoby czysto fizycznej, wyraz dla ideału.

Szczerą i głęboką, doprowadzającą nieraz do zaparcia się siebie, troską o utrwalenie pnia własnego pod znakiem doskonałości, choćby pojmowanej całkiem subiektywnie, odchyła się bowiem, podobnie jak we wszelkich talentach innych, od poziomu przeciętności masy, zmierzając do pionu. Pierwiastek idealny, tkwiący w rodowości, to jed-

na z postaci, nie najszczytniejszych może, ale najtrwalszych i przeto w życiu najsilniejszych, tego wyrazu, jaki człowiek, na modłę dla ogółu najprzystępniejszą, daje w świecie ludzkim własnemu instynktowi nieśmiertelności, żłobiąc dla niego w swem otoczeniu drogę ducha.

Będąc, jakby postacią skupioną miłości Ojczyzny — instynktu, ogarniającego szersze kręgi danego podniebia — rodowość nie jest bynajmniej, jak wielu mniema, jej zaprzeczeniem. Przeciwnie: *W samej zasadzie* wiąże ona człowieka z pierwiastkiem osiadłości swojskiej, będącej podstawą rdzenną danej kultury, w jedną tak spoistą całość, jakiej nie zastąpią żadne, choćby i najszczytniejsze rzekomo, w istocie zaś sentymentalnie bezpłodne, uczucia oderwane gromadowców, niezdolne najprzeważnie w znaczeniu realnem do ciągłości nieubłaganej, przy równoległym napięciu przepotężnem wysiłku myśli i czynu.

Jest tedy rodowość, jako służba dla pnia swego, w znaczeniu zarówno „meta“-fizycznym jak życiowym, jednym z najszczytniejszych wyrazów człowieczeństwa, źródłem tradycji, jako czynnika, wiążącego przeszłość poprzez terażniejszość z przyszłością: zjawiskiem, pogłębiającem świadomość bytu w skali ciągłości rozwoju — szkołą wysokich wartości moralnych.

Będąc w znaczeniu społecznym zawiązkiem psychogenetycznym ideału świadomej siebie miłości

Ojczyzny, posiada rodowość istotę, wielce do istoty tej ostatniej zbliżoną: Opromienia ona podobnie przez swój pierwiastek moralny, w znaczeniu gromadzkim odśrodkowy, stadność porywów ludzkich i walk krwawych, toczonych pod znakiem ideału, jak miłość dwojga kochanków wyaniela ich uniesienia zmysłowe.

Ród i pieniądz, będący w jego służbie, to typowa w dziejach Europy synteza ducha i materii, molekula jej rozwoju historycznego — istota tej jawy, która, jako najzupełniejszy wśród ludzkości naszej ery wyraz zbiorowy człowieczeństwa pełnego, oddała jej w ręce panowanie nad światem⁵⁵.

Podobnie jak człowiek, pozbawiony ducha lub ciała, przestaje być człowiekiem, tak też i wyraz dziejowy jego świadomości może stać się o tyle tylko panującym w świecie, o ile uwzględnia *oba* te czynniki.

W porównaniu z pełną w tej mierze ewolucją Europy, zarówno Azyę jak Amerykę cechuje tu *jednostronność*. Sfery jawy Bramina i Vanderbildta odskakują zbytnio od normalnej postaci życia, naruszając zwartość wewnętrzną, a przez to i pełnię siły własnych swych piramid społecznych, w stosunku do ludzkości...

Pierwsza i druga, jak świadczą postacie jej arystokratyzmów, znalazły się poza linią zasadniczą rozwoju świata. Pierwsza ją przerosła, druga nie

zbliżyła się jeszcze do niej. Zlane razem psychicznie poprzez posiew Europy, poprzez tradycję pełni jej bytu, stworzą zapewne kiedyś nową postać żywotną ludzkości w drodze *ad astra*.

Gdybyśmy na tło stosunków społecznych przeszczepili zagadnienie ducha i materii, usiłując oświetlić je z punktu widzenia niniejszego studium, doszlibyśmy do wniosków następujących:

1. Stosunek jednostki do masy ludzkiej zarysowuje się podobnie w procesie dziejowo-społecznym rozwoju, jak stosunek ducha do materii w ogólnej koncepcji „metafizycznej“ bytu.

2. Masa ludzka jest tworzywem (materią), uświadamiającym się przez jednostkę (z ducha).

3. Ścieranie się jednostki z masą, to odbicie społeczne walki ducha z materią.

4. Potęga ducha polega wszędzie w życiu, a więc i w sferze społecznej bytu, na *twórczości* (jednostek), materii zaś na *pochłanianiu* twórczości tej (przez masę).

Podobnie jak członek hordy, koczownik, czerpie swe środki do życia z gotowego plonu natury (materii) drogą pasterstwa i myśliwstwa, tak gromadowiec karmi się dorobkiem indywidualizmów, które dorobek ów, jak rozwojowy ich protoplasta, rolnik, wśród osiadłej a wytężonej

pracy wieków i pokoleń, dzięki swej twórczości (z ducha) tajemnikom przyrody wydarły.

Byt społeczny — forma taka czy inna mnogości istnienia — jest tedy, bo być musi, o ile chcemy całą pełnią żyć w nim i działać, odbiciem wier-
nem tych walk wewnętrznych, jakimi przepelnio-
ne jest istnienie Człowieka. *Ciało pożąda* w nim
*przeciwno duchowi, a duch przeciwno ciału*⁵⁶: jed-
nostka pożąda przeciw społeczności swojej, a ona —
jej nakazy zewnętrzne — przeciw jednostce i jej
nakazom wewnętrznym. A gdybyśmy uciekli od
otoczenia swego, nie ucieknimy od siebie; wal-
ka nasza przeniesie się tylko z jednego pola na
inne: z bardziej zewnętrznego na bardziej wew-
nętrznego.

Gdzież na to środek i rada?

Tkwią one w tym arsenale, który mocen jest
uzbroić wątłą istotę ludzką w rynsztunek czło-
wieka pełnego. Podobnie jak w wewnętrznym
świecie swoim przez pogłębienie świadomości ist-
nienia osiąga on duchowe wyżyny spokoju, tak
też i w stosunku do świata zewnętrznego, przez
wniknięcie w jego istotę, dojść może do równie
harmonijnego wytchnienia.

A z wyżyn tych napelni go szczęście na widok,
że, podobnie jak własne, osobiste troski jego ży-
ciowe, niczem są w zestawieniu z przepelniającym
go tchnieniem ducha, tak też on sam przez się
i całe jego zmaganie się z otoczeniem, jest *mar-*

nością: ... *Marto, Marto, troskasz się i frasujesz około wielu: Aleć jednegoż potrzeba. Marya najlepszą częśćkę obrala, która od niej odjęta nie będzie.* (Łuk. X, 41, 42).

Powiadają, że uduchowanie osłabia siły życiowe człowieka. Nie! Ono je równoważy. Nakaz duchowy podsuwa wprawdzie człowiekowi chęć skwapliwą ustąpienia swego miejsca zawsze i wszędzie, każdemu i wszystkim, co tego pożąda (... *ktokolwiek cię uderzy w prawy policzek twój, nadstaw mu i drugiego.* Mat. V, 39) — atoli silniej jeszcze, bo jakby *przemianą* potężnego w swej samozachowawczości instynktu życia, napelnia go on poczuciem potrzeby dokonania tego, co w życiu podjął w dobrej wierze i wspiera go w tem zadaniu darem wytrwania, odwagi cywilnej i męstwa: *Albowiem ja wam dam usta i mądrość, której nie będą mogli odeprzec ani się sprzeciwić wszyscy przeciwnicy wasi.* (Łuk. XXI, 15).

Tkwi w tem źródło, istota i siła *obowiązków moralnych* człowieka — obowiązków tem świętszych, że nie głoszonych w postaci hasel szumnych, lecz znaczonych dyktowanymi przez silną wolę czynami życia, jako wynikiem niepowściągnięnym a naturalnym ludzkiej potrzeby wewnętrznej.

Szermierzami znaku tego są ci, co, uznając cośkolwiek za swój obowiązek istotny, nie tracą sił na okłamywanie morałami siebie czy innych, lecz, nie mnożąc hałaśliwie a bezpłodnie

kręgu rzekomych „obowiązków“ swoich, pełnią w skrytości ów obowiązek istotny aż do idących najdalej, najszlachetniejszych konsekwencji woli i czynu.

Lecz jako na on czas ten, który się narodził wedle ciała, prześladował tego, który był wedle ducha: także i teraz. (List św. Pawła do Gal. IV, 29).

J Akże przedstawi się w świetle tego, o czym mówiliśmy dotąd, *masa* ludzka, jako skupienie, posiadające swój zbiorowy wyraz swoisty?

Czem jest masa jako masa, jaką jest jej rola zasadnicza w rozwoju, jak przedstawia się jej mechanizm, oraz działanie jego w stosunku do jednostki, to już wiemy. Wiemy również, gdzie jest jej miejsce istotne w piramidzie ludzkości i gdzie wyznacza je ona sobie—sama.

Pozostaje nam jedynie przyjrzeć się bliżej ostatniemu temu zjawisku, wiadomo nam bowiem, że istnieje w tej mierze pomiędzy tak pojętą masą a jednostką pewna kolejność⁵⁷ przewagi wzajemnej w napięciu roli dziejowej, choć piramidalny kształt zasadniczy ludzkości pozostaje, mimo wszystko, bez zmiany.

O cóż więc idzie?

O analizę poczucia swej roli ze strony masy *w naszej* dobie, jako w najpodatniejszej dla introspekcyi psycho-socjalnej, fazie rozwoju.

Wyrazem mas stała się w niej, jak wiadomo, t. zw. idea demokratyczna — „*demokratyzm panujący dziś na świecie*“.

Sięgnijmy w jego istotę, podobnie, jakśmy to uczynili wyżej z arystokratyzmem.⁵⁸

Czemże on jest? Co oznacza w teorii, a co istotnie w życiu?

Etymologicznie znaczy: siła, a więc władztwo ludu;⁵⁹ psychologicznie — równość ludzi, nietylko wobec zagadki bytu, lecz i życia; historycznie — zatarcie różnic rozwoju; etycznie — tożsamość ludzkich poczuć moralnych, a nakoniec logicznie — płaszczyznę, a może zgoła wywróconą podstawami do góry piramidę, jako kształt przyrodzony rozwojowi...

Czy to sen potworny, czy proste tylko nieporozumienie?!

Zdaje się, że jedno i drugie: Sen wiekowy świadomości potężnego człowieka-twórcy, przerywany wyrzutami win, popełnionych na jawie stuleci; nieporozumienie, jakie zaszło (chwilowo w rozwoju) pomiędzy rozumem a uczuciem ludzkości.

Czysta idea demokratyczna, podobnie jak idea prawego jej dziecięcia — anarchizmu, jest, jako zasada, nie przez nią, zaiste, zrodzonych poczuć humanitarnych, moralnie przepiękna i wzniosła.

Wytrysła ona ze źródeł uczuciowych miłości bliźniego, skąpała się w wielkim poczuciu równej nicości wszystkich wobec Boga i — pełna wiary

dziecięcej w dobro przyrodzone człowieka-ludzkości, jak ideał słoneczny a promienny, zawisła nad światem.

Ale i czysty jak lza, a wonny jak kwiat, alkohol Farina z Kolonii, pomieszany z niemniej przejrzystą wodą kryniczną, tworzy, jak wiadomo, mętną mieszaninę. Anioł ufności, pokładanej przez Rousseau'a, Mirabeau i ich współbraci w człowieku zbiorowym, zstąpił, jako zwiastun Królestwa Bożego, *przedwcześnie* na ziemię i zastygł tam w potwornym skurczu przerażenia. Zupełnie jak dziecko, ginące w kuchennym płomieniu, który jednak mógł ogrzać je i zgotować mu strawę w drodze ku przyszłości człowieka pełnego... Anioł zapomniał o tem niebacznie, że, podobnie jak narząd oka czy ucha chwyta pewne tylko barwy i tony, tak masa ludzka zdolna jest uświadomić sobie niektóre tylko wartości—obojętna zarówno na te, jakie, dzięki wychowawcom swoim, już przerosła, jak na inne—szczytne, czy najszczytniejsze może, których poziomy dopiero w przyszłości zawrotnej pojąć lub odczuć będzie zdolna.⁶⁰

Demokratyzm, czerpiący swą zasadę idealną z ufności w przyrodzone dobro ludzkie, rozpętawszy człowieka, ujętego dawniej w ramy klasy społecznej i stanu, wyzwolił zeń przedewszystkiem to, co głównie przeciętnego człowieka stanowi—zwierzę ludzkie w jego bezgranicznem dążeniu do użycia. A dążenia wyższe tymczasem, zatopione

w bagnisku niskich nastrojów masowych, pozbawione zostały tego oparcia, jakim niegdyś, a jakże skutecznie, cieszyły się „u góry“ wśród mniejszości. Gdzież dziś ręka monarchy wyciąga się w stronę talentu? Gdzie król, budujący *tusculum* dla piewcy, wyśmiewanego przez masę?

W tem, że ich niema, tkwią plony istotne demokracji na tle rzeczywistości bytu. Zato, pijany swą iluzją, wybucha on okrzykiem:

— Naprzód wszyscy razem!

O nie! Wszak *zespolic* coś może tylko *siła*, potężniejsza od czynników, stojących zespoleniu temu na drodze: od rozbieżności pożądań i interesów, tkwiących w każdym stworzeniu zosobna. Czyż ktoś może przypuszczać istotnie, że siłą tą stanie się t. zw. zachęta moralna—mdłe rojenie—nie zaś przemoc potężna wychowania dziejowego, zaklęta w powołanych ku temu szczytach rozwoju?⁶¹

Demokracja — to niby płasawica ułudy raju istot słabych, szalejących na rumowisku przeżytej fazy kulturalnej silnych; a dusza jego — idea różności, pozornie tak idealna, wzniosła i postępową, jest w gruncie rzeczy wcieleniem pesymizmu nihilistycznego i beznadziejnej w swem wstecznictwie gromadzkości, jako typowej, bo przyrodzonej masie, jako masie, nieruchomości poglądów. Czyliż bowiem świadomość logiczna może dopuścić istnienie jakiegokolwiek bądź rozwoju w ło-

nie gatunku, którego członkowie—jednostki i grupy (arystokratyczne), cieszące się przez wieki wyjątkowo pomyślnymi warunkami bytu i jego udoskonalenia, nie zdołały, mimo wszystko, *wyróżnić* się od rzesz, które warunków podobnych nie posiadały nigdy? A taki właśnie sens logiczny zdaje się z przesłanek demokratyzmu wynikać. Na szczęście, wszelaki pesymizm jest, jak wiadomo, prognostykiem końca własnych swych siewców i piewców.

Jest to zjawiskiem psychologicznie zrozumiałem, bo naturalnem, że masy ludzkie, oraz typowi ich przedstawiciele, gromadowcy, jęli się skwapliwie głoszonej im nauki. Wszak mało które dziecko odrzuciłoby nadane sobie przywileje pełnoletności, mało które jednak — podobnie jak pijany z miecza—umiałoby z nich należycie skorzystać.

Nie mniej zasadniczą, jakkolwiek mniej może ogólną przyczyną tego zjawiska, jest i wynikające z warcholstwa pewnych ludzi złudzenie co do ich pierwszeństwa w swem środowisku.⁶² Jest to w zasadzie wybujałość powszechnej cechy psychicznej — subiektywizmu,⁶³ nie ujętego w danym przypadku należycie w obiektywny porządek rzeczy.

Ponieważ ludzkość porządkowi takiemu podlega, a fantazyje, jak powyższa, pomija obojętnie, prze-

to niefortunni ich szermierze stają się najczęściej zerem społecznym. Zero to jednak, przypisane do przyczyny głównej zjawiska, o którym tu mowa, komplikuje je i pomnaża. Przedwczesna bowiem „pełnoletność“ rzesz bezimiennych znajduje w nastrojonych chorobliwie fantastach i warchołach - megalomanach, niezdolnych do odegrania w życiu roli pozytywnej, a z natury rzeczy snujących się — niby młody Cezar, co wołał być pierwszym na wsi, niż drugim w Rzymie—najchętniej wśród nizin—pożądane, choć, oczywiście, rzekome tylko uzasadnienie.

Ale może ludzkość stała się istotnie już „pełnoletnią“?

Przeczy temu zarówno prosta obserwacja, jak wszelkie naogół wywody logiczne.

A więc?

Oto poprostu—*zbuntowała się* psychicznie przeciw dawnym swym kierownikom i opiekunom i postanowiła wylać kąpiel... wraz z dziecięciem.

Za co?

Jeżeli wejrzymy bliżej w stosunek wzajemny jednostki i masy u schyłku doby dziejowej, poprzedzającej naszą, zrozumiemy to łatwo.

Rodzaj i stopień ekstrawagancyi panów świata⁶⁴ przeszedł był wówczas w stosunku do mas te granice, w jakich warstwy poszczególne danej piramidy ludzkiej mogą wiązać się z sobą i łączyć w jedną *organiczną* całość rozwoju.

Czyliż jednak bunt dziecka przeciw złym opiekunom może wyłączać w zasadzie niezbędną powszechną opiekę na małoletnimi?

Jednym z satelitów buntu bywa, jak wiadomo, anarchia, nacechowana stanem bezgłowym burzycieli wśród zwalisk budowli, zamienionej w ruinę. Epoka demokratyczna posiada aż nazbyt wiele właściwości, z nią wspólnych.

Podobnie jak rewolucja nie jest duszą, lecz tylko współczynnikiem ewolucji, tak też typ anarchii demokratycznej, odbiegającej zarówno w zakresie swych przesłanek teoretycznych, jak w praktyce życia, od zasadniczej *sub specie aeternitatis* postaci rozwoju, uderza nas wyraźnie, pod tymże kątem widzenia, *tymczasowością* swej roli.

Tymczasowością, wielce zbliżoną do tej, jaka nietylko w zasadzie samej, ale nawet w szczerpłych granicach życia ludzkiego, zwykła towarzyszyć krótkotrwałym powodzeniom *demagogów*.

Demagogia arystokratyzmu—*contradictio in adiecto*—nie jest do pomyślenia. Zarówno w teorii, jak w praktyce, wyprzedziłaby ona świat: nie — proklamując (złudnie, jak to czyni demokracja), lecz *ipso facto* stwierdzając (przedwcześnie) na ziemi Królestwo Boże. Demagogia zaś demokratyzmu to właściwie *bis in idem*, przyczem czystość moralna jego szermierzy spoczywać może jedynie w ich *nieświadomości*: w ignoracji nieraz rozbrajającej w stosunku do rzeczy i ludzi. Uderza to prze-

dewszystkiem na tle literatury, a zwłaszcza publicystyki i dziennikarstwa naszych czasów. I mimowoli przychodzi tu na myśl Alexy de Tocqueville ze swoją tak wysoce trafną koncepcją Wielkiej Rewolucji, jako parodyi, zrodzonej przez ideologię literatów w nurtach życia!

Stanąwszy na gruzach *ancien régime*'u, a nie bacząc na mocarne jego „cienie“, których wytyczną linią piramidalną, mimo wszystko, idzie i pójdzie ludzkość, jako swą przyrodzoną drogą rozwoju, jał *homo novus*—anarchista w zakresie praw psychicznych świata—zastępować (w przekonaniu swoim) dawne jego wiązania naturalne, oparte na zestroju ewolucyjnym treści z formą, surogatem tworzonych *ad usum Delphini* pozorów—stylem pustki bezdusznej, z której uleciało życie.

Biedny człowiek!

Jak wyrafinowany w znęcaniu się nad sobą samym samobójca, skazał się odtąd na piekło udręczeń bez miary.

Narzędzie swe—intelekt⁶⁵—uczynił w swej pysze Opatrznością swoją. Źródło moralności—*rzeki wody żywej*. (Jan VII, 38)—zastąpił pseudo-mądrością etyki: kanałem, drażonym w lotnych piaskach pustyni. Szczytną harmonię miłości zamienił na kult ciała, palonego ogniem żądz nieukojonych, sprostytuował ją i znieprowił psychozą obłąkanego w swej bezpłodności materialistycznej satanizmu. Żar uczucia, niosącego czyn twórczy w swem tchnie-

niu, przeobraził na karykaturalny jego surogat — mdły sentymentalizm kwietyzmu. Siłę poświęcenia zastąpił słabizną taniej „dobroci“ dla tych, co, będąc najlepszymi dla siebie, najmniej jej potrzebują. Czar natury przesłonił przed wzrokiem swoim właściwą samemu sobie prostolinijnością poziomą wygód pospolitych zjadaczy chleba. Harmonię piękna sfalszował zgrzytem opacznej estetyki nowożytniej, wznosząc w sąsiedztwie katedry Nôtre-Dame i Saint-Germain d'Auxeroy, wieżę Eiffla. Synów bożych, krzeszących z bólu i szczęścia twórczości swojej iskry światła z ducha na szlaku *viae ad Deum* — on, przysięgły pomniejszyciel olbrzymów — uznał za wyraz (materyalistyczny) współczesnych im stad! Upragnioną przez umysł ludzki syntezę, wijącą się z molekuli ducha i materii, zastąpił wyłącznością analizy materyalistycznej. Prawdę i jej ideały zamknął w granicach chrzcina i pogrzebu, jakgdyby meteor wtedy tylko, gdy przebiega przez pole widzenia lunety, był meteor. Dobro i szczęście, jak dziecko w zabawce czy cukierku, dostrzegł tylko w mamonie, zło zaś i niedolę — tylko w jej braku. Ducha — przecząc jego istnieniu — pomieszał z materią, a materię z duchem. Prawdopodobność — wyraz siły — zastąpił znamienne dla siebie słabością moralną kłamstwa. Prostą a konsekwentną uczciwość i jej odwagę, nazwał sybarytyzmem intelektualnym, a bohaterką niezłomność zasad zabił sofizmatem: nie sztuka

iść za przekonaniem własnym, lecz za interesem (poziomym) stada większości. Wreszcie, wypowiedziawszy sam siebie: wypełniwszy świat atmosferą swej jaźni gromadzkiej, przeklął jałowość bezduszną intelektualizmu — skorpioną, co mózg jego, siedzibę swoją, w niej zaś sam siebie wysysał, wiodąc wszystko naokół wraz z sobą w otchłań nicości i w spazmie nihilistycznym zawył z przerażenia, że „dyabła wart“ rozwój cały bez postępu, skoro on sam — człowiek — tak bardzo jest nieszczęśliwy!

I czyliż mogło być inaczej, gdy, uwielbiwszy materję, posadził na Bożym Tronie szatana, zamieniając jedynie na *struggle for life* dawne jego miano??

Bo kto sieje na swem cielem, z ciała też żąć będzie skażenie: a kto sieje w duchu, z Ducha żąć będzie żywot wieczny. (List św. Pawła do Gal., VI, 8).

Rzec też można jedno tylko ze szczerem współczuciem: *I szatan, jeśliby sam przeciw sobie powstał, rozdzielon jest i nie będzie się mógł ostać, ale ma koniec.* (Mar. III. 26), a nadewszystko:

Ojczy, odpuść im, boć nie wiedzą, co czynią... (Łuk. XXIII, 34.).

Demokracyzm powołał w świecie do życia dwa zjawiska swoiście potężne, wiążące się w zgubny dla niego samego *circulus vitiosus*.

Pierwsze z nich to powstawanie coraz to większych skupień ludzkich pod postacią imperyalizmów naszych czasów; drugie — to naturalne, bo z ich genezy płynące, hołdowanie przez władców hasłom demagogicznym, zataczającym kręgi coraz szersze, a obniżającym wielostronnie gusta i gęsta korony nowożytnej, zapominającej dziś bardziej, niż kiedykolwiekbądź o tem, że racya jej bytu to: wzór doskonałości dla mas, a — postępowania logicznego dla jednostek. Masa, jako żywioł płynny i nieuchwytny, a pod względem stałości swych napięć i ich kierunku wysoce niepewny, budzi w człowieku ufność zasadniczo mniejszą, niż jednostka. Indywiduum, oparte na masie, nie ulega nigdy takiemu pogłębieniu swej mocy żywotnej, jak to, które opiera się na jednostce (monarsze). Z tego powodu idea monarchiczna sprzyja najbardziej wysokiemu napięciu *istotnych* sił jednostki, republikańska zaś — *obłudnych*. To też piastunowie berel powinni by pamiętać o tem, że ich poddani, znajdujący oparcie swe w koronie, *wolni są* od rzucania na pastwę masy obniżających ich samych haseł kłamanych, a trybunowie republikańscy — nie zapominać o tem, ile ich adherenci *tracić muszą* żywotnych sił swoich za cenę demagogii zawodowej. Atmosferze fałszywej moralności republik odpowiada w środowiskach monarchicznych pełnia życia, wykwitająca z najbujniejszych sił indywidualnych; a jeśli

monarchia *może* być, wskutek ułomności ludzkich, stekiem win i błędów, to Rzeczpospolita *musi* nim zostać, mimo przeczących temu pozorów, albowiem osią pierwszej jest jednostka — *vagina perfectionis humanae*, drugiej zaś masa ludzka i jej niskie instynkty stadne.

Duch demokratyzmu, który opanował (powierzchnie) świat dzisiejszy, w istocie zaś (nic bowiem nie jest zdolne zniweczyć praw *naturalnych* rozwoju) nadał tylko *pozornie* postać odmienną istocie zjawisk, powołał, bądźcobądź, do życia, objaw nader ciekawy: Dawniej trony, będące *jawnie* w stosunku do ludów nosem dla tabakiery; będące świadomą siebie — teoretycznie i życiowo — siłą uprzywilejowanych i silnych wobec słabych, nakładały na ludzkość takie ciężary, jakie ona — w ramach swych potrzeb klasowych — *dla nich*, t. j. dla panów i dla zaspokojenia *ich* jawnej konieczności czy fantazyi, ponosić *była w stanie*. I płynęły stąd dwa pożytki: wysoka kultura twórcza „zbytników“ - panów, oraz byt jaki taki, hamowanych w ekstrawagancyach przez ramy klasowe, poddanych.

Dziś jest inaczej: dziś trony, niezmienione wprawdzie w swej istocie, ale zaopatrzone — dzięki demokratyzmowi mas — w fałszywą etykietę tabakiery dla nosa, gnębią ludzkość w imię, jakoby, *własnych jej potrzeb*, bo tak z idei demokratyzmu „wypada“. A nowa ta figura kontredansa dzie-

jowego kosztuje bardzo drogo: rujnuje ludzkość na *dreagnouthy* ponad miarę, a wzamian, zamiast barwności tronów Królów-Słońc, zamiast wież Kolońskich, daje jej, szpetne jak wieża Eiffla, a nienasycone, bo ideowo z oceanu mas czerpane, puste jak one, pożądanie władzy u szczytu.

I czy przeto ludzkość jest szczęśliwsza, że tworzy na wyżynach pęcherze potworne własnej swej nicości gromadzkiej pod osłoną czczych formułek „wolności“, oraz „godności“ człowieka? Bardzo to wątpliwe. Jaźni ludzkiej nie uszczęśliwiły tak ani w części zdobycze praktyczne techniki czasów ostatnich, jak niegdyś arcydzieła gieniuszu,⁶⁶ płynące z ducha.

W prostem następstwie treści takiej jak dzisiejsza, gdy ta o logiczną, t. j. odpowiadającą sobie formę upomnieć się zechce wśród rozwoju, wynika ze ścisłością, nieomal matematyczną, horoskop państwa socjalistycznego,⁶⁷ jako najpotworniejszego z potwornych wcielenia życiowego wzniosłych abstrakcyjnie doktryn.

Żyjemy właśnie wśród prologu do powszechnego a *przedwczesnego* w stosunku do stanu natury ludzkiej, proklamowania Królestwa Bożego na ziemi, mającego zespolić w uścisku bratnim, *recte* — w zwojach nienasyconego polipa materii, ludzkość całą. I kierunek ten, wynikający jakoby z najwyższych potrzeb człowieka — z lotu jego ku wolności — musiałby zakończyć się dla świa-

ta cywilizowanego podobnie, jak się to stało w znaczeniu politycznym z Polską szlachecką: musiałby być zagłuszony w sferze naturalnych różnic indywidualnych jednostek i gromad — osób, ludów i narodów, bezwzględną niewolą...

Im dalej w las, tem więcej drzew: im bardziej ludzkość zbliżałaby się ku celowi „jedności“ swojej, tembardziej musiałby narzucać jej panowanie swoje *wspólny* a potężny tej jedności arcy-gromadzkiej *mianownik*: materyalizm.

Aliści, zaledwie rozwój w tym tak groźnym dla niej kierunku jawnie się zwrócił, a duchowy jej dorobek został ciężko uszczerbiony, podniósł się żywy a potężny przeciw wandalom protest z nurtów istnienia.

Indywidualizmy jednostek przemówiły głosami Ruskina,⁶⁸ Georges Valois,⁶⁹ Bergsona⁷⁰ i wielu innych. Obok nich zaś liczne narody z pod różnych podniebi uderzyły w niesłyszana nigdy przedtem fanfarę nacyonalizmów.

Podobnie jak kopia, naśladowająca formę, nie zaś ducha dzieł wielkich, nie jest sztuką, lecz nieudolnym jej surogatem, mającym płytkie umysły grą pozorów, tak też w parze z nią idąca, a stokroć od niej dla ludzkości szkodliwsza, płytkość idei, spowiła umysły czasów naszych w mglisty chaos pseudo-wysokich wzlotów — w istocie zaś najpospolitszych, najbardziej pełzawych, bo jak najbanalniejszych form kosmopolitycznych, z których uleciał duch.

Niegdyś tłumaczono nam, że rozwój od rodziny, rodu i narodu idzie ku wszechludzkości, że przeto narodowość jest jakby formą „przestarzałą“ bytu. Zapominano tylko dodać, że wszystkie te — bez wyjątku — stadya rozwoju trwają podziś dzień, niemal w istocie swej niezmienione, zlewając się ściśle z podstawami wszelkiej kultury i jej rzetelnego rozwoju. A znicz tej kultury leży w człowieku, jako wyrazie przyrodzonego mu środowiska. Prawda, że zaczerpnięta z niego siła może nieraz promieniować i wśród obcych, wszelako darzy ich ona najczęściej światłem księżycowym.

Odczucie i pojęcie narodowości, oraz narodu — to synteza instynktowa, a za nią ideologiczna, powstająca w jednostce jako wyraz wspólności najwyższych jej pierwiastków życiowych z rodzonym otoczeniem. W syntezie tej mieści się z jednej strony zasadniczy szczebel pośredni, wiodący człowieka od jego „ja“ do ludzkości — z drugiej zaś punkt zlewu siły jego moralnej, t. j. godności⁷¹ — z otoczeniem. I dlatego to stopień poczucia godności narodu odpowiada w każdym człowieku ściśle własnemu jego poczuciu moralnej godności osobistej. *L'homme est la terre prenant conscience d'elle-même:*⁷²

Przyszłość kultury żywotnej spoczywa nie w (niewykonalnym) unicestwianiu jej środowisk naturalnych, oraz twórczego ich wpływu na ludzi; nie w gaszeniu, lecz, przeciwnie, w rozniecaniu ognisk

wszechrozwoju: w mnożeniu różności stosunku człowieka do rzeczy—w jaknajgłębszem a wielostronnem ich przetrawianiu przez jego umysł i serce.

Droga ludzkości, jak wszelka pono droga istnienia, wiedzie od prostoty i jedności prabytu, poprzez złożoność kultur wszechdziejowych, do jedności „metafizycznej“ stworzenia i Boga.

Królestwo Boże wewnątrz was jest. (Łuk. XVII, 21). Zdobyć je możemy przez szczytny nasz wysiłek uczucia, myśli i czynu, nic zaś pobudzić go i pochłonąć nie jest w stanie tak zupełnie i potężnie, jak zespół jaźni ludzkiej z rodzonym jej podniebem — miłość ojczyzny.⁷³ Działając naokół siebie, winniśmy pamiętać o tem, że, podobnie jak szlachetna matka, miłująca swe dziecię, jak szlachetny kochanek, miłujący swą kochankę, gotowi są, mimo wszystko, ponieść swe życie dla ideałów wiary ojczystej w ofierze, a do ofiary tej, właśnie z potęgi swej miłości, czerpią siły, tak też i my wszyscy możemy przez miłość głęboką kraju naszego zdobywać się na wielkie czyny dla ludzkości. Bez miłości tej ukochać ludzkości rzetelnie nie będziemy nigdy w stanie. Ukochanie takie byłoby tylko surogatem miłości, parodią rzeczy świętej, człowieka najgodniejszej.

Cóż więc dziwnego, że—jak przeciw płytkości idei podstawowych życia powstają myśliciele, tak przeciw fałszywemu kultowi wszechludzkości zanoszą protest nacyonalizmy ludów, zagrożonych

na duszy. To zjawisko normalne i dobre, bo czyste, żywotne i jasne. A jak nikt nie potępi bohaterów, którzy w świętej walce gładzili swych wrogów, niosąc własną krew swoją i życie ojczyźnie w ofierze, tak nikt nie rzuci klątwy na nacjonalizm gorący a wzniosły, kiedy tenże, stojąc na straży patryotycznej przyrodzonych swych ideałów, w walce takiej czy innej, zawoła głosem potężnym: Czuję i myślę, bronię mych ołtarzy—jestem!

Śpieszą dziś zewsząd na ratunek zagrożonym wartościom bytu uśpione dawniej, pozaświadome wobec braku bodźców odpowiednich, pierwiastki idealne, wkraczające właśnie w swą jawę.

Ongi znajdowały one zespół niezbędnych dla siebie warunków—wyraz faktyczny i zabezpieczenie swoje, w arystokracji panującym, oraz w towarzyszących mu wiernie kreacyach politycznych. Dziś, gwałcona coraz to niemiłosierniej w sferze formy treść życia, coraz natarczywiej domaga się zadośćuczynienia. A dążność ta zdaje się zapowiadać przywrócenie w świadomości powszechnej przyrodzonemu kształtowi rozwoju—piramidzie ludzkości — właściwej jej postaci, w którejby podstawa stała się podstawą, a wierzchołek szczytem.

Błędne założenia życiowe demokracji dokonały swego, oświetlając przed człowiekiem i ludzkością na długo, może na wieki całe, kierunek, w którym iść *nie należy*.

Poszukiwanie „praw dziejowych“ przez naukę rozwinęło się w epoce demokratycznej, która wycisnęła piętno swoje na umysłach poszukiwaczy i skierowała je przede wszystkim ku objętej ideą ich doby — masie ludzkiej, jako ku głównemu, a bodaj nawet wyłącznemu zjawisku, mającemu kryć w swem łonie istotę tajemniczą poszukiwanych „praw“.

Jednostka ukazała się oku, zbrojnemu w pryzmat „wiedzy demokratycznej“, jako cząstka-molekula masy i nic więcej; ukazała mu się, jako cząstka jej fizyczna, żyjąca w zespole rzesz indywidualów, sobie równych, życiem materyalnym: fizycznym, technicznym, ekonomicznym, czy jak je nazwiemy, a duchowym tylko o tyle, o ile bywa ono wiernem odbiciem, czy wspólnym mianownikiem gustów i upodobań—przeciętności. Człowiek ukazywał się w pryzmacie tym, jako typ banalny, dający się, na podstawie rachunku ogólnego, wciśnąć w ramy mechanizmów społecznych, przykrojonych na materyalistyczną zasadę i miarę. Wszystko, co poza, czy ponad nią wyrastało tak lub owak, a nie było wyolbrzymieniem przeciętnych gustów i haseł popularnych masy, stawało się, jako przypominające ducha „feudalnego“ doby minionej—wstecznictwem; wszystko, co miary tej nie dorastało—dziecięctwem umysłowem: prostactwem, mającym jakoby na dalszych, „wyższych“ szczeblach rozwoju, przystosować się do niej wier-

nie i stać się swych mistrzów-gromadowców posłusznym „w przyszłości“ odbiciem.

Świat wewnętrzny człowieka, a za nim olbrzymie nieraz, przepastne różnice dusz, nie były brane wcale, lub prawie wcale w rachubę. A sprzyjał temu daltonizm, sprawiający, może i nie bez ukrytego przed wzrokiem naszym podstępem natury, że żaden niemal—największy nawet człowiek—nie bywa prawdziwie wielkim dla współczesnych, wskutek czego geniusze stają się sobą dopiero dla potomnych.

Ale potomni doby demokratycznej, przysięgli pomniejszych olbrzymów *ad usum Delphini*, dawali sobie i z tem radę, przemianowując geniuszów nie na mózgi nawet, lecz—na „wyraz naturalny“ ich mas...

I stało się, że bohaterowie przeszłości, że twórcy państw, wodzowie, prawodawcy, olbrzymy ducha i najwybitniejsi z monarchów, złączyli się z beziemiennymi społeczeństwami swych czasów, ludów i krajów. Mniejsza jednak o to: Słońca przeświełają tak światy swoje, że stają się wraz z nimi—z oddalenia—mgławicą, znaczącą swe istnienie smugą dla oka ludzkiego jednolitą w otchłani przestrzeni i czasu. Gorsza jednak, że socyonomia demokratyczna, dostrzegając *per fas*—mgławicę, nie dostrzegła *per nefas* swej doktryny—ziemi: że nie dostrzegła tego, co leżało zawsze na wierzchu dla spostrzegacza nieuprzedzonego, poczynają

jąc od Księgi Wed i Homera, a kończąc na wybitniejszej beletrystyce nowożytnej—że nie dostrzegła *jednostki ludzkiej*, jej stosunku do masy i odwrotnie. Badając *koło* rozwoju wszechludów, zapomniała o wiekuistej, jak ono samo, potężnej jego *osi*.

DAlecy jesteśmy od idei pacyfizmu, jako wiary w rychłe opanowanie przez nią świata. Mamy nawet przekonanie, że hasła szczytne, a na długo, jak pacyfizm powszechny, w życiu nieziszczalne, stają się o wiele łatwiej wątkiem ambitnych poczynań demagogicznych, aniżeli źródłem udoskonalenia ludzkości. Póki istnieje wpływ różnorodności podniebia na człowieka, póki urabia go on różnorako i nie mniej różnym stopniem uzdolnień zbiorowych darzy, powołując do życia, lub utrzymując przy niem odrębności etniczne, a za nimi i narodowe, póty żaden zgoła kosmopolityzm pacyfistyczny, zwłaszcza zaś tak bardzo jak obecny od powszechności Królestwa Bożego, bo od moralnego udoskonalenia człowieka daleki, nie zdaje się zapowiadać bynajmniej zaniku wojen, utrzymując na wczoraj, dzisiaj i domniemane jutro dziejowe, w całej swej, starej jak świat, prawdzie, orzeczenie: *La paix est pour les nations, ce que l'oisiveté est pour les individus.*⁷³

Pacyfizm spokrewniony jest blisko z anarchizmem. Rodzi się wśród ludów słabnących, jako

jeden z objawów i czynników ich rozkładu, jakby w celu przyśpieszenia pogromu strupieszających przez tych, co silni są a nowi.

Istota pacyfizmu, anarchizmu, oraz szczerzej demokracji — ich siostrzycy — to grunt, przesycony wiarą w dobro gotowe natury ludzkiej, z pominięciem drogi cierpień, wiodącej do udoskonalenia. To niby jarstwo — dobro z osłabienia płynące, które wiedzie do zła: rozstroju i rozsprzężenia. To słabość, prowadząca do siły nie zwyciężonych, lecz — zwycięzców.

Mimo to jednak, a może dlatego właśnie, świeża Wojna Europejska, to, zaiste, epilog arcy-logiczny, godny swego psycho-społecznego prologu. Ta wojna, wywołana przez nadmierne potrzeby materialne olbrzymich mas ludzkich, skutych, poprzez nieprzekraczalne podniebia naturalne narodów-twórców kultury, obręczami militarnymi potwornych imperyalizmów, w niemniej potworne skupienia, rujnujące się na swe obręcze poto tylko, by od nich ginać: by treść swoją, krew, pot i łzy, zamienione na pyroxylinę, słać na ofiarę ironii gryzącej *najniższych* sił natury — huku i dymu — w puste przestworza; ta wojna, przypominająca kataklizmem swym chyba wędrówki ludów, gnanych trwożą utraty podstaw swego bytu koczo-wniczego — wyrzecz musi, właśnie przez te cechy swoje, na najspokojniejszym nawet umyśle spozstrzegacza, straszne wrażenie. I nie jest to lęk

krwi i mąk, ani utraty mienia. Nie jest to nawet zrozumiałe po długiej dobie szczękającego orężem pokoju, wyczerpanie, spowodowane lękiem o losy Ojczyzny, grzmotem dział i jękiem cierpiących.

Jest w tem coś więcej, bo jakby druzgoczące rdzeń wiary w człowieka-twórcę i jego moc zwycięską—*objawienie szatana-niszczyciela*, kreślącego na podstawach cywilizacji: na fundamentach instynktu osiadłości społeczeństw⁷⁵ i wzniesionej na nich kultury ludzkości, krwawą swą dłonią wyrazi: *Point de rêveries!*

A pra-stado, wyolbrzymiało w nowej swej postaci władcy wnętrza wód, powietrza i ziemi, zdaje się wtórować im zwróconym ku jednostce rykiem gromu: *Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate...*

Budzą się bowiem obawy, że przyszły pokój państw może stać się, o ile warunki ich formacji nie ulegną zmianie, wojną wzajemną ludzi zdziuczonych, co zapomnieli o ostrzeżeniu dziejowem: *Hodie mihi, cras tibi.*

Pożar domu i mienia nie pozbawia człowieka zdolności odbudowy, ale czyż poważyliby się ktoś wznosić arcydzieła natchnienia w paszczy krateru?

I tkwiłaby w tem wszystkim tragedia beznadziejności zupełnej—nihilistyczny koniec rodzaju ludzkiego, gdyby nie potęga odczucia nieśmiertelności i płynąca z niej siła ducha.

Czyliż więc nie jest w takiej zwłaszcza chwili nakazem *Objawienia z Boga* poryw ku zbudzeniu

świadomości *człowieka*, iżby ten całą mocą swej jaźni otrząsnął się z błędów poznania, pogłębiając w sobie poczucie tego czym jest, czym być może i czym być powinien?

Jedynie w myśl takiej otuchy można i dzisiaj twierdzić ze spokojem, że:

„Wielkie wojny wydobywają na powierzchnię, „dają wyraz temu wszystkiemu, co już dojrzało „w łonie społeczeństw, a nie może znaleźć na „drodze rozwoju pokojowego rozwiązania wszystkich sprzeczności, nagromadzonych w stosunkach „społecznych i w duszy ludzkiej.

„Wielkie wojny, znane nam z historii, wytwarzały zawsze na pewien czas, mniej lub więcej „trwałą równowagę, wprowadzały do stosunków „określoność, nadawały im na dłuższy czas formę, „w której rozwój dalszy miał się toczyć, aż do „nowego nagromadzenia nadmiaru sprzeczności „i nowej wielkiej wojny, któraby oczyściła atmosferę, wytknęła dalsze drogi życia“...⁷⁶

Potworność tej wojny świadczy wszelako o *potworności*, tkwiących poza nią przeciwieństw.

A Le mógłby ktoś powiedzieć — i to, mając wszelkie pozory słuszności za sobą, że przecież imperyalizm nie jest bynajmniej wyrazem ewolucji demokratyzmu, lecz przeciwnie — konsekwencją naturalną a logiczną arystokratyzmu history-

cznego, który, wyrósłszy z jednostki, nie z gromady i na jednostce oparty nieprzerwanie w ciągu dziejów, dążył wytrwale na skrzydłach zachłanności swojej i garnął grupy coraz liczniejsze w swoje władanie, aby wreszcie stać się własnym swym wyolbrzymieniem na zgubę ludzkości.

Tak! Chodzi tylko o rzecz drobną: o zerwanie w badaniach humanistycznych z przebrzmiałą od dawna już w przyrodniczych metodą Linneusza, wiążącego, jak wiadomo, w systematyce swojej przedstawicieli świata roślinnego na podstawie nie embryologicznych lecz morfologicznych przesłanek.

Morfologia świadczy (pozornie!) przeciwko nam, a natomiast embryologia psychologiczna broni nas istotnie a zwycięsko.

Zarzut, zwałający w danym przypadku odpowiedzialność na arystokratyzm, dałby się porównać z twierdzeniem, że oprawiona w świecznik starożytny (=zasadnicza piramida ludzkości), a zabarwiona na kolor wosku (=hierarchia państwowa) porcelanowa świeca elektryczna (=demokratyzm) jest świecą woskową (=arystokratyzm), jaśniejącą wyolbrzymionym płomieniem.

Posiada zresztą imperyalizm cechę, stwierdzającą ponad wszelką wątpliwość istotną jego genezę i charakter. Jest nim *nieznane* ustrojom arystokratycznym, świadome i planowe dążenie do *wynaradawiania* plemion, ludów i narodów pokonanych, przez zwycięskie. Potworność tego dąże-

nia—zbrodni niszczycielskiej przeciw najpotężniejszemu wyrazowi natury w człowieczeństwie, nie zna równych sobie w dziejach świata. Wróg przyrodzony wszelkiej twórczości występuje tu wręcz z talentami natury do walki. Nie trudno poznać w nim *masy ludzkiej*—tępicielea urodzonego wszelkich talentów, gdyż talent, odbicie twórczości natury, dar osobisty, będący zdolnością wypowiedzania tego, co tkwi w głębszych pokładach indywidualnych człowieka, musi być przez to samo wstrętny, a conajmniej podejrzany dla gromady. Wszakże składające ją jednostki przeciętne, jakby dla ściślejszej zwartości swej z masą, czy wskutek zwartości takiej, talentów nie posiadają, a każda z nich zdolna jest wypowiedzieć to tylko, co stanowi część najbardziej powierzchowną, stadną, własnego swego ja—cechę banalności. Zespół jednostek takich nie może tedy uznawać szczerze żywych zwłaszcza talentów, określając je najchętniej zabójczym jakoby mianem „paradoksu“:⁷⁷ Przecież stanowią one dla tego zespołu niebezpieczeństwo zasadnicze—zaródź grożącej zwycięstwem *wyższości*. Inna sprawa z wielkim nieboszczykiem: ten daje się zawsze, przy małym nakładzie dyalektyki, każdemu hasłu gromadzkiemu podporządkować. Ale *naród* — wyraz żywotny twórczych talentów natury — *l'homme est la terre, prenant conscience d'elle-même*⁷⁸ — to nie pomnik zgasłego męża! Nic też dziwnego, że kiedy *na-*

ród walczy z *narodem*, nie jednostka, lecz *masa* staje przeciw *masie* z całą, godną siebie, filozofią i przemocą najbrutalniejszej siły materyjalnej.

Czem jest masa ludzka, jużemy się wielokrotnie nad tem zastanawiali; zastanówmy się teraz bliżej nad narodem.

Jest on zbiorowiskiem ludzi, świadomych swej przynależności psychicznej do danego zespołu, związanego dziejowo z danem podniebieniem, lub noszących w sobie podstawy rozwojowe takiego uświadomienia, jako zjawiska, odrębnego od analogicznej psychiki zespołów innych. Innymi słowy, *naród* jest, jak to etymologia jego w języku naszym (oraz w określeniach obcych, pochodnych od: *natio*) wskazuje, *wynikiem narostu* grupy ludzkości na jej, dziejowo własnej, glebie. Takie to znaczenie głębokie, bo istotne, posiada wyraz ten w języku ludu naszego (*náród* = *narost*: tyła *národu!*...), co dałoby się w sposób literacki acz mniej lapidarny określić, jako zespół potomstwa jednej macierzy — jako skupienie ludzi, odczuwających swą krewieńską łączność wewnętrzną: jako zespół, którego każdy członek czuje się w czasie (od prawnieku, poprzez dziś, w jutro najdalsze) i przestrzeni (od granicy do granicy, gdzie brzmi język jego i panuje jego obyczaj), synem „jednej ziemi“. *Naród* jest to człowiek zbiorowy, czujący, a w niektórych swych częściach i pojmujący swą genezę, swoje ja wewnętrzne, swoje

wczoraj, dziś i jutro — wespół z pokrewnemi sobie. Jest to jakby odmiana indyjskiego *Tat Tvam Asi*,⁷⁹ nie w znaczeniu, jak ono, ducha ludzkiego i wszechświata, lecz człowieka i jego kraju rodzinnego — odmiana mniej bezkresna, bardziej skupiona, lecz niemniej w skupieniu tem moralnie szczytna, a bardziej życiowa, bardziej podniebiu swojskiemu bliska, bardziej namacalna, dotykalna i do czynu płodnego zdolna. Za tamtem stoi już bezpośrednio czar Nirwany; za tem najwyższa moralnie realna forma bytu — szkoła życia: *Vagina perfectionis humanae* w znaczeniu rozwoju historycznego ideałów najwyższych człowieczeństwa, wyposażonego w majestat harmonii Boga, Natury, oraz dostojęstwa, świadomie odzwierciadlającego w sobie ich potęgę,—człowieka-syna.

*L'homme est la terre prenant conscience d'elle-même*⁷⁹—a „ziem“ tych jest jeszcze na Ziemi tak bardzo wiele...

Jak pięknie pisze polityk austriacki, Pernerstorfer, — „podstawą wszelkiego życia historycznego jest narodowość. Jest ona *substancją* historyi; wszystko inne jest tylko formą. Istnienie narodowości jest *przesłanką* istnienia ludzkości, bo ludzkość jest abstrakcją, widomą tylko w ludzkich grupach: w szczepach i narodach“.

To też hipertrofia powodzeń danego narodu szkodliwa jest dla dwu stron: dla ciemniejących i uciśnionych. Pierwszych wiedzie do upadku po-

przez zawrotną ekstazę poczucia swej nadwielkości, drugich uszczerbia w normalnym ich rozwoju. Idealem byłyby tu drobne, rozwijające się możliwie jaknajswobodniej, grupy narodowo-plemienne, zrzeszające się dla ratowania równowagi powszechnej w związki obronne. Każdy bowiem naród, podobnie jak każdy człowiek, potrafi stać się szkodliwym dla innych, skoro przejdzie granicę zaspokojenia własnych swych potrzeb indywidualnych—w danym przypadku etnicznych—i wkroczy w fazę imperyalistyczną narzucania się innym.⁸⁰

A więc *równość* narodów przy głoszonej w książce niniejszej *nierówności* jednostek ludzkich? Tak, gdyż owa „równość“ dotyczy panującej wciąż jeszcze w rozwoju świata *prostej pierwotności zasadniczej* więzi mas,⁸¹ wypływa z siły dziejowotwórczej każdego podniebia, wiedzie ku jaknajpełniejszemu wyrazowi natury *w ludzkości*; owa zaś „nierówność“ wypływa ze zrodzonej już w toku rozwoju powszechnego fazy namacalnego w ciągu dziejów,⁸² *zróznicowanego, zasadniczego postępu człowieka*. Żywiolowy pierwiastek gromadzki masy ludzkiej, ujęty w łożysko narodowe własnego swego podniebia, z siły ślepej staje się twórczą w ręku człowieka pełnego; tenże sam pierwiastek, zanim *jedna owczarnia i Jeden Pasterz* (Jan X. 16) wyłonią się z rozwoju, puszczony na flukty bezkresne nakrytej wszechniebem wszechziemi, działać może w życiu—tylko jako wróg-niszczyciel talentów

ludzkich i bożych.⁸³ Działać bez wszelkiego „sentymentalizmu“, bo trzeba wiedzieć, że tak się w języku masy mianuje *człowieczeństwo*, przehandlowywane przez nią na równi z martwym produktem tandety fabrycznej.

Oto, co pisze jeden z publicystów naszych:

„Zanim praktykę sądową wzbogaci większa liczba orzeczeń i ustali się jej kierunek, zanotować już możemy głosy prawników naszych, którzy wypowiadają się na korzyść odszkodowania za „krzywdy moralne: p. X. z pewną powściągliwością; p. Y., w sposób zupełnie stanowczy, przewiduje „nadejście czasu *«gdy każdy będzie mógł żądać nagrody za łzy, bóle i bezsenne noce»*“.⁸⁴

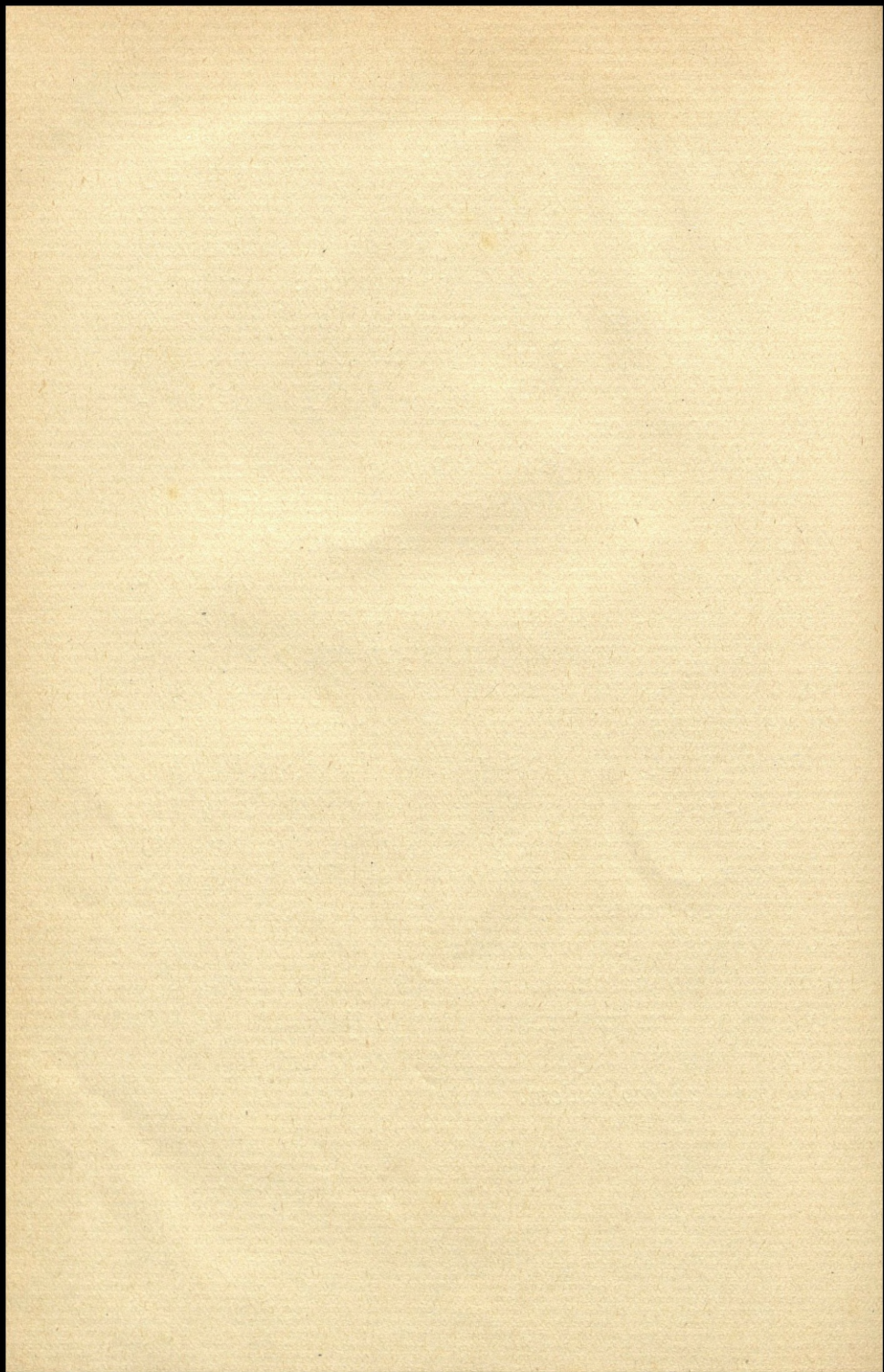
Dotychczasowe wywody nasze zdają się zwalniać nas od obowiązku roztrząsania bez końca, związanych z tematem bez kresu rzeczy, choćby i względnie zasadniczych. Nie będziemy też rozwijać nasuwającej się tu ironii pytania, dlaczego to przybrano „elektryczność“ (= ideę stadną)—*treść* w danym przypadku *nową* (= jako ideę w świecie panującą)—w *stary kształt* „świecy woskowej“ (= idei indywidualistycznej) i wprawiono ją w „świecznik“ odwieczny (= formę przyrodzoną ludzkości)? Nie powiemy nawet, iżby świeca elektryczna wywarła wpływ jedynie szkodliwy na wzrok nasz i jego siłę, w porównaniu—zwłaszcza z nieutartą—świecą woskową.

Nietylko bowiem w kierunku negatywnym leży zasługa demokracji, jako postaci realnej życia.

Na rumowisku wielkich jak świat spustoszeń, przygotował on świeży teren rozwoju: teren udoskonalonej przez cierpienie, pogłębionej przez ból poznania — przyszłej rozkoszy tworzenia stosunku moralnego szczytów piramidy ludzkiej do jej podstaw w nowej erze.

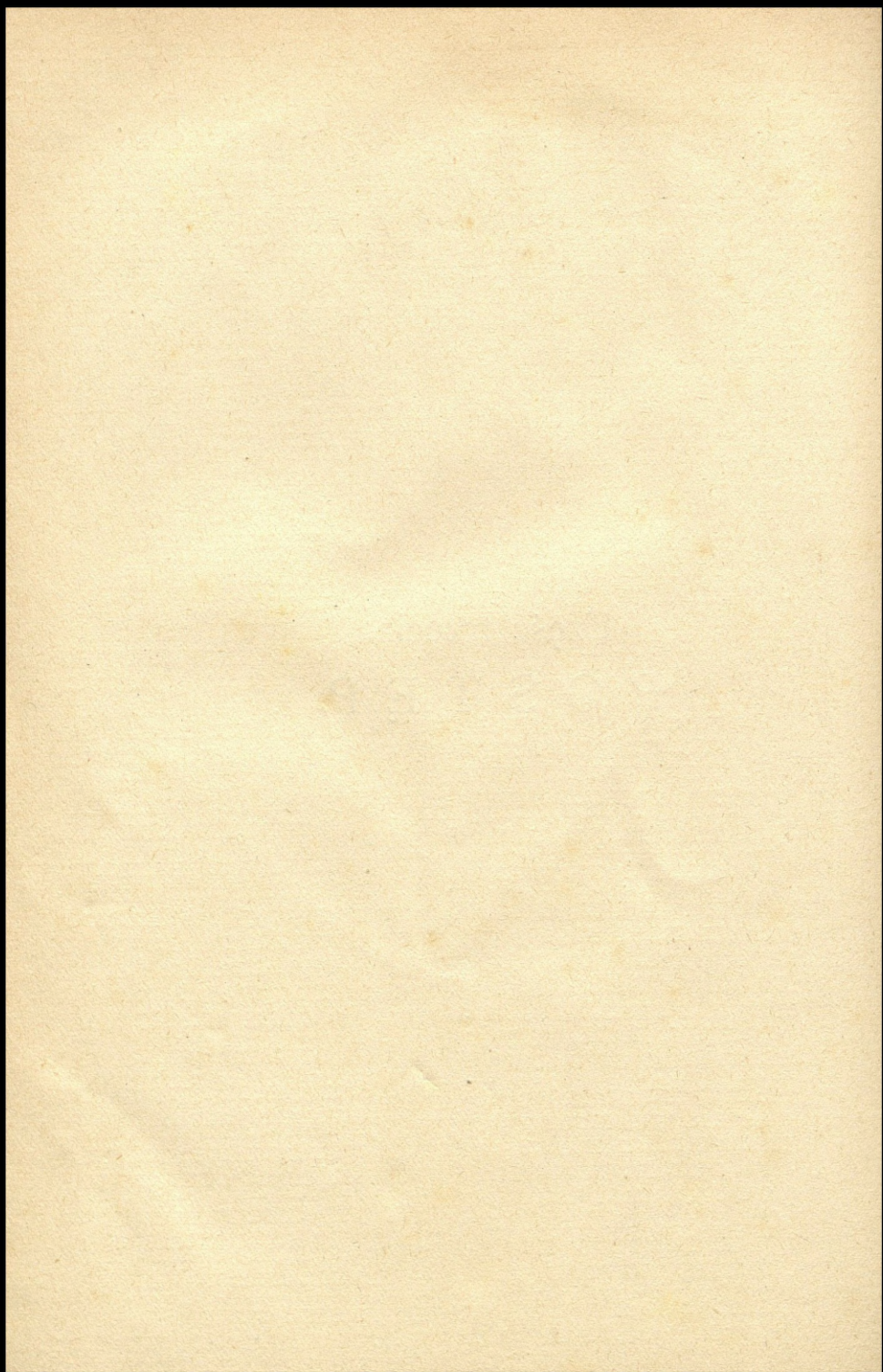
Wyzwolenie swoje ze *złożoności* chaosu materii przyszły rozwój znaleźć może tam jedynie, gdzie znajdował go zawsze — w *prostocie* ducha.

Dodać tu bowiem należy, że dążeniem ostatecznym wszelkiego ruchu, a więc i życia, oraz połączonych z niem walk, jest osiągnięcie potęgi spokoju, a zasadnicza ta dążność, znajdująca sub *specie aeternitatis* wyraz swój w odczuciu nieśmiertelności, przejawia się silnie i w sferze *speciei vitae*, w najwyższych objawach t. zw. doskonałości, nie będących niczem innym, jak mniej lub bardziej wiernem odbiciem wieczności w skali życia. A wyrazem tego powszednim — miniaturą poczucia nieskończoności, jest wypoczynek po zmęczeniu, wytchnienie po walce, ład, osiągnięty wśród chaosu, styl, jako harmonia treści i formy: zjawiska i stany, darzące nas spokojem Ducha i owocem jego życiowym — *zadowoleniem*.



Część trzecia.

P O S T Ę P.





„W tem ci jest uwielbion Ojciec mój:
„iżbyście obfity owoc przynieśli i byli moi-
mi uczniami“. (JAN XV., 8).



Asada postępu ludzkości — ramy jej ogólne — zarysowały się przed nami wyraźnie. Nie mniej wyraźnie wystąpiła przed wzrokiem naszym i postać psycho-dziejowa postępu, jako fragment zębatej linii rozwoju, biegnącej od Nieznanego po Nieznane zygzakiem piorunu istnienia, poprzez zenity i podnóża jednostki i masy, jako biegunów bytu człowieczeństwa i ludzkości.¹

Ujęcie *indukcyjne* tego zjawiska, dokonane przez socyologów naszej doby,² w skali, z natury ich stanowiska, o wiele szczuplejszej, przedstawiliśmy tu *dedukcyjnie* z tożsamym zasadniczo wynikiem: obrazu idących z kolei po sobie „akcji“ i „reakcji—ruchów „postępowych“ i „wstecznych“.

Jest to, bez wątpienia, zastanawiające, zważywszy odmienną sferę dociekania, oraz płynącą stąd,

w stosunku do danego zagadnienia, odmienność przesłanek.

Nie snując z tego faktu idących dalej wniosków, musimy jednak stwierdzić, że w danym przypadku zarówno „fizyka“, jak „infizyka“, podały sobie ręce, a umysły ludzkie paru typów, pozornie tak różnych, znalazły wspólny swój mianownik w tej właściwości swojej, która, jak widać, *jest* potencjalnie, skoro w pewnych warunkach *staje się* istotnie — odbiciem *jedności świata*, jako „Ding an sich“.

Nie będziemy tu jednak rozwijać dalej tego wątku. Opuszczając myśl naszą niżej, a nawet, odrywając ją od linii łamanej rozwoju, przejdziemy do skali o wiele szcuplejszej zagadnienia, jakie nasunąć nam się musi w chwili, kiedy z pytaniem na ustach: co i jak jest i być może? — staniemy między dwoma, najbliższymi teraźniejszości naszej, zębami piorunowej linii istnienia.

Oto, przyjrzyjmy się bliżej — bardziej szczegółowo — naszemu „dzisiaj“ i „wczoraj“ dziejowemu, aby mózł sobie także „jutro“ nasze wystawić w przybliżeniu.

Zacznijmy od masy.

Staje się ona, jak wiemy, w momentach ścisłego skupienia psychicznego części swoich, istotą niemal zwierzęcą,³ *w zupełnym przeciwieństwie do jednostki*, która w takichże — „wewnętrznych“ dla siebie chwilach, wykwita ponad poziomy. Że bie-

gunem masy jest materya, jednostki zaś — duch, nie potrzebujemy już powtarzać po wywodach dotychczasowych. Chodzi nam natomiast o postać przeciętną jednej i drugiej w życiu dziejowem, a wyrażając się ściślej: w życiu historycznym ludzkości.

Otóż, stwierdźmy przedewszystkiem, na podstawie introspekcyi i analizy psychologicznej własnej doby naszej, bytującej pod znakiem *świadości gromadzkiej* człowieka, że jednostkę cechuje w niej obniżenie, masę zaś wznoszenie swoistych swych lotów, t. j. innymi słowy: faza rozwoju, polegająca na oddaleniu się, zarówno jednej jak drugiej, od własnych biegunów. Obie — zlane na pozór, pośrodku skali życia, w jedną lustrzaną całość ludzkości jednolitej — szamocą się w obcej dla siebie atmosferze. Atoli rozdźwięk, powstały stąd w jednostce, daje się wyrazić jako rozstrój koncepcyi ducha przez materyę: treści wyższej przez formę zbyt niską (gromady), masy zaś — odwrotnie — jako rozstrój władztwa ducha nad materyą: opuszczenie niskiej formy bytu przez wyższą od niej treść zasadniczą (jednostek).

Powstający stąd brak równowagi, wyraża się w obu — w jednostce i w masie — w stosunku do świata i jego zjawisk, jako dysharmonia psychiczna, a za nią kakofonia życiowa, w sferze świadomości bytu i jego postaci realnej: chaos pojęć, poglądów, programów, czynów i wierzeń...

Cechą tego stanu rzeczy najjaskrawszą jest zbliżony do swego zenitu paraliż poczucia wszechwartości, upatrywanych przez szkła, zwane „powagą (!!)

życia“, *per fas et nefas*, jaknajwyłączniejszy w sferze materii.

Przyjrzyjmy się bliżej t. zw. „opinii“ dzisiejszej, zwanej niegdyś, w czasach przyrodzonego ładu społeczeństw, „głosem Boga“.

Była nim ona niegdyś, jako wyraz, ujętego w hierarchię logiczną, zespołu istotnych wartości bytu. Białe bywało białem, a czarne czarnem; dzisiaj obie te barwy zlały się w niej w szarą ignorancję moralną: w bezsilność myśli i czynu, o której powiedziano: ..*Bodaj byś był zimny albo gorący. Ale iżeś ostygły, a ani zimny, ani gorący, pocznę cię wyrzucać z ust moich.* (Objaw. Ś. Jana III, 15—16).

I stała się, jakby zaślada instyktu, w ocenie wartości rzeczy i ludzi: zastąpiło go *laissez-faire* życiowe i teoretyczne zbrodni i kary, cnoty i nagrody.

W znaczeniu wewnętrznym każdy bierze sam wprawdzie *zapłatę swoją* (Mat. VI. 16), ale inaczej winno stawać się społecznie, bodajby w celach samowychowawczych tam, gdzie ludzie twierdzą przecie, że *chodzi im* o udoskonalenie.

Prawda, że opinia powstawała zawsze z udziałem niemalym zasadniczej osi psychicznej sądów ludzkich: „to on a nie ja!“, o której powiedziano: *Bracie, dopuść, żec wyrzucę drzazgę z oka twego, sam belki, która jest w oku twem, nie widząc...*

(Łuk. VI., 42), oraz: *Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni* (Mat. VII., 1) — jednakowoż źródłem jej był niegdyś *poryw* zachwytu, czy oburzenia — odruch sumień: potężny głos Boga.

Dzisiaj, do uszu ogłuchłego wśród chaosu człowieka, dociera on już tylko jak szept cichy, nad którym zwykła przechodzić do porządku „powaga życia“.

Oslabły wewnętrznie człowiek przestał walczyć w zapoznanej sferze ducha — w kierunku moralnym: zarówno sam z sobą, jak i z otoczeniem własnym. To też nam nawet, Polakom, potomkom narodu tak niegdyś rycerskiego, przedstawia się dziś typ, spełniający obowiązek swój w pełni i bezwzględnie, jako zjawisko niemal transcendentalne.

Mimowoli przychodzi tu na myśl wspomnienie o dokonanym przed kilku laty samobójstwie bohaterstwa, otoczonego czcią swego narodu, generała Togo, które opisywała wówczas z patosem znamienym ignorancji moralnej prasa europejska.⁴ Łatwiej jest bowiem, a zarazem i popularniej, stać na obcym tego rodzaju zjawiskom, szczybelu rozwoju, aniżeli na takim, coby w pełnej mierze do nich dorastał. Dajmiosów i Samurajów mniej było zawsze niż przekupniów po świecie...

Dzisiaj budzi się jednak nadzieja, że wojna obecna, jako tresura obowiązku *usque ad finem*, stać się może i powinna dla Europy odpowiednią szkołą.

I czas po temu wielki, albowiem w siłę moral-

ną — w uczciwość bezwzględną, która ongi tak licznych miewała przedstawicieli, przestaliśmy już wierzyć, a „daleko“ nawet w tym kierunku idące wymagania zwiększają conajwyżej skalę jej „nośności“,⁵ życiowej, która w człowieku pełnym była zawsze w zasadzie, bo być musiała — *nieskończoną*. Jest tak, gdyż ów człowiek to istota, przepełniona poczuciem tymczasowości tej *formy* bytu, którą nazywamy życiem: pełna świadomości najgłębszej, że ani ono samo, ani — tem mniej — związane z niem bezpośrednio efemerydy, nie mogą być zestawiane ani na chwilę z odczuciem niewspółmiernej, bo nieskończonej *treści* istnienia — źródła doskonalenia się bezgranic. A odczucie to, namaszczone człowieka pomazaniem, godnym najwyższych jego ideałów, nie zawisło nawet od rodzaju ani zakresu osobistych jego wierzeń w znaczeniu pospolitem. Zawisło ono jedynie od gatunku i próby kultury moralnej, jako korony kultury istotnej człowieka.

Dawniej — wśród „staroświecczyny“ — bywała ta prawda rzeczą prostą i jasną: dzisiaj stała się czemś niepojętem. Przestaje nas już nawet i dziwić, nie mówiąc o innych, *zjawisko potworne* wdzięczności, okazywanej nam za rzeczy małe, a niewdzięczności najczarniejszej za wielkie usługi i poświęcenia. Rozumiemy bowiem, dzięki otaczającemu nas materyalizmowi, w pełni lub nawpół świadomie, że owa wdzięczność, to jakby zadatek

łaknienia dawek większych, niewdzięczność zaś, to zapłata, ze strony „równych“ nam ludzi, za *całość* zdobytego już na nas łupu. Przestaje nas to dziwić, a jednak nie przestaje boleć, choć wiadomo nam, że — jak powiada polityk⁶ — „kto żąda wdzięczności, ten nawet przyjaciół skłania do nieprzyjaźni“, boć wdzięczność prawdziwa powstać może tylko w człowieku pełnym, nigdy zaś w dziecięciu masy — gromadowcu,⁷ albowiem:

1. Wielość jest naogół niższa rozwojowo, a przede i moralnie, niż jednostka;

2. Grupa rządzi się zawsze swym interesem własnym: tym samym egoizmem gromadzkim, który żywi się altruizmem jednostek, składających masę;

3. Grupa nie dostrzega „społeczeństwa“ poza sobą, gdyż ona sama dla siebie i dla członków swych jest tem właśnie, co ludzie w znaczeniu dodatniem, rzewnem, nieraz miłosnem, zwykli mianować *swojem*. Poza daną grupą, w oczach jej członków zespolonych wewnątrznie, istnieją tylko ludzie „szkodliwi“ lub „nieuspołecznieni“;

4. Każdą prawdę uznaje „społeczeństwo“ (namacalne—ludzi sobie równych) tylko o tyle, o ile nie przeciwstawia się ona jego dążeniom, a gdyby się okazało, że rządzi niem nieznaną jakąś siłą w kierunku niepopularnym, zaprzeczyło by jawnemu jej istnieniu.

I czemuż to inaczej bywało, a inaczej dzieje się dzisiaj?

Bo dawniej *dostrzegano różnice* pomiędzy ludźmi i rodzajem ich życia, a dziś stracono je z oka. Dziś, wbrew całej oczywistości zjawisk, wbrew narzucającym się wnioskom zarówno „infizycznym“ jak czyisto przyrodniczym: wbrew jaknajprostszej logice faktów — prawo widzenia *prawdy* w świecie ludzkim pozostawiono... archeologom i hodowcom zwierząt, suchym jak wiór moralistom, albo walczącym *à outrance* pod sztandarem masowładztwa, czy t. zw. „praw większości“ (*recte* masy = materii) analitykom, przytłoczonym fikcją pseudo-powagi guzików nauki, a odwracającym się z obrzydzeniem od „naukowego“ błędu zielonych winogron syntezy...

A przecież ów wiór, nasycony *wodą żywą* — owa synteza, bodajby, jak wszystko ludzkie, niedoskonała i zawsze przeto w pewnej mierze błędna, musiałyby złożyć się na protest żywiolowy, na okrzyk potężny prawdy, zranionej fałszem i obłudą, boć ideałem człowieka pełnego nie może być szara i bezbarwna, jak strój czasów naszych, *tandeta ludzka*, spleciona, wraz z tandetą wszelakiej produkcji, w jeden potworny, sam siebie płodzący w nieskończoność, *circulus vitiosus*.

TO, co w zakresie wytwórczości przemysłowej określamy mianem tandety, produkowanej mechanicznie w fabrykach, a osiągnącej swój *zenit* w *idealnym naśladownictwie zewnętrznym* wzoru:

produkt, którego forma stała się pustą, bo treść jego wchłonęła w siebie bezdusznosc *wykonawcza* maszyny — posiada analogję uderzającą w sferze zjawisk społecznych i moralnych. Πάντα ῥεῖ — wszystko płynie — będące zasadą przyrodzoną bytu, nie może bowiem być zastąpione przez surogat, którego istotę dałoby się określić orzeczeniem: „wszystko stoi nieruchomo“.

A przecież tak właśnie zachowuje się wzór w stosunku do odtwarzającej go w nieskończoność maszyny i także stanowisko zdaje się zajmować pojęty specyficznie przez masę arcywzór człowieka, doskonałego w przeciętności swojej, w stosunku do tejże masy, jako zespołu, naśladowującego go mechanicznie w życiu.

Nic w tem dziwnego: wszakże najdoskonalszy naśladowca ludzi przeciętnych jest w opinii ogółu najdoskonalszym człowiekiem — człowiekiem wzorowym — podobnie, jak najzręczniejsze naśladowające dorosłych dziecko, jest nagrzeczniejszym w opinii opiekunów.

Najbardziej może klasycznym w znaczeniu moralnem wyrazem tego tak tandetnego kultu pozorów — istnym w potwornej bezdusznosci swojej a szkodliwosci życiowej, nad-symbolem psychicznej masowości gromadzkiej — jest w czasach naszych ujednostajniona aż do martwej bezmyślności *moda* — surogat i parodia zburzonego dziś w świecie stylu:⁸ szablon zewnętrzny, przystosowany tak

znamiennie a wiernie do banalnej nicości wewnętrznej tych rzesz niezliczonych, które—nieraz za cenę czci, mienia, życia i zdrowia, posługują się nim skwapliwie!

W arsenale filozofii demokratycznej gromadoców istnieje teoria, że masy (prostaków), korzystając z mody, zarzucając strój ludowy, czy dawnych klas społecznych, wznoszą się przez to na wyższy stopień rozwoju. Nie będziemy tutaj tej filozofii zewnętrzności roztrząsać specjalnie; sądzimy, że znajdzie ona może w treści książki niżejszej stosowną ocenę i odprawę.⁹

Wiadomo naogół, że każda epoka kładzie swe piętno na wszystkich bez wyjątku dziedzinach zawartego w niej bytu, co zwykliśmy nazywać duchem czasu, ale nie będzie może zbyt cennym wniesieniem bardziej szczegółowe wgląd nasuwających się tu spostrzeżeń, na tle zestawienia czasów naszych z dawniejszymi.

Cechą zasadniczą tandety fabrycznej jest w zakresie wewnętrznym (towaroznawczym) mała, obniżająca się coraz bardziej, wartość materiału, w zewnętrznym zaś — naśladownictwo, prowadzące do nadzwyczajnej precyzji mechanicznej w odtwarzaniu mnożonego w nieskończoność oryginału.

A nie brak tu i „inwencji“: oto, przez *równoległe* zestawianie mechaniczne cech poszczególnych wzoru, powstają, jak w kalejdoskopie, „arcydzieła“ symetrii, zabijającej powodzią swej jednostajności

niezrównanej, wszelkie natchnienie. Arcydzielami „kierunku“ tego w tkactwie są dzisiaj wszystkie niemal tkaniny; w architekturze domy wielkomięskie, gotyk maszynowy stacyi kolejowych i kościołów, pseudo-historyczne monumenty na bliższym Zachodzie, budziński romanizm święto-szczepański nad Dunajem, a przedewszystkiem monstrem Eiffla w Paryżu. W piśmiennictwie nożyce i guma, w muzyce katarynka czy gramofon, w malarstwie oleodruk, a w rzeźbie sprzedawane po ulicach główki lakierowane, są godnym tego „ducha“ odbiciem.

To też nie powstają już w atmosferze takiej, bo i powstawać nie mogą, rzeczy potężnie piękne, będące oryginalną syntezą istnienia — *stylem*, którego zastąpić nie potrafi „stylizacya“ nieudolna doznanych przez twórcę pół-przeżyć.

Nie było i niema człowieka, którego nie zachwycałyby katedra w Rheims, bez względu na rodzaj jego „jawy“. Któreż dzieło doby naszej sprosta próbie podobnej? Któreż stanie się, jak tamto, w duszach ludzkich, odbiciem człowieczym wszechistnienia?

Tak. Ale dawniej ludzkość, nieraz naiwnie może i grubo, ale potężnie i przeto w znaczeniu kulturalnem skutecznie, zdawała sobie sprawę z tymczasowości bytu swego, transponując z tem większym rozmachem wyraz ideałów swoich—poprzez wąską skalę utylitaryzmu powszedniego, na miarę tęcz niebosiężnych. Teraz jest zgoła inaczej.

Mamy dziś jednak w tej mierze do czynienia ze zjawiskiem *nader znamiennym*.

Oto, podczas gdy każda ze znanych nam epok minionych usiłowała, jakby pod wpływem wypełniającej ją żywotności, narzucić duszę swą światu—zabić w porywie żywiołowym swego pantarei-zmu wszystko to, co nie było nią samą; zalać sobą nietylko terażniejszość i przyszłość, ale nawet przeszłość swoją; zapewnić *stylowi swemu* panowanie wszędzie i po wszystkie czasy; zniweczyć dzieła pokoleń minionych, lub przeistoczyć je na swą modłę w uściskach twórczości własnej — epoka nasza wręcz przeciwnie, jakby zapierając się wstydliwie swej jaźni, usiłuje namiętnie żywić ją tem, co „umarło“ — wskrzeszać i do życia za wszelką cenę przywracać cienie minionej jawy.¹⁰ Tak „arcypostępowa“, zdaje się jednak zasługiwać w niejednym, zaiste, kierunku konserwatywnym na wyróżnienie... Anatole France powiedziałby tu złośliwie: *Il n'ya rien que les democraties estiment plus que la noblesse de naissance*,¹¹ a Oktawiusz Mirbeau, nie samą tylko pyroksylinę, czy opium mając na oku, wtórowałby mu oplakującą ludy azyatyckie sentencją:

„I gdziekolwiek ukazuje się nasza cywilizacja, „wszędzie twarz jej maże się krwią, *plonnie przelaną*, „wszędzie zostawia po sobie zwaliska, zamarte na „zawsze. Może ona rzec o sobie, jak Atylla: „Trawa „nie porośnie tam, gdzie przeszedł mój koń“...¹²

Oczywiście, dalecy jesteście tu od zamiaru uwłaczania teraźniejszości naszej z powodu, że uprawia tak namiętnie połów „starożytności“ wszelakich i pamiątek, że konserwuje je z pietyzmem, wynikającym często z pobudek jaknajszlachetniejszych, a nawet, że usiłuje, bodaj pokostem odziedziczonych po przeszłości form, pełnych niegdyś ducha, pokryć ubóstwo własnej swej treści. Wszakże pamiątka odpowiednia, to sukurs formy, służącej dla utrzymania ciągłości rozwoju treści danej jawy. A choć pan w przedmiocie starożytnym czy pamiątce widzieć może nic, wiążącą go z przeszłością, niewolnik zaś przeżuwa najczęściej bezpłodnie ich formę, nie tykając treści, to jednak piękna starożytność stanowić może dla obu wytchnienie po tandecie, na widok dzieła, wykonanego *sumiennie*.

Czemuż jednak czyni się to wszystko dzisiaj, jakby potajemnie? Miałoby się bowiem ochotę zawołać do panów oświeconych demokratów, lubiących oglądać wieże kolońskie, a twierdzących *ad usum Delphini*, że im wystarcza „kura w garnku“:

Messieurs faites vos jeux! Nie bądźcie filozofami, lubiącymi jajka, a nienawidzącymi kur!

Nie wątpimy, że treść, jakąkolwiek byłaby ona w swej istocie, wypłynie kiedyś, jak oliwa, na powierzchnię wszystkich bez wyjątku zabytków—bezpośrednich czy pośrednich, prawdziwych czy fałszowanych naiwnie, jakie epoka nasza pozostawi

po sobie *sama* w dorobku dziejowym ludzkości. To też chodzi nam tu jedynie o stwierdzenie danego faktu: o wyluszczenie bijącego w oczy zespołu zjawisk, składających się na przesłankę przewidywania, iż synowie przyszłych pokoleń nie znajdą, jak myniemy, dla określenia treści doby naszej— bez względu na dokonane w niej „rekonstrukcje“ rzeczy minionych — orzeczenia wymowniejszego nad krótki wyraz: *jałowość*.

Rzesze całe gromadzą dziś starożytności, a nawet starzyznę i rupieci, najczęściej nie przez specjalne zamiłowanie przeszłości, której nie znają i która przeto treścią swoją przemówić do nich nie może. Jest to na poły pozaświadoma jeszcze reakcja naturalna, niekiedy wręcz rozpaczliwa, przeciw zalewającej nas tandecie rzeczy, myśli i słowa—prawej córce masy-maszyny, która wzięła na się tak niefortunnie rolę mistrzyni *człowieka*, obowiązanego, choćby z tytułu swych dziejów, nosić możliwie najgodniej to miano.

A gdy tak przedstawiają się rzeczy w zakresie, o którym tu mowa, jakże określić ich analogie uderzające w *moralnej* dziedzinie życia?

Oto—legiony bezimiennych przedstawicieli masy-gromady, przybrały się w jednostajne szaty fabryczne *równości*, nie tylko wzajemnej, ale—w stosunku do wszystkich bez wyjątku przedstawicieli ludzkości.

I czyliż można się dziwić, że mechaniczna równość szablonu, przeniesiona na grunt głębi ludz-

kiej, sieje w sferze moralnej spustoszenia stokroć szkodliwsze dla rozwoju, aniżeli maszyna w swej estetycznej życia?!

Szablonem tej ostatniej może być przecież arcydzieło: Venus z Milos, tkanina arabska, utwory Leonarda, czy Dantego. Możliwy do zastosowania w życiu szablon *moralny*, z innego, niziniego, *musi* tu płynąć źródła.

Dziś już przywykliśmy nie odróżniać człowieka od człowieka: wszakże Machiavelli jeszcze powiedział, że: „świat (masa) składa się z prostaków, orientujących się wedle *pozorów rzeczy*“. To też dzisiaj „prostacy“ zdają się sądzić władnie ludzi, zwłaszcza od siebie wyższych, nie wedle tego, czem ludzie ci są, lecz czem (w *opinii masy*) nie są. I przez sąd ten masa ludzka, unikająca zarówno świętych jak zbrodniarzy—szczęśliwców, jak nieszczęśliwych, dlatego, że *inni* są, niż ona, podnosi w swej psychice gromadzkiej samą siebie. Skoro bowiem ów ktoś czemś *nie jest*, a i „ja nim nie jestem“, to „ja i on mamy *cechy wspólne*“: jeden więcej, w pełni lub na poły uświadomiony, argument „*równości*“... Otworzyłszy oczy na cechy pomienione, a zamknąwszy je na to wszystko, co im przeszkadzać może, osiąga się aż nazbyt łatwo, zaiste, cel pożądaný — autosugestyę jednolitości powszechnej człowieka.¹³

Nie być czemś, co ponad szablon wyrasta, znaczy dziś o wiele więcej, niż *być* niem w praktyce

życia, w której wzorem, naturalnym wśród atmosfery tego pokroju, staje się nie ideał człowieka pełnego, lecz typ, który potrafi *naśladować najdoskonalej* przeciętność innych. Że zaś to, co jest w danych warunkach „zbyteczne“ — ginie, nie przeto dziwnego, że, mimo opartej rzekomo (bo pozornie) na zasadach moralnych opinii publicznej, ginie i *cnota* rzetelna, boć i „poprawniej“ jest na tle takim i o wiele łatwiej bytować życiem niecnoty: *tandety* ludzkiej, aniżeli ścigać wzory potężnych wysiłków *człowieka!*

Jednostka, mogąca nim zostać, a utożsamiana zarówno w życiu jak po śmierci — w układzie towarzyskim i nekrologu z pół-człowiekiem, traci podstawę ćwiczeń swoistych, przestaje być sobą, obniża się, a wreszcie zaprzepaszcza siłę swych wpływów na otoczenie.

Zatracając zdolność oceny człowieka, ćwicząc w nim skromność — nie z pełni ducha, lecz z miłej masie, a obłudnej, bo rzekomo tylko pozbawionej zarozumiałości, pustoty pozorów, wyrządzamy krzywdę wszystkim naokół, nie wyłączając siebie.

Mniejsza o to, że godnych czci mężów pozbawiamy należnego ich charakterowi uznania; mniejsza, że niegodnych utwierdzamy na własnym ich poziomie, skoro dopuszczamy się przez to ciężkiego wykroczenia przeciw rozwojowi powszechnemu, obniżając w ludzkości jeden z najszczytniejszych jego wyrazów.

„Podnosząc“ w ten sposób przez niwelację jednostek ogół masy, wylewamy „dziecko wraz z kąpielą“. *Qui trop embrasse, mal entreint*: Rzucając pod stopy stada ludzkości wybranych jej synów, pozbawiamy ją przez to samo przodowników w pochodzie *ad astra*.

Piękna zasada: *de mortuis nil nisi bene*, została sprostytuowana podobnie, jak podanie ręki i wyrazy szacunku, a nawet hołdu, świadczonego pod pozorem ewangelicznego: *Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni* (Mat. VII. 1.), wówczas, gdy na miejscu byłoby raczej może poddanie się nakazowi: *A jeśli ręka twoja, albo noga twoja gorszy cię, odetnij ją i rzuć od siebie* (Mat. XVIII., 8).

I czemuż dziwimy się potem, że opuściły nas cnoty, dostrzegalne podziśdzeń jeszcze tak wyraźnie w przedstawicielach wyszydzonej „staroświecczyzny“: odwaga cywilna i męstwo, oraz pełna uczciwości głębokiej obowiązkowość? Pokrywana daremnie płaszczem pseudo-humanitaryzmu tandeta moralna człowieka — korona przeciwnych naturze rozwoju hasel gromadzkich, święci swój tryumf w zespole harmonijnym ze swą siostrzycą fabryczną.

I czyliż podobna przypuścić, że nie zbuntują się przeciw stanowi temu ludzie, co, choćby *dzięki tradycji swojej*, nie zapomnieli o... *człowieku*?!

Możnaby snuć na ten temat uwagi bez końca i nie wyczerpać mimo to ogromu zjawisk, zwią-

zanych ze zwężeniem przerażającym widnokręgów człowieka w dobie, o której tu mowa. Nic dziwnego! Wszak ogarnęła ona, wzorem swych poprzedniczek, cały ogrom życia w wielorakich jego objawach...

Dotknijmy najważniejszych.

O Mawiając „tryumf“ materji, nie możemy pominąć pieniądza — duszy materjalizmu w życiu powszedniem człowieka.

Prawdziwie „poważne“, jak powiadają, pojmovanie zakresów i celów życia, nakazuje ludziom zestrzelić najwyższe wysiłki, by osiąść ów cel pożądaný: „duszę wszechrzeczy“, zwaną *nervus rerum*. I przenosiciel wartości — środek — staje się najczęściej wyłącznym ich celem. *Wszystko* jemu się poświęca i *wszystko* dla niego się czyni. Składa mu się w ofierze prawdę, piękno, szczęście i miłość, zabawę i udręczenie, uczucie i rozum, siebie i swoich, rzadko przytem nawet osiągając t. zw. użycie. Samo ono idzie najczęściej także na ofiarę — w ślad za wszechwartością. Jest to jakby zabawa w węza, pożerającego się od ogona.

Quousque tandem? Czy to nie obłąkanie? Czyż ludzie ci wiedzą naprawdę, co i czemu co czynią?

Nie!

Opanowała ich poprostu gorączka złota dla złota — psychozoa.

Chęć zdobycia władzy i stanowiska — wartości, z którychby najprzeważniej nie umieli nawet w przybliżeniu skorzystać, ani się nimi cieszyć, jest tu tylko złudną iluzją — *pozorem*. *Istotą* staje się w gruncie rzeczy obłądny superlatyw *bezimiennego* *pożądania*: nieszczęsny w swej potworności stan psychiczny akefalizmu, płynący z nurtów opacznej doktryny gromadowców, dającej się streścić bez ironii w słowach: forma jest wszystkim — treść niczem; duch nie istnieje: winna go nam zastąpić materya — absolut wszechrzeczy...

Difficile est satiram non scribere! Powstrzymamy się jednak od niej, boć zastępuje ją tak wymownie rzecz sama: *Ding an sich*...

A tymczasem istotnie człowiek potrzebuje pieniędzy tyle tylko i tylko poto, by mógł być człowiekiem, obdarzonym możliwą pełnią człowieczeństwa na tej placówce społecznej, na której postawiły go losy. Jest to wprawdzie aż nazbyt zrozumiałe i jasne, ale nie dla masy, której instynkty owcze *muszą* pociągać ją przedewszystkiem w kierunku, właściwym gromadzkości, t. j. materyalistycznym, zarówno w sferze myśli, jak czynu.

Łatwo, aż nazbyt łatwo, natchnąć ją przeświadczeniem, że król ma wiele bogactw i dlatego jest królem; trudno natomiast obudzić w niej poczucie, że prócz przywilejów istnieją także i obowiązki moralne korony. Masa — każda jej cząstka integralna zosobna — zdaje się bowiem zawsze

i wszędzie pożądać dyademu dla siebie w tej pierwszej—iluzorycznie beztroskiej jego postaci.

Avec le morcellement de la richesse, nous sommes devenus beaucoup plus egoïstes—powiada jeden z pisarzy francuskich.¹⁴ Jest tak istotnie, i to coraz bardziej w Europie całej, która popadła tu w typową krótkowzroczność płytkich samolubów,¹⁵ stającą się źródłem pobłażliwości dla wszystkiego tego, co mieszkańców jej otacza: twórczynią popytu, a za nim i podaży wszelakiej tandety, na jaką tylko zdolna jest zdobyć się inwencya ludzka.

„Królowie“ potrzebują wiela, a o ileż więcej pożąda król-masa — niezliczone legiony tych, co purpurę z bajki, za cenę nędzy własnej i milionów współbraci swoich, na siebie przywdziały... Ludzie poszli bowiem w kierunku materialistycznej nieskończoności pożądanego, zamiast ku syntezie ducha i ciała w dążeniu do nieskończoności nasycenia.

Posłuchajmy, co pisze jeden z publicystów polskich:

„... Nasi kamienicznicy robią mieszkania tylko „dla bogaczy, nasi kelnerzy usługują tylko «jaśnie panom», szoferzy wożą tylko «hrabiów», krawcy „ubierają tylko margrabiów i lordów, fryzyerzy „golą samych dostojników, literaci piszą dla „ludzi, teatry grają dla krzesel i łóż...»¹⁶

Więc warczą maszyny, pędzle, dłuta i pióra, obsługując swojego „monarchę“. A jest on nie-

nasycony. Żyje krótko, więc pośpiech jest jego dewizą, a hasłem—użycie.¹⁷ Pożera świat, tonący w jego paszczy bez śladu, jak głaz w otchłannych nurtach oceanu. Wysączyć te odmęty mogą raczej bezkształtne lecz olbrzymie bryły torfiaste, aniżeli drobne, opromienione natchnieniem, klejnoty. Wszak pierwszych jest tak *wiele*, drugich—tak *mało*...

Wielość, wielość i wielość! Cóż w niej po jakości?

O sztuce i przemyśle mówiliśmy już wyżej; pora zwrócić z kolei uwagę na piśmiennictwo i literaturę.

Zalewają one świat, niby wodnista roślinność Cejlonu. Stają się klęską elementarną, bo niezdolne ich już pomieścić najbardziej otchłanne śpichlerze. Jest tam wszystko, czego dusza zapagnie: brak tylko—*książki*, coby była, jak ongi, bodźcem pochodzą *ad astra*, wierną towarzyszką życia...

Ludzie, tęskniący za nią, zbrojni w mechanikę systemów bibliograficznych, szukają bezwiednie w tej otchłani: zgubionej—*syntezy*. Ci, co nie tęsknią—legion „szanujących się“ obywateli szerokiej jak świat ludzkości, marnują wzrok swój, chłonąc *jaknajwięcej* lodyg i powojów bagnistego raj. A jeśli znajdą owoc zabłąkany, biadają, że twardy, cierpki—niedojrzały: że brak mu soczystego bezsmaku zwykłej ich strawy... Popyt ten rodzi od-

powiednią podaż i — odwrotnie. Cóż w tem dziwnego?

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen...

A oni od krainy tej odbiegli tak — daleko!...

Powiadają ludzie, że doba, rozwijająca działalność swoją pod hasłem demokratyzmu, rozwinęła i wzmogła w człowieku poczucie osobistej jego godności, że podniosła wysoko oświatę mas i parlamentaryzm, a wreszcie, że współdzielczość, wynalazek jej ekonomiczny, nie mówiąc o technicznych, oraz umiejętna organizacja filantropii, a wreszcie t. zw. emancypacja kobiet, zdolne będą postawić kiedyś ludzkość na wyżynach, odpowiadających jej dostojności w Naturze.

Zaprzeczycie niepodobna, że w porównaniu z tem, co było „wczoraj“, „dzisiaj“ narzuca nam się niemal zasadniczo, jako odpowiedni wyraz postępu, niedorastający jednak do tego, co będzie „jutro“. Jasnym jest również, że ciąg rozwoju, idący w kierunku od „wczoraj“ poprzez „dzisiaj“ ku „jutru“, znaczyć się musi rezultatami swego pochodzenia, zwanego postępowaniem. Leży to zarówno w logice rzeczy, jak w obserwacji dziejów, która każe nam człowieka jaskiniowego uważać za *przodka*, nie zaś za *potomka* wyższych odczynów rozwojowo ludzi

dzisiejszych, tych nawet, co w dobie swojej stoja stosunkowo najniżej.

Pomijając atoli na chwilę oczywistość zjawisk, a usiłując przeniknąć tajemnicę łączącego ich związku, i stojąc przytem na gruncie linii łamanej rozwoju, rozpatrywanej w skali mniejszej, aniżeli ta, jaka dzieli czasy kopalne od obecnych, trzeba zwrócić się z konieczności ku porównaniu istoty, t. j. nietylko formy lecz i treści pomienionych tu zdobywcy „dzisiejszych“, z odpowiadającymi im wartościami najbliższego nam dnia „wczorajszego“ w znaczeniu dziejowem.

Godność ludzka!

Wniknięcie w głąb tego zjawiska wskazuje, że psychiczna jego istota polega na samopoczuciu swej wartości, t. j. na ocenie subiektywnej stosunku człowieka do świata.

Jest to jakby uświadomiona formuła zetknięcia się danej jaźni z jej otoczeniem — synteza siebie samego — *jawa moralna*.

Im głębsze jest wewnątrz człowieka, tem bardziej jest ona ukryta i od obrażeń, zewnątrz pochodzących, wolna. Im płytsze — tem snadniej wyłania się ze sfery *skromności* i poprzez *dumę* wykwita *pychę* — własną swą karykaturą, której cecha istotna — *próżność* — jak wskazuje sama jej etymologia, polega na pozorach zewnętrzności, osłaniających daremnie pustkę wewnętrzną człowieka.

Ze wszystkich wywodów niniejszego studyum wynikałoby logicznie, że typ panujący „godności“ gromadowca musi być bliższy pychy, niż dumy, nie mówiąc już o skromności. Jakoż, obok tandety, zalewającej świat, rozpościera się dzisiaj, zarówno na wyżynach jak na nizinach społecznych, mania wielkości, której sekunduje w całej Europie klasyczna arogancja żydów, należących do ludów *par excellence* stadnych.

Mydlana bańka pychy, czerpiącej treść swoją z marności, ginie wprawdzie, jak one —

Jaśnie — zgaśnie,
Mosanie — zostanie,

— ale tembardziej właśnie godzi się zawołać: Biedne mosany!

Bo istotnie! W rzędzie złudzeń ostatniej doby iluzya wywyższenia w jej ramach godności osobistej człowieka, należy chyba do ironii najbardziej krwawych...

Pomijając bowiem błędne zasadniczo założenie psychologiczne, godzi się tu zapytać, gdzież to i jakie mianowicie warunki bytu ludzkiego sprzyjać dziś mają pomienionej metamorfozie?

I docieramy znowu do przepelniających dobę naszą *pozorów*.

W szrankach srogiej a bezwzględnej walki o byt, podnieconej przez wyłączną żądzę użycia, widnieją dwaj, nacierający na siebie szermierze:

Jeden — zbrojny we wszystkie arkana wieku — pyszny a okrutny, dosiada wszechmoc kapitału; drugi, co przelał weń przed chwilą moc swoją w krwawym mozole, chciwy a dyszący zemstą, słańia się na stopach nędzy, spoglądając pożądliwie na przeciwnika.

Ów, pewny siebie, zdaje się zgoła nie zwracać na niego uwagi: oblicza coś w myśli, zastanawia się i waży, jakby bez trudu odeprzeć grożący mu cios.

Nad obu powiewają jednakie sztandary, a na nich ręce, splecione w znak zgody... Zdobi je napis: „wolność“, „równość“ i „braterstwo“, oklaskiwany przez tłumy.

Te, licznie, jak makiem zasiał, naokół widowni zebrane, zdają się nie dostrzegać nacierających na siebie zapaśników.

Oni — potykają się kędyś na dole; one obsiadły kręgi górne, skąd — dla krótkowzroczności swojej — łowią okiem same tylko hasła na sztandarach.

A pociąga je zwłaszcza „równość“, brzmiąca dla ucha tak mile, bo oznaczająca postęp w rozwoju godności człowieka: godności, którą w stosunku do pana posiadał wreszcie i niewolnik...

To dobrze — to bardzo dobrze i sprawiedliwie! Tego chciała masa, z rabów złożona, i... dokonała swego, aż teraz oto obaj w poszumie hasel wzniosłych na sztandarach — pan i niewolnik — płają kędyś na jej cześć taniec dziękczynienia...

Wreszcie zapadł zmierzch, widzowie, upojeni tryumfem własnym, podążyli do domów, a w ślad za nimi opuścili szranki i szermierze.

Jeden, bogatszy o jakieś grosze i szaty, dążył z poziewem na zamek; drugi, drżąc z chłodu, włókł się do swej nory, unosząc z pola walki „równość“ i „godność“, które po drodze, w oberży, na skromny posiłek i przyodziewek zamienił.

Pan spał dobrze: był syt i zażył ruchu, a sumienie miał czyste: wszakże zostawił przeciwnikowi nietknięty najdroższy jego skarb—„godność“ i „równość“. Czyliż bowiem „tożsamość“ przywilejów nie zwalnia człowieka od troski nadmiernej o los „równego“ sobie towarzysza? Czyż nie ułatwia ona i nie zmniejsza obowiązku moralnego, jaki człowiek ów mógłby odczuwać wobec istoty upośledzonej?

A zdobny purpurą królewską niewolnik?

Poszedł rankiem, jak co dnia, do swego mozołu, uboższy o to, co utracił.

Widzów długo jeszcze tuliły do snu swym poszumem, niby młyn modlitewny mongołów, utkwione w arenie sztandary...

Ta bajka powtarza się bez końca, od świtu do nocy, a ludziom na myśl nawet nie przychodzi zapytać, czy i jaki istnieje związek między warunkami bytu a jawą—między istotną postacią życia, a towarzyszącym jej poczuciem godności człowieka!

Wydaje się im — w konsekwencji uczuciowo reakcyjnej przeciw historycznym nadużyciom panów—w wyniku bezmyślnej psychologicznie i życiowo Rousseau'skiej *tabula rasa*, — że człowiek zawsze i wszędzie jest *jeden*, a przecież trudno o pewnik bardziej oczywisty, jak ten, że rodzaj i styl poczucia własnej godności, zawisł w każdym człowieku ściśle od jego jawy, ta zaś od zespołu czynników nader wielorakich: dziedzicznych, zewnętrznych i osobistych, jakie powołały ją do życia i utrzymują w jego ramach.

To też zabójcza i krwawa jest przez swe sztyderstwo potworne idea szablonowa jednolitej „godności ludzkiej“, nakazująca niepojmującemu jej niewolnikowi nosić w sobie owoc, gorzki jak piołun, obok słodko rozchylonych warg smakosza, napęcznionych marcepanem... To niby coś, jak przedwczesne rozwojowo ćwiczenie w giestach rokokowych, prowadzone z galanterią wersalczyka w przytułku noclegowym—nie świętych anachoretów, lecz głodnych, pożądających życia, nędzarzy. Idea ta jest pożyteczna chyba — dla miliardów, bo nie uszczupla w zasadzie ich zasobów ani materialnie ani moralnie. Wszyscy przecież są—„równi“: każdy ma przeto szanse równe zaopatrzenia się w sklepie w to, czego potrzebuje.

Idea gromadzka równej godności ludzkiej—owoc uniesionego pychę stada — *recte*, ominiętych przez purpurę jego trubadurów, zwraca się przeciw nie-

mu samemu w sposób tak okrutny i krwawy, jak potwornym jest własny jej fałsz i błąd.

Czyż trzeba tu dodawać, że zgoła inaczej przedstawiać się musi poczucie godności człowieka uduchowionego, kierującego się sumieniem własnym, nie zaś opinią mas,¹⁸ a upatrującego ambicje swoje w rozwoju własnej swej jawy: człowieka, do którego skierowane są słowa: *Błogostawieni będziecie, gdy was będą nienawidzili ludzie i gdy was wyłączy i będą znieważali, a imię wasze wyrzucali jako złe dla Syna Człowieczego*, (Łuk. VI., 22)—inaczej zaś tego, co jaźń swoją całkowicie w świecie zewnętrznym utopił: *Albowiem, gdzie jest skarb twój, tam jest i serce twoje?* (Mat. VI, 21).

Między dwoma tymi biegunami rozciąga się mnogość nieogarniona typów pośrednich — kalejdoskop niewyczerpany człowieczeństwa i jego zaprzeczeń, utrzymywany w ruchu nieustannym przez komplikacje nieskończone życia i działających na nie czynników, w ramach tych praw zasadniczych, jakie usiłowaliśmy określić w przybliżeniu.

PRzejdźmy teraz do *oświaty*, zaczynając od objaśnienia związanych z nią pojęć i celów.

Ma ona służyć powszechnie przygotowaniu przyszłych społeczeństw do oczekującego je życia, przez zapoznanie mas młodzieży z wielostronnym dorobkiem ludzkości.

Jest to cel zupełnie logiczny, chodzi w nim bowiem o uświadomienie człowieka-masy w stosunku do mających nań działać najbardziej bezpośrednio czynników otoczenia. Atoli zgoła inaczej przedstawia się ideologia dzisiejsza tego celu, polegająca na przeświadczeniu gromadowców, że jest on wynalazkiem wręcz niebywałym, wiodącym ludzkość na *zasadniczo*, w porównaniu z przeszłością, *nowy* szczebel udoskonalenia. „Postęp“ tego rodzaju jest tu conajmniej nieuchwytny. Czyliż bowiem zarodek tysięcy lat temu i dzisiaj nie przebywa tychże samych stadyów typowych między pierwszym a drugim, drugim a trzecim tygodniem czy miesiącem swego bytowania? Czyliż młodzież nie przygotowywała się kiedykolwiek i gdziekolwiek bądź w pewnym okresie wieku swojego do oczekującego ją życia? Czyliż szkoła, oparta nietylko na teorii, ale i na przemożnie w niej panującej praktyce równości, zdolna jest, wbrew prawom natury, *zaszczepić* równość tę w życiu i masę, choćby najoświeceńszą, postawić, albo zbliżyć istotnie, jako masę, do współczesnych jej — bodaj tak bardzo nawet, jak dzisiejsze, obniżonych, szczytów rozwoju? Czyżby szczyty te, jako korona przyrodzonego kształtu ludzkości, przestały dążyć już w dal i rosnać, a Deklaracja Praw Człowieka zastąpić miała Jozuego w jego okrzyku: *Stañ, słońce!?* (Josue., X. 12).

Złudzenie!

W istocie bowiem, odpowiednio do zmiany warunków życia, zmienia się tylko i zmieniać się będzie, niby w oświeceniu nowem, *wyraz masy*, nie zaś jej istota rozwojowa. Oświata nie może być warta więcej, niż życie, niż panujący w niem stosunek formy do treści bytu.

Jakże więc daleko stąd do owąd!

A teraz — inne jeszcze zagadnienie, które pozwolimy sobie zawrzeć w pytaniu: jak się oświata owa przedstawia *sama w sobie*, skoro porównamy ją z przeszłością? Co mianowicie, w jakim stopniu i zakresie, odróżnia ją od oświaty dawnej?

Przedewszystkiem: *wielość* — dusza szkolnictwa powszechnego. To też naprawa, rzekomo zasadnicza bytu, przez wzmożoną jakoby *jakość* wychowawczą szkoły dzisiejszej, jest uludą. Fabryka nowożytna edukacji masowej, odbiegającej tak jaskrawo od dawnego cyzelunku dusz rylcem stosunku duchowego uczniów i nauczycieli — kapłanów swego powołania, w przeciwstawieniu do rzeczy zmechanizowanych biurokratów szkoły dzisiejszej: to niby porównanie pracowni mistrza z maszyną rotacyjną. Tamtej dewizą było, jest i będzie: *non multum sed multa*; tej — zawsze i wszędzie: *viel und billig, aber schlecht*.

Z powodu rozpowszechniania się przestępstw, rabunków i bandytyzmu, słyszymy często, że to — atawizm, niepowściągnięty przez oświatę (czytaj: książkową!).

Cóż za potworny, przerażający błąd!

Czyliż istotnie z poznawania przyrody przez mikroskop, mechanizmu psychiki indywidualnej przez psychologję, a zbiorowej przez socyologję, czy historyę, może powstać w człowieku *dobro* — miłość bliźniego?

Chyba pośrednio — *do czasu* — jako obawa sądu i kary — zachwiania się lub utraty zdobytego stanowiska, lecz nigdy *istotnie* — z podstaw niezmożonych, z których wyrastać zwykło bohaterstwo duchowe myśli i czynu.

Człowiek — nigdy i w żadnych okolicznościach do bohaterstwa niezdolny — jest człowiekiem zawsze ułomnym, a tylko — zależnie od błahych najczęściej powodów — człowiekiem względnie „porządnym“, lub przestępcą.

Jeżeli zaś przestępców zdecydowanych bywa — wskutek strachu i obawy utraty stanowiska — wśród ludzi, którzy je, dzięki wykształceniu swemu, zdobyli — względnie niewielu, boć i niewielką jest stosunkowo liczba inteligencji w porównaniu z mrowiskiem nizin, to jednak powstaje pytanie, czy atmosfera moralna, jaką „mędracy“ — strachają naokół siebie roztaczają, może istotnie kogokolwiek — bądź prowadzić *ad astra*?

Nadto, powstaje pytanie drugie, cięższe o wiele: czy wobec *gatunku* tych przywódców i ich oświaty, gdyby ją warstwy szerokie w ich uniwersyteckim (a więc: „doskonałym“!) stopniu posiadły, a po-

tem (z konieczności!) stanowisk odpowiednich były pozbawione — czy warstwy te nie zamieniłyby się w zupełności na... zbrodniarzy?

Jest to wysoce prawdopodobne — nietylko dlatego, że tak, sądząc z próbek, bywa, ale — co ważniejsza — dlatego, że *inaczej byćby nie mogło*. Bo czyliż fakt, że analfabeta poznał milimetr, „mędrzec“ zaś centymetr nieskończoności, może mieć istotnie jakikolwiek bądź wpływ moralny na *charakter* człowieka? Póki *grunt* jego pozostanie materialistycznym, nie zmieni go ani podniesie z nizin zwierzęcości brutalnej na wyżyny, najsubtelniejsza nawet hipokryzja dyalektyczna sfer inteligentnych.

Nie! Wpływ, podnoszący istotnie, mieć tu może jedynie zrodzone w człowieku z ducha odczucie pełnej nieskończoności istnienia, a za niem — marności, bo fragmentaryzmu bytu, zawartego w ramach żywota.

Ale pozostaje jeszcze nieomówioną zaleta *powszechności* szkoły dzisiejszej, podczas gdy dawna była poniekąd przywilejem garstki wybranych... Wzgląd ten graniczy w życiu bliżej, niżby się na pozór zdawało, ze zjawiskiem psychologicznem „godności“ człowieka. Podobnie bowiem, jak ta ostatnia, tak też i przygotowanie szkolne rzesz dzisiejszych, staje się aż nazbyt często, niestety, boć inaczej być nie może, przysłowiowym „kwiatkiem przy kożuchu“ — płynem, pozbawionym swego naczynia.

Nie mamy tu, oczywiście, na myśli wykształcenia zawodowego, lecz jedynie sztuczne, w stosunku do życia, rozszerzanie jawy ludzkiej za pomocą szkoły, narzucającej jej „na drogę życia“ zadanie cierniste samodzielnego *ad hoc* przetwarzania warunków bytu.

Owo „*ad hoc*“ — co dodać tu należy — staje się najczęściej w interpretacji niedouczonego ucznia, a może i nauczyciela, nie — życiem, lecz nieziszczalną w jego ramach literaturą, choćby dlatego, że szkoła, a zwłaszcza szkoła *par excellence* gromadzka, zmuszona do wyłącznego operowania stałym szablonem, nie może, gdyby nawet chciała, szczepić wychowañcom swoim niezbędnego, a kłócaącego się z jej bezwładem, odczucia *pantareizmu* — duszy zjawisk życiowych.

Człowiek młody jest z natury swej — ciekawy; radby przeniknąć możliwie daleko w głąb życia i prawdy, od szkoły zaś otrzymuje dziś mdły a fałszywy surogat środków, jakoby ku temu celowi wiodących, w istocie zaś łamiących zdrowy stosunek naturalny między światem jego wewnętrznym a zewnętrznym. T. zw. połowiczna, czy nawet ciesząca się opinią pełnej „inteligencya“ — z natury swej miejska — pozbawiona kontrolującego ją i podnoszącego wpływu przyrody, jest żywym takiego stanu rzeczy wyrazem i przykładem.

Jest ona dziecięciami prawem szkoły dzisiejszej, działającej pod hasłem nauczania powszechnego —

wierną ekspozyturą wpojonego w człowieka szablonu, co, wyszedłszy z gromadzkiej abstrakcji życia i jego „prawd“, źródła jego zatruwa swem tchnieniem, splatając w błędne koło pozorów nicłość swej treści z tandetą swej formy, na szyderstwo Bogu i naturze.

To też zadać sobie można i należy ważne pytanie, czego więcej z cech swoistych szkoły tego typu spływa we flukty rozwoju: pożytku, czy szkody?

Publicyści piszą wiele o wyborze przyszłego zawodu przez młodzież u progu jej życia i doradzają jej kierowanie się statystyką zapotrzebowań życia społecznego. Niedarmo też droga tak obrana nazywa się „zawodem“... Wszak najzwyczajniejszy nawet ze snobów — a z takich składa się przeciętnie masa ludzka — posiada jakieś, bodajby względne, upodobania: dlaczegoż w nie nie uderzyć, dlaczego ominąć przytem sposobność przyjsścia talentom z pomocą, kładąc nacisk na najwyższe wartości człowieka? Wszakże ich rozwój to cel szczytny ludzkości, nie zaś mnożenie pospolitych zjadaczy chleba bez kresu i liku. Prawda, że rzesza ich jest wszędzie i zawsze najliczniejsza, ale czyż płynie stąd nakaz zaniedbywania dla szarej, masowej doktryny rzekomego dobra społecznego, zawiązków strzelistych przyszłości? Czyliż zapewni snobowi szczęście, a innym z pracy jego pożytek, względ, że zajął on w spo-

leczeństwie miejsce, przez statystykę wskazane? Czyliż nie zwicnie ona talentu, gdy unurza jego zawiązek w beznadziejnej szarzyźnie popolitości bytu?

— *Ducha nie gascie!* (List I św. Pawła do Thess. V, 19).

Owocność lub niszczyicielstwo życiowe oświaty zawisło w zupełności od panującego w niej *ducha*. Sama przez się jest ona narzędziem obosiecznym, podobnie jak intelekt, mogący służyć zarówno złu jak dobru,¹⁹ zależnie od objętej przezeń—drobnej czy nieskończonej—skali istnienia.²⁰ A powiedzmy szczerze: z jaką to skalą oświata dzisiejsza ma do czynienia?

W czasopiśmie *Instituteur français*, wydawanem przez nauczycieli świeckiej szkoły państwowej, ukazał się w połowie r. 1914 artykuł o potrzebie przywrócenia w szkole francuskiej nauki o Bogu, która, jak wiadomo, była tam pominięta zupełnie. Artykuł ten, pochodzący z kół pedagogicznych, które dotychczas tępiły wszelki ślad religii w szkole, uważać można za objaw pewnej reakcji przeciw francuskim poglądom państwowym. Powiedziano w nim między innymi, co następuje:²¹

„Ponieważ oddawna już nauczyciel uważał za „wzbronione pouczanie uczniów swoich o obo- „wiązkach względem Boga, runęła nawet podstawa „systemu kantowskiego. Pozostała tylko jeszcze „tkanina frazesów i słów bez treści, które w umy-

„słach dzieci nie pozostawiają żadnego śladu i żadnego nie mogą wywrzeć wpływu na ich moralne wychowanie. Potrzeba zupełnej przemiany, jeśli się chce, ażeby szkoła na społeczeństwo wywierała wpływ umoralniający. Nie chcemy już tego, aby imię Boga systematycznie wykreślano ze wszystkich podręczników szkolnych i zastępowano je mniej lub więcej bezmyślnymi określeniami. Nie chcemy już tego, ażeby nauczyciel, skoro niestety (!!)

!!) w ciągu lekcji imię Boga wymówi, skutkiem tego musiał się rumienić i szybko przedmiot ten pomijać! Nie chcemy już tego, ażeby dzieci, skoro usłyszą słowa: «religia, kapłan, kościół, katedra», przybierały drwiący lub zakłopotany wyraz twarzy. Nie chcemy już tego, ażeby nauczyciele, zmuszeni mówić o religii, oświadczać musieli, że jest ona zabobonem przestarzałym, który zniknie z powierzchni świata. Czyż nauczyciel może sądzić, że zachował neutralność, mówiąc, iż każdy może wierzyć, w co mu się podoba, skoro zamilcza imię Boga? Czy już samo milczenie nie jest wówczas znamienne rzeczą? I czy nie jest to śmieszne samo w sobie, jeśli się chce ideę bóstwa pominąć milczeniem? Pojęcie bóstwa, które pragniemy stracić zupełnie, bez którego jednak żyć nie możemy, trzeba koniecznie w szkole państwowej wykładać. Czy można się nie smucić na myśl, że tyle dzieci Francji wystawionych jest na igraszkę losów

„życia, którym nigdy nie mówiono nic o Bogu,
„których ducha nikt nie zwrócił ku widnokręgom
„niebieskim? Większość ich skazana jest na ży-
„cie zwierzęcia lub maszyny bezdusznej. Wara
„mówić tym dzieciom o obowiązkach; znają one
„i zaznaczają tylko prawa swoje. Wara mówić
„im o ofiarach, albowiem chcą one tylko używać.
„Imieniem jakiej powagi moralnej chcecie je zno-
„wu sprowadzić na właściwą drogę? Prócz idei
„Boga jest ostatnim argumentem, jakieś jeszcze
„znaczenie mającym, żandarm — argument, oczy-
„wiście, bardzo nikły i słaby. Tymczasem wzma-
„ga się groźnie fala niemoralności“...

Wilhelm Ostwald, kapłan monizmu, filozof-
apologeta gromadzkości zmechanizowanej, powie-
dział tu by zapewne, że zbyteczne są i bezpłodne
wszystkie te obawy i dążenia, albowiem ludzkość,
przebywszy z kolei na drodze swego rozwoju sta-
dya: solizmu, gregaryzmu i indywidualizmu, wkra-
cza obecnie w fazę nową — *organizacyi*, mającej
stać się, przez zamianę każdego człowieka na kół-
ko tchnącej pełnią życia maszyny, okresem szczę-
śliwości powszechnej.²² My zaś powiemy, że szczę-
ściem prawdziwym ludzkości jest fakt istnienia —
poza zbiorowiskiem miast wielkich — t. zw. pro-
wincyi, a zwłaszcza: podstawy istotnej życia osia-
dłego i działającej wciąż na nas kultury jego
duchowej — wiosek, rozległych, jak morze, których
zespół i jego swoiste, bytujące poza t. zw. „inte-

ligencyą“ i jej organizacją, szczeblowanie społeczne, zdaje się, jako dąb, obdarzony zwojem zapuszczonych głęboko korzeni, pnieniem potężnym i górną koroną, urągać mocą „chłopskiego rozumu“ zamachom papierowym filozofów stada na przyrodzoną treść i postać rozwoju. Do bzyjących wśród jego konarów bezdomnych acz barwnych łątek, nie może należeć przyszłość świata, odbijającego się tęczo lecz opacznie w ich uskrzydleniu nerwowem. A jednak mimo to, czy może dlatego właśnie (*natura horret vacuum!*), ludziom tym wydaje się, że nim kierują.

Nie! Przyszłość świata należeć do nich nie może! Otuchę czerpiemy tu zarówno z przesłanek zasadniczych psychiki człowieka, jak z zestawienia porównawczego wartości istotnej różnorodnych jego tworów w czasie i przestrzeni.²³

NA jedno z miejsc naczelných wysuwa się dalej parlamentarizm nowożytny — chluba ideologii gromadoców. I znowu: *difficile est satiram non scribere*, albowiem rzecz można śmiało, że — na szczęście państw i narodów — parlamentarizm w przypisywanym mu przez tę ideologię sensie władztwa ludu — nie istnieje zgoła,²⁴ tam zaś, gdzie cech podobnych nabiera, grozi jednym tylko wynikiem: katastrofą anarchii o skutkach nieobliczalnie zgubnych dla zespołu własnych swych twórców.

Normalnie możnaby go określić, jako przystosowaną do imperyalizmu²⁵ — do ogromu jego ludów i przestrzeni — *formę zetknięcia się* wielości ogółu z punktem centralnym jego organizacji państwowej. *Treść* rzeczy: emulacja wzajemna obu tych czynników i ich, również wzajemne, liczenie się z sobą, pozostała tu bez zmiany, a raczej, może zmieniła się, w porównaniu z przeszłością, na gorsze, gdyż *polityka*, oś zadań parlamentarnych, spoczywająca ongi w ręku powołanych, staje się dziś, nazbyt często, jabłkiem niezgody karyerowiczów gromadzkich, niezdolnych ani do gry subtelnej ani do przenikania grubym umysłem swoim w głąb życia. To też gdy dawniej doświadczenie, kultura prawdziwie wysoka i nauka mogły być powoływane przez koronę w sprawach publicznych do rady dojrzałej, polityczna rola obecna gromadowców, idących *per fas et nefas* przebojem przez życie, z trudnością na to zezwała. Jest to zupełnie zrozumiałe i jasne: wszak samozwańcym najczęściej (w znaczeniu moralnem) piastonom tanich mandatów gromadzkich rzadziej chodzi o rzecz, niż o siebie: o osoby i miejsca, któreby ktoś, naprawdę powołany, mógł odjąć ewentualnie łaknącym ich, pustym a głośnym krzykaczom.

Dawne — jak na Zachodzie — konfederacje rycerstwa, miast, czy ludności wieśniaczej, różne nietylko pod względem układu między sobą, ale

i stosunku — przyjaznego lub wrogiego do korony — ustąpiły w ustroju parlamentarnym miejsca partyom agraryuszów, przemysłowców czy socyalistów, a dawne związki i cechy nowożytnym klasom społecznym. Bieguny zasadnicze — władca i poddani — pozostali jednak sobą. On miał atoli niegdyś możność całkiem bezpośredniego stykania się z nimi w życiu codziennem wśród przejazdów po kraju, sądów „pod dębem“, czy łowieckich na poły wypraw wojennych; później, przez zaródź urzędników — wysłańców specjalnych. Dzisiaj ma ich zbyt wielu, iżby to było możliwe. *Bezstopniowość*, lub *jednostopniowość* w stosunku powyższym zamieniła się na *wielostopniowość* — i tyle. On liczył się zawsze z nimi, a oni z nim: ongi bardziej *tête à tête*, dziś — z oddalenia. Nić, wiążąca oba bieguny, wydłużyła się przez przestrzeń, a nadto przez wielość i pośrednictwo tych, co między nimi stanęli. Nie straciła jednak nic ze swej mocy; przeciwnie, stężała odpowiednio i zwojami swymi boleśniej wżarła się w ciało. A nie inaczej dzieje się i tam, gdzie monarchę zastąpił prezydent, który — „nie kijem go, to pałką“ — zamienił w tytule swym wolę Boga na wolę ludu, by zasiąść na gotowym po monarchii, otoczonym chmarą satelitów, tronie. I zachodzi tu wręcz pytanie, czy sposób zostania satelitą takim, uległ w ciągu rozwoju istotnej zmianie? Może tej tylko, że dawniej porozumiewały się między so-

bą indywidualizmy: króla i poddanego, łącząc się z sobą, lub odpychając się wzajemnie, dziś zaś siła łokci poddanego i jego „zdolności demagogiczne“, *alias* cynizm, prowadzą go do stóp tronu, ów zaś ma najprzeważniej możność zupełną przejścia nad intruzem do porządku dziennego.

Nie będziemy rozstrzygać tu, co lepsze. Gorszem jest niewątpliwie to, że szczyty piramid — słońca, powołane do ogrzewania ludzkości — odeszły dziś od niej daleko, przekazawszy rolę swą naturalną księżycom fałszywego majestatu — władcóm niskich, najprzystępniejszych dla masy wartości. Albowiem, jak powiada słusznie ekonomista francuski, *vice-hrabia d' Arenel*:²⁶

„W dzisiejszych, wciąż i bardziej demokratyzujących się czasach, ich książęce mości władcy „pieniądza są sześć razy bogatsi od najbogatszych „osobistości *ancien régime*’ów, i dziesięć razy bogatsi od najwięcej uposażonych książąt czasów „feudalnych...“

„Wiek XIX był świadkiem zaniku nierówności „w kodeksach, lecz był on również świadkiem „wzrostu nierówności w klasyfikacji fortun. Ze „sposprzeżenia tego można więc wyprowadzić wniosek, że demokracja polityczna sprzyja powstawaniu arystokracji ekonomicznej — arystokracji „pieniądza“...“

Das ist der Fluch der bösen Tat,
Dass sie vorzeugend böses muss gebären...

(Goethe, *Faust*).

Znaleźliśmy się znowu w świątyni przyrodzonej masy ludzkiej, którą zdobi ona w swej wyobraźni „nowością“ swych wynalazków ekonomicznych i społeczno-moralnych: tarczami *współdzielczości* i *filantropii* zorganizowanej, stanowiących jej chlubę.

Istota współdzielczości polega na tem, że pieńżny interes własny każdego ze stowarzyszonych nie tylko nie jest rozbieżny, ale — przeciwnie — łączy się ściśle z interesem ogólnym całości danego stowarzyszenia. Czyliż odbiega to daleko od rosyjskiej «artieli», ta zaś od prastarych zespołów rodowych świata, będąc sztucznem ich odbiciem?²⁷ A czyliż bractwa średniowieczne Europy — jej cechy, gminy i zestroje inne — *communitates et universitates* — były czemś istotnie odmiennem?

Trudno też oprzeć się wrażeniu, że to nawet, co stanowi cechę masowości najniewątpliwiej dodatnią, posiada wartość o tyle tylko i w takiej tylko mierze, o ile staje się rekonstrukcją odpowiednich form, dawniej ustalonych, a pokrywających treść realną interesów ludzkich. Masa, jako masa, nie jest bowiem w możności stworzenia czegośkolwiekbyd nad to, czem jest sama: ponad ekspozyturę strony materyjalnej człowieczeństwa. Wszakże masę ludzką organizują jednostki, darząc ją *produktem ubocznym*²⁸ swych mozołów, a produkt ten tem bardziej jest dla niej pożądany

i przystępny, im więcej zawiera w sobie wartości materialnych.

Ne sutor ultra crepidam, a prawda, w nakazie tym zawarta, zdolna jest wytłumaczyć nam tajniki wszelakich osi i sprężyn wśród poczynań zarówno gromadzkich, jak jednostkowych w życiu...

Nie mniej fałszywie niż współdzielczość, bywa pojmowana w opinii skłonnego do uniesień iluzorycznych ogółu gromadzców i sprawa wynalazków technicznych,²⁹ oraz filantropii nowożytnej.

Wynalazki sprzyjają przedewszystkiem, jeśli — *sit venia verbo* — nie jedynie, postępowi *ilościowemu*, nie zaś *jakościowemu* ludzkości; ułatwiają one bowiem jej rozmnażanie się przez zwiększenie zasobu warunków fizycznych bytu. Nadto, umożliwiają one jednostkom i masom, przez osiągnięcie postępu materialnego, doskonalenie strony zewnętrznej życia, nie urabiając natomiast odpowiednio wnętrza, t. j. głębszej wartości człowieka. Może tu nawet powstać pytanie zasadnicze, czy ich ujemne w ostatnim z tych kierunków oddziaływanie, polegające na izolowaniu człowieka w zakresie jego bezpośredniego a szczerzego stosunku do Natury i Boga, nie jest *złem* większem, aniżeli *dobro* pośrednie, najczęściej problematyczne, jakie wynikać zwykło dla *treści* wewnętrznej człowieka z ułatwionego mu przez wynalazki osiągnięcia zbyt wysokiej stosunkowo *formy* zewnętrznej bytu.³⁰

Co do filantropii, to zaznaczyć trzeba zgóry, że dla masy, jako masy, idealna miłość bliźniego jest poprostu mrokiem *terrae incognitae*.³¹ To też filozofowie stada starają się ująć ją i przedstawić z punktu widzenia utylitarznego.³² Interes życiowy każdego obywatela wymaga — optymistycznym ich zdaniem — iżby naokół niego nie było nędzy, nieszczęścia ani głodu. Trudno o lepszą ilustrację *zła*, rodzącego „*dobro*“ tylko dlatego, że samo nie jest w stanie spożyć w całości ani zabezpieczyć wyłącznie dla siebie swych zdobyczy obfitych i że dzielić się niemi *musi* z konieczności — z innymi — tak lub owak:

Ich bin der Teil von jener Kraft,
Die stets das böse will und stets das gute schafft...
(Goethe, *Faust*).

Zarazem jest to ilustracją owego „*dobro*“, co rodzi *zło* dlatego, że z owoców jego korzystają najchętniej i najobficiej nie ludzie godni, lecz tylko słabi, jakby na pożeraczów nadmiaru siły cudzej stworzeni: ludzie, w których ręce dostaje się, bez prawa naturalnego, owoc, a wraz z nim cząstka społecznie szkodliwej, bo, conajmniej, społecznie bezpłodnej, siły. Poza podtrzymywaniem w ten sposób ludzi, co na to wobec ginących z głodu, a godniejszych od siebie, zgoła nie zasługują — sama dysharmonia, przemycana tu do harmonijnych wyroków natury, jest karmią

zła, a przeto — *złem naturalnem*. Choć się też ono — naprzekór rzeczywistości — w t. zw. etyce ludzkiej³³ dobrem mianuje, prawda życia zadaje temu kłam wciąż a nieubłaganie.

Godne to „etyki“,³⁴ której argumenty, będące mdłym surogatem materialistycznym potężnych nakazów ducha, odgrywać muszą w życiu rolę taką, jak przysłowiowe „kadzidło“, mające dopomódz zmarłemu.

Naśladowanie formy nie zmieni treści; może stworzyć conajwyżej jej pozór kłamany i wypaczyć to, co z prawdy płynie.

Pomijając zakulisowe intencje światowe filantropów, fałszujące istotę ewangelicznego nakazu miłosierdzia, zapytajmy, jakież to plusy *moralne* przynosi filantropia dzisiejsza w stosunku do uprawianych dawniej aktów miłości bliźniego?

Czyż jabłko pada daleko od jabłoni? Czy wyzysk, oraz idąca za nim demoralizacja bierna i czynna ze strony wyzyskiwaczy — karyerowiczów nędzy kłamanej, będących tak często wiernem *pendant* karyerowiczostwa filantropijnego swych pseudo-dobroczyńców, nie są rubryką najpoważniejszą w bilansie gromadzkich w tym kierunku poczynań?

Ta darmo! Nie sutanna stworzyła księdza Baudouin'a, lecz ją samą podniosło wysokie jego uduchowanie.

Na uznanie — i to z zastrzeżeniem co do naiwnej aż nazbyt często niepraktyczności życiowej — za-

sługuje tu opieka dzisiejsza nad dziećmi nędzarzy. Czyliż jednak dawne klasztory nie czyniły tegoż samego z lepszym, bodaj, w zakresie zarówno intencji jak skutku, wynikiem moralnym?

Tak zwaną emancypację kobiet, spowodowaną przez potrzebę ekonomiczną, podobnie jak praca dzieci w fabrykach, a będącą wynikiem arcy-smutnej konieczności współzawodnictwa kobiety z mężczyzną o chleb powszedni, można nazywać postęphem chyba przez krwawą ironię. Jest ona raczej wyrazem zwichnięcia — patologią — naturalnego podziału między mężczyznę a kobietę trudów rozwoju. Czyż kobieta, tracąca dawny swój przywilej życia domowo-*indywidualnego*, czyni istotnie postępy moralne, dzięki zmieszaniu się z *masą*? Czyliż kapłanka ogniska domowego, matka rodziny, mistrzyni, w stosunku do mężczyzny, lepszych od zewnętrznego światów wewnętrznych człowieka, zyskała cośkolwiek bądź na tem, że zalety przyrodzone płci swojej, tak godne kultu, a wymagające niezbędnego odpowiedniego środowiska socyologicznego i jego ciągłości dziedzicznej, rozprasza po targowisku ludzkim bez śladu, zmieszana z mężczyzną, unurzana w nim, odkobiecowana, a mimo wszystko niezdolna przybrać płci innej?!

Tryumfuje tu chyba tylko podniesiona do potęgi tandeta szablonu... Przywdziać mają go na siebie — *wszyscy*. W dwu płciach *jakości* za wiele! Niechaj więc zniknie i ona w szarym, bez-

barwnym, jednolitym zbiorowisku człekokształtne-
go tłumu!

„... (ciężkie) piętno haremu — pisze Pierre Lo-
„ti³⁵ — to mus obcowania (kobiet) tylko z kobie-
„tami, t. j. z takimi samymi istotami...”

Kląską jest dla nich brak egzomorfizmu — brak pobudki twórczej, czerpanej z obcowania towa-
rzyskiego z *innymi* istotami — kwietyzm nastrojów.
Czyżby europejczycy zmierzać mieli od drugiego
końca do takiegoż stanu, utożsamiając obie płcie
swoje? Bo przed azyatyzmem leży tu bądźco-
bądź przyszłość, gdy męczyzna zetknie się tam
kiedyś psychicznie z tak dalece różną od siebie ko-
bieta; przed europejczykiem nowożytnym nato-
miast — endomorfizm, a za nim pustka i nicość
beznadziejna.

Trzeba wogóle zauważyć, że wskutek ignoran-
cyi i płytkości, hodowanej przez gromadzką filo-
zofię pozorów, epoka nasza posiadała skłonność
niezwykłą, lotność i łatwość w przypisywaniu so-
bie budowy świata *ab ovo*: przodownictwa pod
względem odkryć i ulepszeń nietylko technicznych,
stanowiących istotnie koronę jej natchnień mate-
ryalistycznych, ale — społecznych i moralnych, tam
nawet, gdzie skrzywiła tylko rzeczy dawne, stare
jak świat, płynące z gruntownych a odwiecznych,
bo naturalnych źródeł rozwoju, bijących u pod-
stawy doświadczeń dziejowych ludzkości.

J Ak wiadomo, do pojętego tak właśnie „postępu“, należy niewiara, ateizm, bezbożność.

Pomijam źródła ich, płynące z tragicznego zmagania się umysłów z zagadką bytu: z buntu wewnętrzznego, znajdującego swe ujście w zwichniętym na pół drogi idealizmie wrażliwych natur uczuciowych, które, widząc ogromy zła naokół siebie, snują z nich pesymistyczne swe nastroje filozofów krótkiej mety.

Do najbardziej typowych, a znamiennych ich biadań należy wyrzekanie na „brak sprawiedliwości w świecie“, którą radziby zawrzeć w granicach życia własnego. A tymczasem sprawiedliwość ta — równowaga — istnieje zawsze i wszędzie, jako łańcuch połączonych z sobą ogniw zjawisk, wijących się poprzez istnienie. Siła większa pochłania zawsze mniejszą, doskonaląc przez to i ją (przez cierpienie) i siebie (przez przygotowanie się — poprzez nikły tryumf swój — do cierpienia). Ludzie zaś, jako w większości swej krótkowidzący, a przez przywiązanie do życia — słabi, oczekują zwycięstwa odwrotnego: słabości i aktualności nad siłą i rozwojem. Rojenie to, sprzeczne z naturą rzeczy, nazywają *sprawiedliwością*; cóż więc dziwnego, że na każdym kroku spotykają się z zawodem?

Są to jednak wyjątki, gdyż naogół przesycony analizą umysł dzisiejszy, do takiej nawet syntezy z trudnością się wznosi.

Panuje też w świecie bezbożność raczej bier-
na niż czynna, a specyficzne jej podłoże stanowi
ogół szeroki, o który nam tu przedewszystkiem
chodzi — ogół t. zw. „inteligencji“, zwłaszcza wiel-
komijskiej, który bezbożnym jest, „ateistycznym“
i niewierzącym z pobudek o wiele bardziej po-
ziomych, niż filozofia rozdzźwięków... Jest to po-
prostu wegetacya bezpłodna, a częściej jeszcze
wieczny „brak czasu“ do zastanowienia się nad
samym sobą — pośpiech, nakazany ludziom przez
„kołtuństwo“, zwane, jakby na szyderstwo, „powagą
życia“. Plon potwornego zdziczenia tych pół-
ludzi, uwsteczniowych wewnątrznie aż do gran-
nic zawrotnie oddalonych barbarzyństwa jaskinio-
wego — ich zatwardziałe „chamstwo“ moralne, nie-
zdolne już, by wykrzesać z siebie iskrę człowie-
czeństwa, namulonego przez apologię wyłączno-
ści pozorów, to, zaiste, owoc, co przeszedł włas-
ne swe nasienie... Byłać w niem bowiem przed
wiekami, bodaj wegetacyjna *prostota*, nie zaś, tak
zwyrodniała w bezdusznej wyłączności swojej, *zło-
żoność* materji!

Pojęcie Boga — głębokie Jego odczucie — poza
wyjątkami, obdarzonymi nadczułością psychiczną
od urodzenia — zdobyć może tylko człowiek peł-
ny, bogaty doświadczeniem życia, uwieńczonego
wielkiem cierpieniem. Rozwiera ono czucie —
wrota świadomości — ku bezmiarom nieśmiertel-
nym, stając się — pod wpływem potężnych bodź-

ców moralnych—stanem bolesnego rozkładu uprzedniej jawy życia, która wydawała się niegdyś zamkniętą już i skończoną. Na jej gruzach wschodzi posiew nowy — odczucia nieskończoności, wobec której życie minione wydaje się punktem nikłym na skali wiekuistego istnienia. Chory, co się dusił w ciasnym zamknięciu, zaczyna chłonać górskie powietrze bezmiarów.

Samo przez się rozumie się, że im bardziej owo życie żywotne było i bujne, im więcej zdobyło doświadczeń wielostronnych — tem szerszą staje się podstawa tem głębszego i tem silniejszego odczuwania potęgi nieśmiertelności. Trudno też oczekiwać wlotów na wyżyny po szarych przedstawicielach mas, uprawiających krótkowzroczną filozofię zapomnienia wobec najsilniejszych nawet bodźców moralnych, budzących cierpienie, a jakby stworzonych po to, by człowiek wcielał w życie tajemniczą a potężną, pełną najwyższej mądrości, ich wymowę:

Krzyż po wyznawców się nie zniża:

Trzeba nań wstąpić...

(Karol Hubert Rostworowski, «*Judasz z Karyothu*»).

Bodźce te stają się dla masy najprzeważniej *terra incognita* — ścianą świadomości, na której barwami, czerpaniami z życia, malują grubo perspektywy nadziemskie (w gruncie rzeczy a najczęściej nie obchodzące ich zgoła, lub mało) — różni nauczyciele.

Bóg objawił się człowiekowi potężnie *na wyżynach* bytu i jego przeżyć. To darmo! Naogół *wydaje się* ludziom, że Go nie czują, a korzystają z tego skwapliwie ciążący ku materii filozofowie stada. Głos Boga słabo bowiem do świadomości człowieka przemawia tam, gdzie życie tak jeszcze czaruje go i pociąga ku sobie, iż przebyć je musi— i to nie sam, lecz w pochodzie *dziedzicznym* rozwoju. Póki człowiek nie przeżyje odpowiednich jego stadyów, prostytuuje miłość, a nad cierpieniem — najpotężniejszym obok niej źródłem natchnień, pogłębiających psychikę ludzką, przechodzi w imię „powagi“ życia do... porządku zapomnienia. Dowód w tem niskiej jego kultury ogólnej i moralnej — „kołtuństwo“, będące wyrazem tak charakterystycznym śmiesznej pewności siebie i arogancyi źle wychowanych młodzieńców.

Ne sutor ultra crepidam. To przecież tak naturalne! A zarodzią i rozsadnikiem wszystkich tych okropności jest przede wszystkim, mimo złudnych pozorów, arcypotwór *wielościowy* doby nowożytnej — miasto olbrzymie³⁶ — ziemia obiecana tandety najbardziej wielorakiej — wróg Boga, natury i człowieka — ognisko wszech-zgrzytu i wszechbuntu życia.

Szczera wieś, wolna jeszcze od jego jadu, a rozważana czy to w prostaku, czy jego panu, to prawdziwy, zaiste, w porównaniu z miastem, obraz rzeczy i ludzi, stworzonych *na obraz i podobień-*

stwo Boga (Genesis I, 27). Uczucia zdrowe nie wymarły tam całkowicie, a mózgi — nie z papieru lecz z życia — tworzą pełną i choć mniej może „uczoną“, lecz prawdziwszą zato i głębszą syntezę stosunku człowieka do Boga i świata.

Mówiąc o Bogu, nie pytają ci ludzie: „czyś Go widział?“ — bo wiedzą, jak wiedzieli ich praojcowie, dziedzice tejże ziemi, że można Go tylko odczuwać — w sobie; świata nie znają „na wylot“ (!!)

przez „szkiełko mędrca w oku“, gdyż wyczuwają trafnie instynktem, że ogarnąć go niepodobna.

Koszarowo-koczownicze, pozbawione pierwiastku osiadłości, jako osi kultury twórczej,³⁴ staje się wielkie miasto dzisiejsze jaknajbardziej realnem jej zaprzeczeniem,³⁷ budząc, jakby pod wpływem odruchu naturalnego, w swych mieszkańcach nieszczęsnych niedoceniany jeszcze instynkt samozachowawczy człowieczeństwa pod postacią dążenia coraz to bardziej namiętnego ku wiosce i ludowi.³⁸ Niestety, darzą go oni, wzamian za czerpane z niego tworzywo zdrowia i siły, unurzana w miazmatach miasta, karykaturalną pseudo-stylizacją własnej jego jaźni!

A on zgoła tego nie potrzebuje. Znużony pracą fizyczną prostak, nie jest najczęściej w stanie szymbować myślą po przestworzach, szukając rozwiązania otaczających go tajemnic; wszelako — o ile to czyni — to wysiłek jego w tym kierunku jest zawsze szczerzy, bezinteresowny i nieprzedajny,

a przeto moralnie stokroć wyższy od sentymentalnego trudu ludzi, kupczących wnętrzem swoim, jako ci, o których: *Napisano jest: Dom mój domem modlitwy nazwan będzie, a wyjście go uczynili jaskinią zbójców.* (Mat. XXI, 13).

Zresztą, syn natury, spowity w jej czar, obcować może bliżej niż mieszkaniec koszar, z tajemnicą nieskończoności istnienia.

WSzechmistrzynie wielości — masa — żyje swą prokreacją, mnożąc siebie i wielość swoją bez końca. Tkwi w tem wyraz naturalny człowieka, czyniącego w świecie materji to, czego w stosunku do własnych, potencjalnych sił swoich, nie zdziałał z ducha. Do *jakości* pozaświadomej zmierza tu ów człowiek poprzez *ilość*: reprodukuje masę, aby wykwitwały z niej kiedyś, na walkę z nią samą, coraz liczniej jednostki, twórcze coraz to wyłącziej — z ducha, jakby na dowód, że nie tylko duch — szczyt istnienia — posiada dążność przenikania w materję, lecz i na odwrót — podścielisko tegoż istnienia — materja, staje się bezwiednie służebnicą ducha. Połączona z cierpieniem porodu, twórczość prawdziwa, stanowiąca zadanie człowieczeństwa najwyższe, jest bowiem *pochlanianiem* sił ludzkich i czasu (= materji)³⁹ przez ducha; jest: miłosnem samooddaniem się wzajemnem w człowieku obu sfer wszechistnienia...

Prokreacja jest naturalnym warunkiem kardynalnym nietylko bytu ludzkości, ale i ciągłości jej rozwoju. To prawda. Ani jednostka, której rola w świecie jest uwarunkowana przez istnienie masy, ani rozwój masy, uwarunkowany przez istnienie jednostki, nie są bez prokreacji do pomyślenia. Jest to pewnik również niezbity i elementarny, jak konieczność jedzenia i picia. Podobnie jednak, jak tej ostatniej potrzebie rozwój narzucił w toku dziejów zmianę sposobów czynienia jej zadość przez człowieka; podobnie jak ludożerstwo i złopanie krwi ludzkiej ustąpić musiało miejsca nietylko powściągliwości ilościowej, ale i spożywaniu odmiennej strawy i płynów, tak też na prokreację, jako na wyraz *ilościowy* instynktów fizycznych, spłynąć musi kiedyś ze źródeł duchowych coraz to wyższego odczuwania ideału *jakości*⁴⁰ człowieka i jego potrzeb życiowych, odpowiednio potężny hamulec.

Stajemy tu wobec jednego z najcięższych zagadnień, leżących przed człowiekiem, a jednak trzeba mieć odwagę spojrzenia mu w oczy.

Wynalazczość zapewnia wprawdzie sposoby utrzymania przy życiu licznej — coraz liczniejszej masy ludzkiej; może nawet będzie je mnożyć — *sit venia verbo* — w nieskończoność. Może coraz to bardziej olbrzymie imperyalizmy, obniżające wartość nietylko moralną, ale i „rynkową”⁴¹ powołujących je do życia ludów panujących, na

długo jeszcze, darząc je pastwą żerowania po ziemiach cudzych, zapewnić im będą kosztem słabszych⁴² istnienie... Może. Wszelako — niby *Mane — Tekel — Phares*, na gmachu ludzkości pojawia się świadomość człowieka, że *sub specie aeternitatis* istnieją tu, na drodze jego rozwoju, *dwie tylko ostateczności*:

Albo — nieubłagane twarde tresura mas, która, mechanizując je w karbach żelaznej organizacji, wyjaławiała je stopniowo, pod przymusem ze strony władnych jednostek, z przyrodzonych cech niszczycielskich gromadzkości, zabijając w nich atoli z jednej strony, przez superlatyw organizacji, zaródź rozwoju indywidualizmów, któreby machinę ludzkości prowadzić mogły w dal po drogach bytu, z drugiej zaś — czyniąc z owych mas tarany zwycięskie siły brutalnej w stosunku do mniej zwartych i przeto fizycznie słabszych, lecz bliższych zato indywidualizmu ludów; albo — nałożenie więzów prokreacji.

Jeden z wiodących ku temu środków (Francya) zwyrodnia człowieka, chybiając przeto celu. Stanowi on bowiem sam przez się niby *contradictio in adiecto*, bo, darząc ludzkość *formą* (nieliczebności), pozbawia ją jednocześnie właściwej tej formie *treści* (uduchowienia). Drugi — jedynie odpowiadający celowi, oraz godności człowieka, a od rozpowszechnienia, równie jak Królestwo Boże daleki, został mu zalecony w słowach: *Albowiem są*

rzezańcy, którzy z żywota matki tak się narodzili: i są rzezańcy, których ludzie temi uczynili: i są rzezańcy, którzy się sami otrzebili dla Królestwa niebieskiego. Kto to może pojąć, niechaj pojmuje. (Mat. XIX, 12).⁴³

Istnieje w tajnikach psychiki ludzkiej siła, objawiająca się nieraz w życiu, a stanowiąca istną nić Aryadny, jakby stworzoną poto, by prowadzić człowieka z mrocznego labiryntu masy ku słońcu.

Siłą tą jest *zachwyt*.

Wiąże się z pięknem, a nazywa się znamieniem. Jest bowiem stanem wyładowujących się pod wpływem bodźca zewnętrznego, ze sfery pozaświadomej człowieka, sił jego potencjalnych, formujących się w sposób konkretny na tle danej, wzbogacającej się w tymże momencie, — jawy.

Istota bezforemnej jeszcze treści odczuła swą formę i, aby ją *pochwycić*, bieży w jej objęcia na skrzydłach rodzącego się uświadomienia!

Niekiedy myli się ona i zachwyt szybko przemija. W przeciwnym razie, jako przeblask wyższej rozwojowo jawy w stosunku do niższej, opanowuje on psyche ludzką i porywa ją za sobą na wskazane jej wyżyny, znacząc się cudem *postępu* z niższego na wyższy szczebel rozwoju.

Hierarchia niekłamanych zachwyków ludzkich, krystalizująca się w danym zakresie życia, to obraz

psychiczny, dążący zawsze i wszędzie do ucieleśnienia się w ustroju piramidalnym zespołów społecznych ludzkości. Zachwyty płyną — πάντα βέη — a ustrój dąży do stałości; stąd rozbieżność i tarcie, ale to rzecz ludzka, boć każde prawo człowiecze — kodyfikacya stosunku wzajemnego danych sił społecznych w danym miejscu i momencie — jest już przestarzałe z chwilą, gdy „prawem“ się staje.

Mimo to jednak, podobnie jak obraz stosunków prawnych każdej doby dziejowej stanowi z konieczności punkt wyjścia w ocenie historycznej stopnia jej rozwoju społecznego, tak też ujęcie przeciętne roli czynnej i biernej przedstawicieli poziomów, w danym czasie i środowisku zachwycających i zachwyconych, jest najodpowiedniejszym probierzem stwierdzenia możliwie obiektywnego wszelakich *wyższości* i *niższości* rozwoju, których własni przedstawiciele zwykli oceniać je, z punktu widzenia subiektywnego, zgola jednostronnie.

A z zachwytem — co dodać tu trzeba — łączy się ściśle w psychice ludzkiej inny, szczerzy odruch analogiczny, wyrażający się w orzeczeniu nagle a częstem: „Nie spodziewałem się tego po nim!“

Oznacza on, ni mniej ni więcej, jeno przebłysk postępu świadomości danej jaźni w stosunku do jaźni cudzej — wskazówkę co do tego, gdzie, jak

i kiedy w owej jaźni zrodzić się może zachwyty, lub jego antyteza: pogarda, czy oburzenie.

Po zastosowaniu kryterium zachwyty do rzeszy, objętej więzią społeczną, piramida — kryształ naturalny rozwoju, przedstawiający się poprzez soczewkę subiektywizmów ludzkich niewyraźnie i mglisto, a bodaj nawet w fałszywej postaci płaszczyzny, staje przed nami w całym majestacie swych przyrodzonych kształtów cheopsowych.

Naturalny mechanizm psychiczny, a stąd i skutki życiowe zachwyty, będącego drogowskazem nieśmiertelności, piękna, miłości, szczęścia i prawdy⁴⁴ — dóbr najistotniejszych i przeto najwyższych człowieka, jest bowiem, bo być musi, nieskończenie potężniejszym od wszelkiej, bodajby najwspinalszej pozornie, doktryny.

I ta to właśnie potęga, mechanicznie prosta i jednaka, jak strumień bijącego w podniebia wulkanu, skierowana siłą rozwoju poprzez otchłanny krater bytu w dal niebosiężną, unosi z niego niżej i wyżej całe chmary drobin ludzkiego stworzenia i suje z nich piramidę niebotyczną życia...

Πάντα ῥεῖ — to też potęga ta, czynna wiekuiście, a nieśmiertelnie, jak jej duch-rodzic, siłą swą świeża, nie przestaje ani na chwilę być duszą ludzkości. Człowiek zbiorowy, złościący zwolna, bo mozolnie, drogi rozwoju swojego gatunku w skalistym gruncie natury, nie jest jednak i być nie może dość lotnym, by podążać za strumieniem

wspomnianej tu siły, jak błyskawica, *ad astra*. Dość, że stał się wiernym odbiciem zasady jej mechanizmu, że zastosował ją, skryształizował i zaklął w kształt piramidy rozwoju we własnym świecie.

W kształt taki — w piramidę, sięgającą od nizinnego bezwładu materii aż do najszczytniejszych uskrzydlenia ducha, układają się wszystkie, bez wyjątku, jawy ludzkie po świecie: niskie, średnie i najwyższe. Omówiony wyżej probierz zachwyty umożliwi nam stwierdzenie obiektywne nizin i wyżyn w świecie ludzkim, oraz wskazanie, w przybliżeniu dość dokładne i wierne — którym to gatunkom jaw ludzkich, a za nimi grupom ich przedstawicieli, przypadają te czy inne, wśród pokładów piramidy świata ludzkiego, szczeble i poziomy.

Owczyste instynkty gromadzkie wywołują w świecie różnych klas społecznych zjawiska ciekawe, polegające na idyosynkrazji lub predylekcji danych kół do pewnych smaków, hasła, czy powiedzeń.⁴⁵ Każda bowiem klasa społeczna jest światem swoim, mającym własne upodobania, mozoły, trudy, przyjemności, upośledzenia i przywileje.

— Naogół — podobnie jak Historia jest odbiciem dziejów *człowieczeństwa*, ono zaś dla każdego narodu, a nawet dla każdej klasy społecznej,

postać specyficzną zachodzącego w nich stosunku materji do ducha i, podobnie jak w Historji różne narody i klasy — rozmaite, w zakresie widnokręgów i pogłębienia swego bytu, znajdują odzwierciedlenie, tak też i życie samo daje nam przykłady nader różne a wielobarwne wzajemnego wśród ludzi pojmowania swego człowieczeństwa — odmawiania go jednym, a przyznawania innym „duchom bratnim“.

Stopień łatwości lub trudu, z jakim przychodzi człowiekowi przeciętnemu, działającemu na zimno, zgładzenie żywego stworzenia, może tu być sprawdzianem najważniejszym, który wykazuje naogół, że najmniej kosztuje człowieka zabicie istoty, stojącej najniżej w rozwoju — najwięcej zaś — wysoko (w pojęciu zabójcy) uduchowionego człowieka: ducha bratniego, lub wyższego.

Zjawisko to stwierdza w człowieku istnienie: 1) *instynktu* poszanowania rozwoju, oraz 2) ściśle *subiektywnej* jego oceny. A wynika stąd porządek następujący: zwierzęcość jest rzeczą względną, podobnie, jak uduchowanie. Przy tożsamości poziomu psychicznego zabójcy i ofiary, łatwość zabijania jest największą, jeśli oboje znajdują się na szczeblu zwierzęcości; najmniejszą zaś w przypadku uduchowania obojga. Bez tożsamości pomienionej bywa w zasadzie niemal odwrotnie: „cywilizowany“ europejczyk zabija dziecięciu „dzikich“, mniej może myśląc o swem prze-

stępstwie, niż dziki, zabijający dziesięciu europejczyków.

Gdybyśmy zagadnienie to przenieśli w przeszłość, to wystąpi ono na jej tle — *mutatis mutandis* — jeszcze, bodaj, jaskrawiej: w Historji interesuje nas właściwie tylko przeszłość naszego (zwycięskiego) *człowieczeństwa*, bez względu na cenę — taką czy inną — za jaką zostało ono zdobyte na naturze i wszelakich jej tworach, nie wyłączając ludzkości samej, a zwłaszcza bardziej obcych nam jej gatunków. I gdyby nam dziś pokazano wierne przeszłość dawniejszą — *zwierzęcą* — odwróciłibyśmy się od niej ze wstrętem.

Na czemże jednak polega w dziejach człowieczeństwo? Czy tylko na wzniosłem a czystem uduchowieniu? Przedewszystkiem na tych plusach, o które każde pokolenie ludzkie wyprzedza zwierzęta. One — w poczuciu naszym — plusów tych nie posiadają. Nie ma ich, w znaczeniu dostrzegalnem, i *anthropos* pierwotny. Zdobywają je te tylko środowiska ludzkie, w których wpływach *my sami* (w poczuciu naszym) wzrastamy. I dlatego to, interesując się Historją, interesujemy się właściwie a przedewszystkiem: każdy z nas i każda społeczna klasa nasza — *sami sobą*.

Zarówno droga indukcji, z natury swej subiektywnej, jak — możliwie przedmiotowej dedukcji, każe nam, wśród gatunkowania na „wyższe“ i „niższe“, różnych poziomów społecznych, operować

wspomnianym wyżej sprawdzianem zachwytu w ramach statystyki — oczywiście tylko domniemanej — danych *większości* i *mniejszości* jaw ludzkich. A zaznaczyć trzeba tu zgóry, że każda większość w stosunku do każdej mniejszości danego zespołu, składa się z jednostek, *stańszych* indywidualnie, a najprzeważniej i dziedzicznie, zwłaszcza w zakresie tych spraw, na których tle owa większość i owa mniejszość powstały. Jest to fakt naturalny a oczywisty.

Niechajże teraz logika myśli i cisnących się w oczy spostrzeżeń ustali „statystykę“, o którą tu chodzi.

Nietylko obserwacya, ale i prosty rachunek pouczają nas *dostatecznie*, że nieznaczną tylko mniejszość ludzi osiąga w życiu to, czego większość pożąda *daremnie*.

Zastosowawszy w badaniu tego zjawiska sprawdzian zachwytu, łatwo będzie stwierdzić, że pomiędzy ową mniejszością a większością zachodzi w przybliżeniu taki sam stosunek liczebny, jak pomiędzy zachwycającymi a zachwyconymi. Większość ludzi pożąda pewnych wartości i, poza szeregiem gronem romantyków, też sama większość zachwyca się napotykanem w życiu ucieleśnieniem swego ideału, spoczywającym w ręku mniejszości. Stąd mniejszość staje władcą, a pośrednio jakby wcieleniem, ideału, zachwycającego większość.

Stanęliśmy tu znowu na granicy ducha i materii, gdzie, poczęty z pierwszego, zachwyty, zlewa się z *zazdrością*, podobnie, jak u tychże samych rubieży dobro styka się ze złem, miłość z nienawiścią, natchnienie z żądzą, a twórczość z zagładą.⁴⁶ Im bardziej zachwyty sięga w sferę materii, tem bardziej przeradza się w zazdrość, a im bardziej ta ostatnia odrywa się od niej, dążąc ku wyżynom ducha, tem bardziej staje się godnym swego miana — zachwytem.

Jest zjawiskiem uderzającym, a dla psychologii masy nieocenionym, fakt, że zazdrość — to jeden z bodźców najpotężniejszych stadnej niwelacji ludzkości. Istotę i prawdę tego zjawiska pogłębiają i stwierdzają — między innymi — dwie okoliczności: 1) że zazdrość zwykła występować z intensywnością klasyczną wśród ludzi, fizycznie i towarzyszy sobie najbliższych, — w szkole, zawodzie, klasie społecznej, a zwłaszcza w rodzinie;⁴⁷ 2., że wiadomo, iż właśnie rodzina jest molekułą rozwojową *stada*. W związku z tem zazdrość zanika dopiero na wyższych, jeśli nie na najwyższych szczeblach rozwoju: im bardziej jednostka staje się indywiduum, obdarzonem pełnią człowieczeństwa osobistego, *izolowanem* wewnątrznie od materialistycznych poczuć stadnych, cierpiącym na przesyt materią — uduchowionem...

Wszelako, człowiek nie jest wyłącznie ani duchem ani materią: jest zespołem obu tych czyn-

ników, rozwijającym się — w dal, dla umysłu ludzkiego nieskończoną.

Na podstawie wywodów dotychczasowych, mamy już prawo stwierdzić, że niepodobna uznać tego zespołu za wcielenie klasyczne zła, nienawiści, żądy, czy zagłady, bo człowiek, dążąc wielorako ku dobru, umiłował i stworzył wiele na skrzydłach natchnienia. To też nie zazdrością, lecz zachwytem nazwaliśmy nasz sprawdzian, i to tem sprawiedliwiej może, że, mimo wszelkich walk i mozołów, połączonych z życiem, mimo linii łamanej postępu ludzkości, należy, bądź co bądź, stwierdzić w jej dziejach — pochod nie od gwiazd ku padolom, lecz od jaskini ludożerców — *ad astra*.

Ale, badając zjawiska — nie doskonałości, lecz życia, nie możemy pojmować zachwyty w najpowszechniejszej a powszedniej jego postaci, jako porywu czysto duchowego, ożywiającego masy ludzkie. Wierzymy i mniemamy, że duchowym jest on *istotnie*, że stanowi drogowskaz nieśmiertelności, wszelako, najprzeważniej jeszcze, *in potentia*, jeśli chodzi o dotychczasowe stadia rozwoju, albowiem, jak nadmieniliśmy w toku książki niniejszej,⁴⁸ ludzie istnieć nie mogą jeszcze bez *przewagi* chleba.

Otóż, tak pojęty, a niezawodny sprawdzian nasz, użyty przy analizie obchodzących nas tutaj zjawisk życia, każe stwierdzić, co następuje:

1. Wybrańców jest najmniej, a ludzi, zazdroszczących im, czy zachwycających się nimi — najwięcej.

Płyną stąd wnioski takie:

- a. Ci nieliczni wybrańcy — słusznie, czy niesłusznie (w znaczeniu oderwanem), — zajmują w piramidzie *życia* miejsce najwyższe; owi zaś ludzie najliczniejsi, którzy ich na miejsce to przez tajemniczy proces rozwoju wynieśli, — najniższe.
 - b. Forma jawy wybrańców, odmienna z natury rzeczy od jawy nizin i jej form, a w pełni treści swej dla padołów niepojęta, staje się dla tychże padołów wymarzeniem *pium desiderium*.
 - c. Między owymi dwoma biegunami zawiera się rzesza typów pośrednich, rozmieszczonych w piramidzie życia, odpowiednio do ustalonych tu założeń.
2. Ponieważ każda mniejszość musi mniej lub bardziej liczyć się z większością, zależnie — nietylko od jej przewagi liczebnej, ale i stosunku wzajemnego jaw jednej i drugiej w toku rozwoju, płyną stąd wnioski następujące:
 - a₂ Przewaga życiowa danej mniejszości może trwać tylko dopóty, póki większość nie straci jej bezpośrednio (rewolucya), lub pośrednio (ewolucya) za pomocą nowej, wyłonionej z siebie mniejszości.

- b*₂ Postać jawy mniejszości, panującej w danej dobie, władać może większością tylko tak długo, zachwycać ją i być jej *pium desiderium*, póki nie stanie się przeżytkiem w stosunku do jej świadomości.
- c*₂ Dane szczyty mogą być szczytami danych podstaw tylko dopóty, póki jedne drugim odpowiadają rozwojowo, a zatem i logicznie, w życiu.
3. Ponieważ piramida społecznego ustroju ludzkości istnieje zawsze i wszędzie, a przyrodzony jej układ znajduje w źródłach psychicznych człowieczeństwa wiecznie odradzającą go siłę, cisną się na myśl pytania następujące:
- a*₃ Czy wobec zasadniczego konserwatyizmu gromadzkości,⁴⁹ a stąd i masy, jako masy, układ wewnętrzny piramidy ludzkiej — hierarchia jej szczebli i pokładów — może wogóle ulegać w danym środowisku⁵⁰ i okresie dostrzegalnym, przeobrażeniom *zasadniczym*?
- b*₃ Czy dźiać się to może wtedy nawet, kiedy w cyklu przewagi kolejnej masy nad jednością i odwrotnie,⁵¹ przychodzi moment „przewagi“ odmiennej, niż ta, jaka panowała w dobie tego „wczoraj“ dziejowego, które ukształtowało „dzisiejszą“ postać historyczną danej, znanej nam i badanej przez nas, piramidy życiowej?

Zdaje się, że na oba te pytania odpowiedzieć należy przecząco, stwierdzając raz jeszcze fakt, że ujawniające się w dziejach *pozory twórczej przewagi rozwojowej* masy nad jednostką, płynące ze zmieniającego się istotnie co czas pewien w świadomości ludzkiej ich stosunku wzajemnego⁵¹ — są w gruncie rzeczy *złudzeniem* gromadowców.⁵²

Piramida ludzkości, zwężająca się od podstaw ku górze, zakończona szczytem zalet, czy ewentualnie: przywilejów indywidualnych, jest naturalnym kształtem rozwoju — *vagina perfectionis humanae*.

To też, im bardziej pokład danej grupy społecznej jest ku szczytom zbliżony i przeto ograniczony liczebnie, tem łatwiej przychodzi mu wytworzyć i utrwalić w sobie wyższe cechy rozwoju: *Nie bójcie się, małe stado, albowiemci się upodobało Ojcu waszemu dać wam królestwo.* (Łuk. XII., 32).

Cechy pomienione im są wyższe, tem mniej są i być mogą przystępne bezpośrednio, t. j. w pełni swej treści i formy — dla nizin. Pokłady górne wiążą się atoli z najniższymi przez liczne szczeble pośrednie. Istota odpowiedniego mechanizmu i żywotność danej jego postaci na tle bytu polega bowiem na tem, że pomiędzy podstawami piramidy, a jej szczytem zachodzi możność *stopniowego* odczucia, zrozumienia się i idącego za niem

zestroju. Tkwiące w każdym człowieku siły potencjalne, zamienione na treść właściwą, znajdują na wyższych (od chwilowego jego poziomu życiowego) szczeblach piramidy gotowe już, przez ustrój społeczny przygotowane, formy socyologiczne: Jak niemowlę w wyrobionym przez przodków języku, tak rozwijający się człowiek w formach tych znajduje dla siebie odpowiedni *wyraz*. Inaczej, dany układ wewnętrzny piramidy rozspręga się i następuje jego przegrupowanie.

Napoleon mawiał pono, że każdy żołnierz nosi w tornistrze swoim — buławę. Odpowiada to, *mutatis mutandis*, jednemu z naszych w studyum niniejszem orzeczeń, że rodzaj arystokratyzmu każdego środowiska i doby jest wiernem odzwierciedleniem istoty tej piramidy, która go na szczyt swój wyniosła.⁵³

Jest tak rzeczywiście: ideał żołnierza winien zmierzać do buławy, a ideał każdej jednostki — do zostania w środowisku swoim — *arystokratą*.

Ustrój armii stworzył tu hierarchję odpowiednich stopni wojskowych, a natura — w piramidzie ludzkości — takąż hierarchję form, gotowych (w rozwoju indywidualnym, a częściej jeszcze dziedzicznym, człowieka), do przyjęcia odpowiedniej jego treści.

Przeskoki są tu i trudne i anormalne i wyjątkowe. Stopniowość jest bowiem przyrodzoną zasadą rozwoju. Żołnierz zdobywa zwykle za zasługi

nie stopień marszałka, lecz podoficera; wieśniak, rozsadzający swą formę narosłą w niej treścią, zostaje normalnie organistą lub sołtysem—nie zaś subtelnym mistrzem tonów, czy wojewodą. Wszelako ciągłość rozwoju zarysowuje w dali przed pierwszym z nich nie skromne galony, lecz buławę; przed drugim—nie chór kościelny, czy napierśnik mosiężny, lecz wawrzyn i karmazyny.

To też, gdyby nędzarz-europejski twierdził, że pragnie dla siebie i potomstwa swego — tylko chleba, będzie to conajwyżej osobiste jego *złudzenie*: w dali bowiem, pod kątem przyszłości, jeśli nie osobistej, to dziedzicznej, unosi się przed nim, jak przeznaczenie, zjawia utytułowanego magnata; w Ameryce — dorobkiewicza - miliardera; w Azji — tonącego w klejnotach, na poły zmu-mfikowanego, maharadży.

Poruszone wyżej zjawiska psycho-historyczne silniejsze są od wszelakich doktryn i idących za nimi sugestyj fałszywych, są bowiem zawsze i wszędzie wyrazem zasadniczym, logicznym, a nie-ubłaganym, odpowiednich praw rozwoju.

Wobec tego jest też rzeczą prostą a jasną, że każdy szczebel piramidy posiada, bo posiadać musi, swe jawy ściśle swoje, wierzenia i ideały, poczynając od koncepcji «godności człowieka»,⁵⁴ a kończąc na celach jego i zamierzeniach życiowych. Mimowoli ciśnie się tu na myśl uwaga, jak dalece bezpłodne są i śmieszne, a czę-

ściej jeszcze—niestety—przez swój posiew anarchii, moralnie i społecznie szkodliwe, usiłowania, podejmowane przez „władających“ iluzorycznie światem gromadowców, by przeszczepić swą jawę, niekiedy nie bez nacisku, a nawet przemocy, ludziom, którzy do niej życiowo *jeszcze* nie dorośli, ani—co ważniejsza—na zawołanie dorosnąć nie mogą.

Filozofia winna być koroną, nie zaś „planowym“ fundamentem życia. Skoro człowiek (najczęściej—papierowy) powiada: „... chcę ich dobra, a oni mnie nie rozumieją...“, albo: „...to i owo tak i owak być *powinno*...“, dowodzi to jednego tylko, — że on sam nie zna prawa mimikry: że nie pojmuje *życia*.

Niemożna strzelać z działa do kuropatw, ani śrótem do artylerii; co zaś do nabojów z bibuły, to te nie są wprawdzie zabójcze dla życia, ale czadem swym powodują rozstrój należytego oryentowania się ludzi w ich środowiskach własnych.

Podobnie, jak, widząc małego chłopca, przewidzieć można zgóry, że mu w wieku dojrzałym, o ile go doczeka, przybędą wasy, tak też, spoglądając na niziny danego podniebia, łatwo jest, nie uciekając się do doktryn gromadzkich, wyobrazić sobie zasadniczo, w perspektywie przyszłości, swoiste ich wyżyny. Tymczasem—póki chwila ta nie nadejdzie — należałoby im tylko przypominać słowa przeopatrne: *W cierpliwości waszej otrzymacie dusze wasze* (Łuk. XXI, 19), oraz, i nadewszystko: *Bądź wola Twoja...* (Mat. VI, 10).

Pomijając tłumaczące się same przez się szczeble pośrednie rozwoju, przyjrzyjmy się tym, których „cierpliwość“ — najprzeważniej dzięki talentom i ubocznemu produktowi życiowemu⁵⁵ przodków, bo rzadziej w całej pełni ich własnym — została już nagrodzona pod postacią stopnia najwyższego w hierarchii życia. Zanim jednak przejdziemy do tych spostrzeżeń, winniśmy poświęcić parę słów wspomnianej tu roli przodków, znajdującej swój wyraz najogólniejszy w instytucji własności dziedzicznej.⁵⁶

Wszelka własność jest w znaczeniu psychicznym wyrazem dążenia jaźni ludzkiej do narzucenia się, a względnie do pochłonięcia swego otoczenia, w fizycznym zaś, posiłkując się utartymi określeniami — wynikiem pracy, połączonej z oszczędnością.

Zarówno duch, który pożąda przeciw ciału, jak ciało, pożądające przeciw duchowi, wypowiadają się w życiu w sposób, narzucający człowiekowi pojęcie własności, jako owocu pracy, połączonego z gromadzeniem jej wyników. Praca zaś, nie jako tępe naśladownictwo, lub przymus złowrogi, mechanizujący człowieka na pożytek gospodarczy masy, lecz jako samorzutne, a szczytne w znaczeniu moralnym i cywilizacyjnym, zadanie życia, wtedy tylko stać się może prawdziwie owocną — płodnie twórczą, nie zaś bezdusznie odtwórczą, kiedy występuje jako reakcja wyrazu energii —

czynu — na bodziec zachwytu: kiedy wynika z zapładniającej człowieka błyskawicy ideału. Wtedy każda praca, własnym, najnieomylniejszym instynktem, nie zaś szablonem zawodnego, bo martwego rachunku wiedzioną, znajdzie najodpowiedniejszą dla siebie „psychotechnikę“, jako wyraz naturalny — zamiłowania. Znajdzie również zmysł zaoszczędzenia ubocznych swych produktów⁵⁷ na pożytek innych — podstawę twórczą własności, cywilizowanej nietylko z ciała, ale i z ducha.

Duch znajdzie ją pod postacią idealną mogącego rosnąć w nieskończoność wpływu moralnego człowieka na otoczenie: *Pójdźcie za mną, a uczynię was, że będziecie rybitwami ludzi* (Mar. I. 17); ciało — pod postacią środków oddziaływania na toż otoczenie w kierunku materyalnym.

Co do wiążącej się z własnością dziedziczności, to przekazywanie bogactw nabytych następcom, i tu i tam występuje na równi w życiu: Następcy duchowi — uczniowie i szermierze pewnych idei — dziedziczą po swych mistrzach - spadkodawcach siłę ich dorobku (duchowego), a toż samo dzieje się w kierunku materyalnym — w zakresie spadkobrania (fizycznego).

Stan bezwłasnościowy jest do pomyślenia jedynie w dzikim zespole stadnym żywiołowego ustroju, nie posiadającego żadnej zgola planowości w zakresie stosunku swego do otaczającej go żywicielki-natury.

Mówiliśmy już wyżej o własności dziedzicznej, w związku z tezami zasadniczymi niniejszego studium.⁵⁸ Ponadto winniśmy nadmienić, że instytucja własności, zarówno osobistej, jak związanej z nią ściśle w bycie osiadłym człowieka, własności dziedzicznej, czyni zadość nie tylko wspomnianemu przed chwilą, podstawowemu nakazowi psychicznemu jaźni ludzkiej, ale i wypływającej z tegoż nakazu potrzebie logicznej człowieka, która skłania go do wypatrywania naokół siebie *śladów* działalności własnej, jako sprawdzianu twórczości: syntezy sił jego najwyższych. Tylko duch ludzki bardzo już wysoki, pogodzony z sobą, a wyzwolony z trosk drobiazgowych o stosunek otoczenia swego do siebie, może bywać, i to nie bezwzględnie, od potrzeby tej wolny. Żaden człowiek bez trosk tych nie może przejść przez życie: stanowią one bowiem źródło własnej jego nad sobą kontroli, zarówno w kierunku duchowym, jak materyalnym. Żadna też jednostka ludzka, bez względu na to, cokolwiekby o obojętności swej w kierunku pomienionym mniemała, czy twierdziła, nie może bytować tak dalece i wyłącznie w świecie swym wewnętrznym, aby jej zewnętrzny nie obchodził nigdy i wcale.

Ponadto wszystko, własność dziedziczna, dając bezpośrednio a wielokrotnie siłą życiową ludzi słabych, darzy nią w rezultacie pośrednio tych *homines novi*, co do siły tej treścią swą już doro-

śli, a formy ściśle własnej zdobyć *ad hoc* nie są jeszcze w stanie. Wzgląd ten, obok szkód, płynących ewentualnie z nadużycia, świadczy w zasadzie rozwojowi ogólnemu i jego ciągłości, wielkie usługi.

W swoim czasie zajęliśmy się analizą różnic psychicznych pomiędzy ludźmi — różnic, składających się na podłoże nierówności zasadniczych pomiędzy tymi, co biorą, w ten lub inny sposób, udział w *rewolucyi*.⁵⁹ Punktem wyjścia teorii naszej było tam przecięcie nie pionowe, lecz raczej poziome, zjawisk społecznych. Nie było to przecięcie, odłączające istniejące w danym momencie klasy społeczne jedne od drugich, ani odgraniczające od siebie sfery towarzyskie: bogatych od ubogich, czy „cywilizowanych“ od „niecywilizowanych“ lecz — przegląd, pod rewolucyjnym kątem wrzenia, wszystkich na równi klas i ludzi, bez względu na zachodzące pomiędzy nimi w danym momencie, różnice społeczne.

Usiłowaliśmy wtedy przedstawić, zanalizować i wytłumaczyć dwie — zasadnicze naszym zdaniem — sfery rozwoju dziejowego ludzkości: psychikę panów i psychikę niewolników — „panów“ i „niewolników“ w rozumieniu psychicznym, nie zaś społecznym.⁶⁰

W studyum niniejszem natomiast, wypowiedziawszy się już uprzednio⁶¹ na temat warunków rewolucyjnych, zajęliśmy się analizą zasadniczych

warunków społecznych badając, zamiast okresu wrzenia, okres ustalonego pokoju (*paix sociale*) i „cywilizacji“, przy pomocy metod, użytych w „Echach Prawieku“.

Czynnikiem zasadniczym, a — zdawałoby się — czysto zewnętrznym, powodującym różnice między obu wspomnianymi przekrojami piramidy ludzkiej: poziomym i pionowym — rewolucyjnym i pokojowym, jest wzgląd, że w pierwszym z nich każda jednostka ludzka zdaje się zaczynać rozwój historyczny gatunku swego *ab ovo*, gdy w drugim — jest częścią *istotną*, względnie wysokiej postaci rozwojowej, swego środowiska. W pierwszym występuje — niby pozbawiony przodków protoplasta swej własnej i swego potomstwa przyszłości: w drugim — jako potomek, dziedziczący przywileje i upośledzenia ojców swych i dziadów. W pierwszym jest niby samorzutnym, wyzwolonym z wszelkich ograniczeń, bojownikiem fikcyjnego w swej zawrotności „postępu“; w drugim — skrępowanym przez tradycję szermierzem rozwoju. W pierwszym na koniec jest człowiekiem, który, podobnie, jak zwierzę, nie słyszał nic o dziedziczeniu ani dziedziczości; w drugim — świadomym siebie, mniej lub bardziej, dziedzicem plusów i minusów życia.

Oto wszystko; a instytucją, przenikającą wszelkie władza pokoju: będącą jego najbardziej konkretnym wyrazem — czynnikiem zasadniczym, odzwier-

ciadlającym w sobie różnice podstawowe, zachodzące między obu, wspomnianymi wyżej przekrojami — jest *własność*, pokojowy równoważnik *siły*⁶² z doby przewrotu.

Podobnie, jak siła jest duszą układu stosunków rewolucyjnych, tak własność jest duszą układu stosunków pokojowych. Niema rewolucyi bez walki, a walki bez siły; niema pokoju bez kultury wyższej, a kultury wyższej bez własności.

Własność, jako czynnik, pierwotnie czysto zewnętrzny, a krótkotrwały w swem oddziaływaniu na świat ludzki, z czasem, jako wypływ siły silnych w stosunku do własnego ich potomstwa, a przez nie — do świata, wyrobiła, stawszy się *dziedziczną*, przez długotrwałą swą rolę dziejową, całą sferę skomplikowanych zjawisk psycho-społecznych, niby objawów, podporządkowanych sile głównej. Zjawiska te, wypływając z owej siły, jak strumyki z lodowca, złością w zboczach gór i w dolinach życia, na ich powierzchni i w najgłębszych ich uwarstwieniach, labirynt dróg, ścieżek i kanałów — mechanizm kapilarny ustroju społecznego ludzkości, którym oddycha siła, będąca w stanie spoczynku.

Zasadą siły wyzwolonej jest ruch, a formułą mechaniczną ruchu — wahadło. Badaliśmy je w swoim czasie w świecie ludzkim w jego postaci najprostszej,⁶³ w obecnem zaś studyum ujrzeliśmy je

w kształcie, zmodyfikowanym przez życie. Mieliśmy ongi do czynienia z *zasadą* mechanizmu; dziś z jego *udoskonaleniem* — aparatem zegarowym. Jakąż okazała się jego istota? Czy w porównaniu z *zasadą* istotnie różna, czyli też tylko — zewnętrznie odmienna: czy embryologicznie inna, czy też może różniąca się od niej tylko morfologicznie?

Studyum niniejsze dało na pytanie to odpowiedź następującą:

Dusza aparatu, o którym mowa, posiada, jak Janus, dwa oblicza dziejowe, z których jedno zwie się w języku ludzkim indywidualizmem, drugie — gromadzkością.

Pierwszy z nich, o ile jest szczery, jest produktem ubocznym siły, zapewniającym jej w dobie wrzeń społecznych przetrwanie,⁶⁴ a w dobie spokoju — panowanie nad światem. Druga — również szczerą — jest produktem ubocznym słabości, usiłującym daremnie⁶⁵ zapewnić jej kiedykolwiek bądź przewagę istotną nad siłą.

Przechodząc do szczybli najwyższych piramidy społecznej, od których odbiegliśmy na chwilę, winniśmy stwierdzić, że rolą naturalną zajmujących je ludzi jest: hodować *jednostkę*, wylonioną z masy ludzkiej i tworzyć najidealniejsze dla niej warunki pochodzenia *ad astra*.

Jakże atoli przedstawiają się oni dzisiaj istotnie w życiu, opanowaniem przez poczucie złudne gromadzkiej nad jednostką przewagi?

Niepodobna iść ślepo w ich ocenie ani za wylewającymi dziecię wraz z kąpielą wskazaniemi filozofii stadnej, spotwarzającej instytucję arystokratyzmu dla zasady, a zapominającej o tem, że gdyby jej nie było, należałoby ja (jak Voltaire—Boga) stworzyć, gdyż chodzi wprost o jej *miejsce* w ustroju; ani też iść niepodobna za tępą jej apologią. Pierwsza bowiem „zasada“ nie wie zgoła, lub wie zbyt „dobrze“, co czyni: druga jest nie mniej powierzchowną w kierunku odwrotnym.

O prawdę mogliśmy nie pytać: leży ona w środku, a naogół nie przedstawia się dzisiaj w świetle, dostatecznie dla arystokratyzmu korzystnem⁶⁶—jak mniemam—poprostu dlatego, że wielu z pośród jego przedstawicieli, i to wielorako, przestało być sobą.

Ulegli oni nadmiernie—zwłaszcza u nas—wbrew założeniu i kierunkowi naturalnemu rozwojowi, wpływowi nastrojów otaczającej ich masy i jej filozofów gromadzkich: *Zdemokratyzowali* się, zmateryalizowali, czyli cofnęli się w rozwoju, zmierzającym od materji ku duchowi, jakby na dowód, że pozbawiona uduchowionej twórczości jednostek grupa ludzka, musi stać się wiernym wyrazem masy, na której się wspiera: jakby poto, by masa ta, ujrzawszy w grupie tej nagle, a w całej oka-

złości, swe wyolbrzymienie, struchlała przed zwierciadłem, które odbiło własną jej postać w kształcie stworzenia, upodobnionego w ideałach swych *połowicznie*, bo tylko materyalnie, do arystokratyzmu rzetelnego, niby do kościoła, któremu pozostawiono mury, wypędzając z nich ducha.

I powstało stąd, na szkodę rozwoju, w piramidzie ustrojów społecznych, błędne koło mściwych pomiędzy jej szczeblami nieporozumień wzajemnych.

Z jednej strony — pod wpływem bezkrytycznego chłonięcia przez szczyty zabójczej dla ich istoty, materyalistycznej atmosfery nizin, istota arystokratyzmu ulega dziś zwyrodnieniu; z drugiej — wyobraźnia masy, nie dostrzegającej ponad sobą normalnych, wskazanych jej przez rozwój naturalny, wzorów, stawia na ich miejscu uszczerbionem, a niekiedy nawet wręcz opustoszałem, fikcye własnych swych rojeń gromadzkich, albowiem: *natura horret vacuum*.

I oto, zamiast harmonii, wiodącej *ad astra*, powstaje w piramidzie ludzkiej ferment chaosu, splot ignorancyi dróg wytycznych ze zgrzytem ciężkich żalów wzajemnych i niesnasek, a wreszcie — zewnętrzna izolacya życiowa „panów“, niezapobiegająca atoli działaniu na nich wpływów niszczących fałszywej emulacyi wewnętrznej z masą — zarodzi ich wsteczniactwa moralnego i cofania się w rozwoju.

Jednym z objawów najbardziej uderzających tego zjawiska — objawów zewnętrznych, a jednak posiadających nieraz w życiu znaczenie zasadnicze, jest lekceważąca, drażniąca ludzi, wyniosłość „panów“, zgoła, nawiasem mówiąc, dla „królów“ prawdziwych zbyteczna,⁶⁷ a kopiowana w nieskończoność, coraz to nieudolniej, jak wszelka mnożąca się bez miary tandeta, na wszystkich szczeblach, zachwianej przez filozofię gromadzką od góry do dołu, hierarchii społecznej.

Środka tego używać dziś musi cały legion tych, co, nie posiadając zgoła, lub utraciwszy niebacznie treść odpowiednią, usiłują daremnie zastępować ją liczmanem pustej formy — giestem śmiesznym, bo tanim napuszczzonego pozorów — duszą blagi.

Człowiek zachował jednak — mimo wszystko — bodaj jako „przeżytek“ w obecnej dobie, szczątki instynktu, nakazującego mu podporządkowywać nie tylko wewnątrz, ale i zewnątrz, rzeczy niższe rzeczom wyższym. To też trzeba tu zauważyć, że nawet ludzie naprawdę wyżsi, zagrożeni wśród chaosu ciągłym *qui pro quo* wartości dodatnich i ujemnych, rzeczy rdzennych i pozorów, a stykający się na każdym niemal kroku z *ôte toi que je m'y mette*, jako z nakazem, co żywcem ze źródeł treści i formy gromadzkiej — z filozofii i „ułożenia“ towarzyskiego jej adeptów — płynię, zmuszani są nieraz, choćby z pobudek zdrowego rozsądku, do nieliczącej z nimi zgoła —

odpowiedniej a silnej reakcyi, wobec ordynarnej tandety życia. Z jednej bowiem strony—w naturalnym wyniku zamętu—objęła w niem panowanie nieufność powszechna i brak zupełny kredytu moralnego; z drugiej rozbrajająca wyrozumiałość faktyczna dla wykroczeń najnikczemniejszych. I zrodziła się atmosfera niska a plugawa, obniżająca tych nawet, co, powołani na wzór dla innych, byłiby zdolni piąć się na wyżyny, a utwierdzająca klasyczne typy z nizin na firmamencie życia. Prawdziwie godna swych źródeł szkoła upadku i zwyrodnienia!

Trudno popełnić przesadę w ocenie szkodliwości moralnej tego rodzaju warunków dla rozwoju; również jednak trudno dopuścić, by mniemano, że czarne jest białem, a białe czarnem: *Ne misceantur sacra profanis*. Niepodobieństwem bywa atoli dla jednostki rola bociana, skutecznie czyszczącego świat. Odegrać ją należycie mogłoby tylko ocknienie się uśpionej, własnej świadomości tegoż świata — spojrzenie w głąb życia i jego prawd, oraz przywrócenie im praw należnych dla dobra człowieka i ludzkości.

W pamiętnikach Stanisława Augusta⁶⁸ znajduje się ustęp nader ciekawy a znamieny w zakresie poruszonego tu zagadnienia:

„Zaraz potem (po elekcyi), gdy widziano, że „(król) bynajmniej nieodmienił sposobu przyjmowania każdego, obchodzenia się ze wszystkiemi,

„tak się zdało, że się On stał łagodniejszym
 „y mniej hardym od momentu iak zaczął bydz
 „królem. A wrzeczy samey odmiana y różność
 „nie w nim się stała, ale w pozycyi na Niego
 „patrzących, którzy, póki obok z nim stali, coś
 „nad nich gurować chcącego w Nim upatrywali,
 „gdy zaś wyzey go nad siebie postawili, sami
 „się dziwowali, że On ani górnicy ani ostrzey
 „z niemi niepostępował, ani mawiał, iak gdy
 „był z niemi w równości“...

Wtórjuje królowi w sto lat później myśliciel wy-
 trawny, pisarz spostrzegawczy a wykwintny, Pièr-
 re Loti,⁶⁹ pisząc:

„Nasi dzicy demokraci z Zachodu mogliby
 „brać lekcyę braterskości od tego kraju dobro-
 „dusznego — od Turcyi — która w *życiu prak-*
 „*tycznem* nie zna ani kast ani różnic społecz-
 „nych i gdzie najniższe sługi są traktowane jak
 „członkowie rodziny“... „Niejedna żona naszych
 „najwolnomyślniejszych, najbardziej nieprzeje-
 „dnanych socyalistów, mogłaby przyjechać uczyć
 „się w haremach tak traktować swoje poko-
 „jówki, lub nauczycielki, jak damy tureckie trak-
 „tują swoje *niewolnice*“...

Oto jak wygląda szara a głęboka *prawda ży-*
cia, posiadająca we własnej, polskiej tradycyi na-
 szej, tak wiele odpowiedniego wyrazu...

I czyliż terażniejszość naszą można, z ręką na
 sercu, nazwać w stosunku do niej *postępem*? Ra-

czej chyba — wynaturzeniem, bo conajmniej prze-
połowieniem pełni rozwoju...

A przecież powiedziano już niegdyś: *Każdy w wezwaniu, którym jest wezwan, w tymże niechaj trwa.* (List I Św. Pawła do Koryntyan, VII, 20).

DRugą cechą, uderzającą spostrzegacza, rozglądającego się wśród zwalisk moralnych, rozsianych przez wrogie siły — miast wieżyc gotyckich — na szczytach piramidy ludzkiej, jest brutalna materyalizacja tych ostatnich, owiana dziś nierzadko tym samym, co na nizinach, tchnieniem płaskiej bezcelowości, uznającej pieniądź — środek rozwoju — za cel jego ostateczny.⁷⁰

A wszakże arystokrata istotny tworzy *dla pionu*,⁷¹ i conajwyżej może towarzyszyć mu mniemanie o rozlewności jego wpływów, gromadowiec zaś tworzy *dla poziomu*,⁷² choć wydawać mu się może niekiedy, że samodzielnie podnosi go wzwyż.

Wobec wypiastowanej przez demokratyzm, w stopniu w dziejach najwyższym, zasady, stawiającej pieniądź na poziomie nie *środka*, lecz *celu* życia,⁷³ hasło tak naturalne a wzniosłe, jak *noblesse oblige*, zostało sprostytuowane przez wyłączność czysto zewnętrznych pozorów, urastając do rozmiarów swej własnej a potwornej karykatury.

Ucieleśnia ją, niestety, w znacznej mierze, arystokracja dzisiejsza, a jest to nietylko już sprze-

niewierzenie się swej własnej roli rozwojowej, nie tylko zanik instynktu moralnego, jako źródła nakazu: *redde, quod debes*, ale i połączona z odstępstwem od linii rozwoju dziejowego Europy⁷⁴ — *nieogłędność*, grożąca zagładą tak zwycięskim ongi ideałom naszej części świata, pod stopami Ameryki.⁷⁵ Boć panowie europejscy, o ile na sztandarze swym zastąpią hasłami materyalizmu Nowego Świata, własne, rodzone, a tak imponujące niegdyś godła swoje, zejść mogą i muszą wobec Ameryki, która im—mimo bogactw swych—hołdowała, do roli śmiesznych pigmejów.

A zaiste, bożek, któremu zamierzają służyć niebacznie, daleki jest gatunkiem swym od majestatu właściwych im wzorów:

„...*Straszną* byłaby rzeczą amerykanizacja Europy—amerykanizacja stosunków naszych!...”

— woła, przejęty zgrozą na ich widok, publicysta polski,⁷⁶ a z bolem trzeba dodać, że „postęp” nasz obecny, wykwitający ze znanych nam przesłanek, zmierza prosto po tej właśnie drodze.

Quousque tandem?

Daremnie ludzilibyśmy się tutaj czarem zawodnym ludów najbardziej w Europie „zdemokratyzowanych” (czytaj: schłopiałych): Norwegów i Szwajcarów. To bowiem, co stanowi pozornie kwiat „ich” kultury, zrodziło się bez wyjątku *poza* ich światem. Posiadają oni wprawdzie dar swoisty

przystosowywania wszelakiego importu do zapotrzebowania swych mas, ale nic ponadto. Są, właściwie mówiąc, w kierunku istotnie twórczym — *bezpłodni*. I gdybyśmy wyobrazili ich sobie jako izolowanych od wszystkiego tego, co zzewnątrz ich krajów powstaje, *a jedynie wśród warunków odmiennych powstawać może*, znaleźlibyśmy się wobec mrowisk, zmechanizowanych w kierunku automatyzmu o wiele dalej, niż sięgnąć dziś zdolna najbujniejsza nawet wyobraźnia statystów świata cywilizowanego. Postęp swoisty tych społeczeństw, skarłałych w sferze indywidualistycznej, a za nią i duchowej, mógłby się wśród izolacji rozwijać tylko i wyłącznie w kierunku ideologicznego i życiowego superlatywu *gromadzkości*: czystego *materyalizmu*, pod przewodem narastającej stopniowo plutokracji, o tyle jednak banalniejszej i bardziej poziomej niż amerykańska, że pozbawionej jej rozmachu, oraz rodzącej dalszą przyszłość świata tężyzny żywotnej *ludzi nowych*.

Ktoś, co, stanąwszy u szczytu piramidy, jako *vaginae perfectionis humanae*, zapomina o rozwojowej *istocie* swej roli i fałszuje ją surogatem czynników najbardziej poziomych, stoczy się tak w niziny, jak pyszny Lucifer, albo raczej jak Rzymianin starożytny, co zapomniał o tem, że Skala Tarpejska wznosiła się tuż u Kapitolu. A wszak wiadomo, że upadek bywa tem gwałtowniejszy i głębszy, z im wynioślejszych wyżyn się poczyną, wy-

żyny te zaś, z trudem olbrzymim przez człowieka dziejowego zdobyte, posiadają przecież naturalny świat swoisty wielkiego piękna i wielkiej wśród rozwoju służby ofiarnej... Wysoka ich treść winna posiadać formę wysoką — majestat budzącego *zachwyt*,⁷⁷ bo symbolizującego najwyższe wartości, Kościoła, ogarniającego pod swem sklepieniem skarby rozszerzonej jawy — nie zaś kształt przybytku pustki i sensacyjnego blichtru, sięjącego płytkością swoją *zawiść* w poziomej duszy stada.

To nietylko przenośnia: to zestawienie i porównanie. Człowiek dawny, co miał najwspanialszego w dziejach, ofiarowywał Bogu, a Kościół gromadził te dary w skarbnicy konserwatyzmu swego, z której ze swej strony kultura wieków późniejszych, nie posiadająca już zasobu dostatecznego potrzebnych jej wzorów, pełną czerpała dłoń. I tkwiła w tem podpora *ciągłości* kultury cywilizowanej, wiążąca tęczą *speciei aeternitatis* to, co jest i co będzie, z tem, co było...

Quantum mutatum ab illo!

Piękno,⁷⁸ zarówno skromne, jak okazałe, nie przestaje być pięknem, o ile nie utracą istoty swej — harmonii. A harmonia, nietylko wewnętrzna, ale i zewnętrzna, to wszak warunek zasadniczy pełni człowieczeństwa i bijącego z niej majestatu. Wtedy też tylko majestat ten — wykwit naturalny szczytów ludzkich, — rozsiewając naokół blaski wielkiego swego stylu, promieniować może jako

wzór rozwoju, podnosić tych, co z nim się stykają — pogłębiać poprzez terażniejszość i wiązać przeszłość doświadczoną z trwożliwą przyszłością rozwoju...

Rozporządzając, *in medio vaginae perfectionis humanae*, środkami doskonalenia siebie i innych, będąc *wcieleniem naturalnem* potrzeb kefalicznych stada, złożonego niemal wyłącznie z rzeszy ludzi małych, *pan* winien dążyć przede wszystkim do *opanowania samego siebie*, a gdy zawładnie sobą, posiadane przezeń przywileje nie będą krzywdą, lecz dobrodziejstwem dla innych. Zrodzony przez duchowych jego przodów, nie pusty z imienia — „demokratyczny“ — lecz *ludzki* humanitaryzm, poczucie obowiązku, pełna prostoty szlachetność, wspaniałomyślność i męstwo,⁷⁹ przestaną być dla niego ofiarą. Staną się one wyrazem pełni jego człowieczeństwa: nieprzewyciężoną potrzebą wewnętrzną — wynikiem prostym a naturalnym pojętej należycie roli *człowieka* w rozwoju: *A owoc Ducha jest: miłość, wesele, pokój, cierpliwość, dobroć, nieskwapliwość*. (List św. Pawła do Gal. V., 22). Ponieważ zaś istnieje konieczność hierarchiczna⁸⁰ stanowisk niższych i wyższych w świecie, a ludzie z nizin kroczyć zwykli najprzeważnie na wyżyny życia, jeśli nie przez zło wyraźne, to przez graniczące z niem kompromisy swoje z sumieniem, trzeba dojść do wniosku, że *sam ideał moralny* domaga się istnienia „pana

z panów“: typu społecznego, któryby, *bez potrzeby* sięgania *per nefas* wyżej, niż postawiły go losy, mógł pełnić rolę możliwie doskonałego *wzoru* człowieczeństwa dla innych: *W tem ci jest uwielbion Ojciec mój: iżbyście bardzo wiele owocu przynieśli, i stali się mojami uczniami.* (Jan XV, 8).

Ludzi podobnych wydawał w swoim czasie świat — a w stylu, bodaj czy nie najwspanialszym, — Polska nasza, o tyle wolniejsza od krajów innych, o tyle bardziej i wyżej darząca przywilejami „panów“ swoich. Błąd polityczny (wszak rzecz każda ma nietylko *złą*, lecz i *dobrą* stronę) zrodził tu *wspaniałe*, niemające równych sobie, *typy moralne*. I odbija się to nieraz, podziśdzień jeszcze, w psychice ich potomków, a fakt, iż pojmują oni niejednokrotnie do głębi wszelkie inne stany społeczne, własne i obce, te ostatnie zaś nigdy ich równie gruntownie pojąć nie są zdolne — potwierdza w sposób nader znamienny potrzebę, doniosłość i wartość *hierarchii istotnej*⁸¹ w rozwoju.

La gloria di colui che tutto muove
Per l'universo penetra, e risplende
In una parte più, e meno altrove...

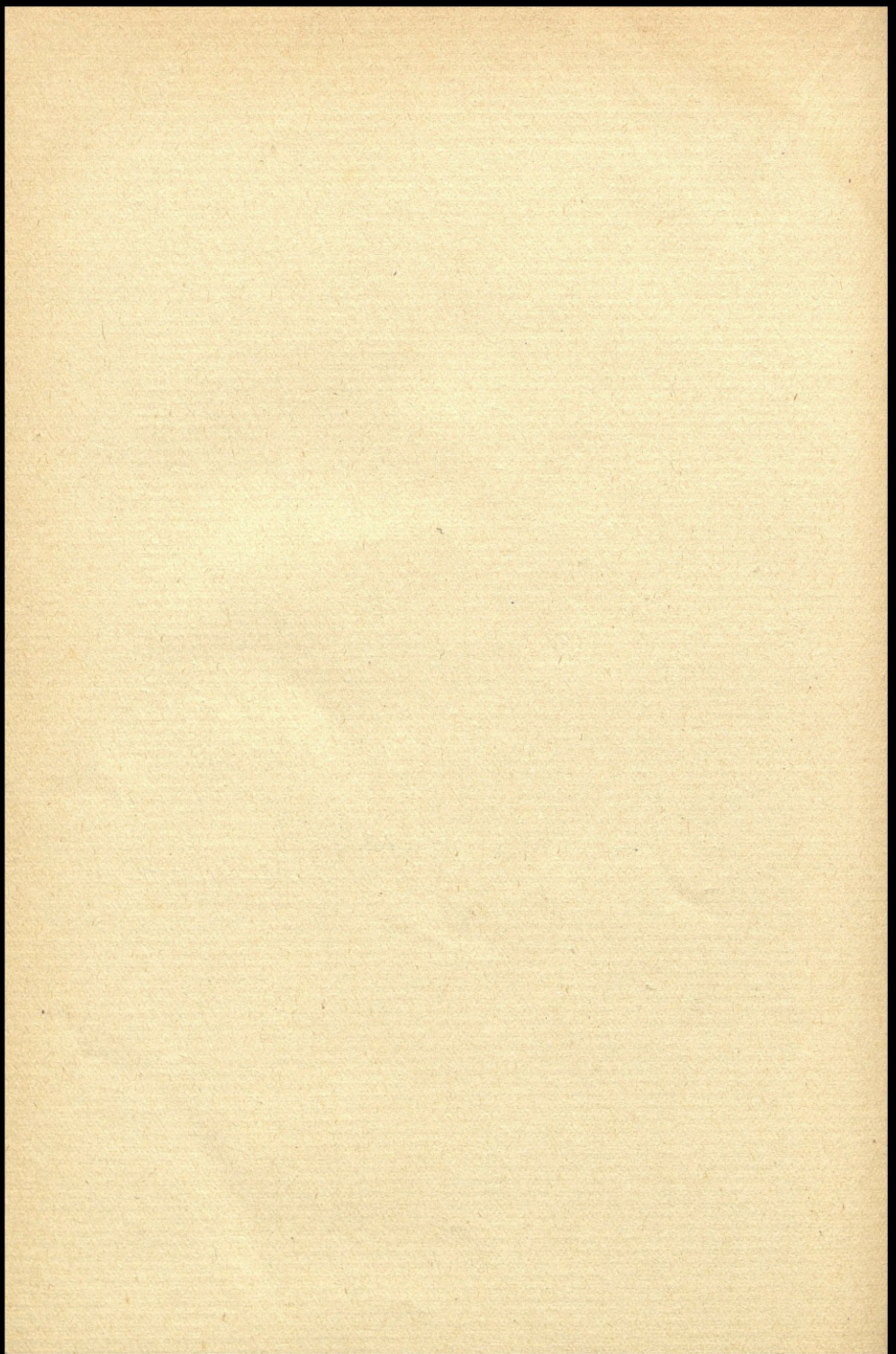
(Dante, *Commedia. Paradiso I, 1—3*).

Przeciw pysze, jakaby stąd na pewnych ludzi spływać mogła, istnieje lekarstwo odwieczne: *Aprze- toż, jeśli ja, Pan i Nauczyciel, umył nogi wasze, tedy i wy powinniście jedni drugim nogi umywać.* (Jan XIII, 14).

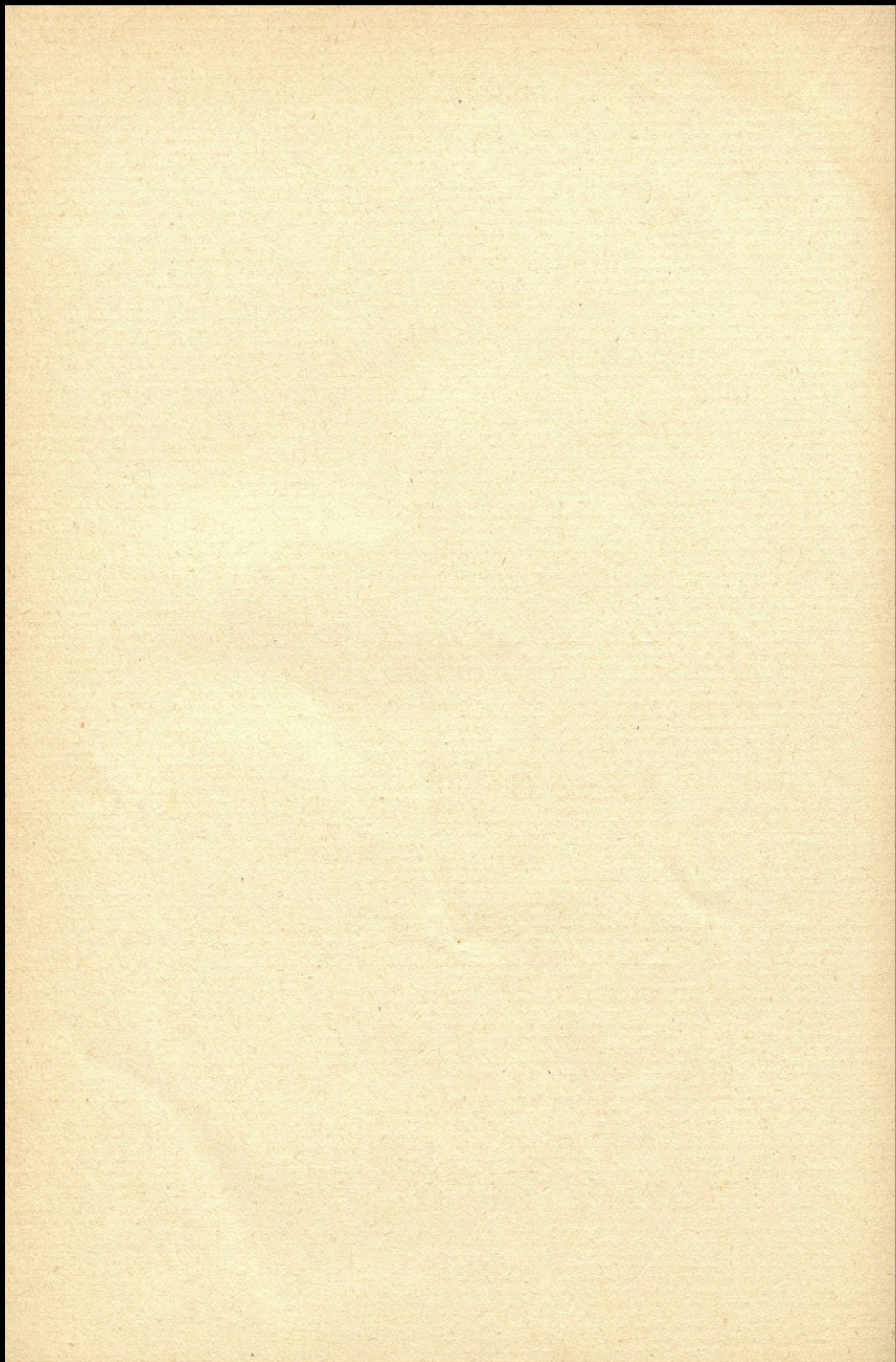
Święte to a przeopatrzone przykazanie, albowiem *panu* dwojako łatwiej jest mnożyć *dobro*, niżli słu-
dze. Najpierw, z powodu środków obfitszych, a po-
wtóre — co ważniejsza — z powodu własnego jego
stanowiska i związanej z niem roli. Pan bowiem,
wywierając sam przez się wrażenie na otoczeniu
swojem, *podkreśla* bez trudu czynami swymi wła-
ściwą ich *istotę*. Jego *zło*,⁸² jakkolwiek bywa mu
ono wybaczone częściej niż innym, jako grymas
przemijający boga fortuny, jest jednak złem po-
dwójnem, *dobro*⁸³ zaś — dobrem nietylko podwój-
nem, lecz wielorakiem, gdyż, poza dobrodziej-
stwem materyalnem, poza dobrą zachęta i przy-
kładem umoralniającym, wytwarza ono coś więcej
jeszcze: podziw, a za nim *zachwyt*⁸⁴ hołdującej
złotemu cielcowi gromady na widok, że i „*wielka*
potęga“ zdolna jest być w *człowieku*⁸⁵ potęgą —
dobra:

L'amor che muove il sole e l'altre stelle.

(Dante, *Commedia, Paradiso, XXXIII, 145*).



Zakończenie.





A tle całości wywodów powyższych — jako wynik zasadniczy niniejszego studyum — postęp ludzkości zarysował się przed nami w postaci zjawiska, którego potencjonalności przeczyć niepodobna.

Źródłem jego istotnym, podobnie, jak i urabiającej go atmosfery, jest świat *wewnętrzny* człowieka — dążąca wzwyż po linii kolejnego skupiania się i rozpraszania, krystalizacya, a wraz z nią i rozwój sił jego psychicznych.

Przeobrażenia *zewewnętrzne* warunków życia zbiorowego, a stąd i bytu dziejowego ludzkości, są jedynie wynikiem zjawiska zasadniczego — *wtórny* jego odbiciem.

Ponieważ doba nasza przypadła w procesie pomienionej krystalizacyi na moment „rozproszenia“,

dostrzegając w niem *błędnie*, poprzez pryzmat udoskonalonej technicznie strony zewnętrznej bytu, wyraz jakoby ostateczny rozwoju, znaleźliśmy się wszyscy na rozdrożu, wyzyskiwanem przez pewne doktryny, a domagającym się odpowiednich drogowskazów.

Studjum niniejsze powinno służyć takiemu właśnie celowi.

Nie chodzi w niem o nic więcej, jak tylko o pogłębienie *świadomości* w stosunku do zjawisk rozwoju i—mimo łatwych do uczynienia mu, tanich zarzutów wstecznictwa, jakie uczynićby można i kropli wody, która, znalazłszy się w obłoku, z powrotem spada na ziemię, należy zaznaczyć, że niema tu miejsca na zacołanie.

Zarzut „wstecznictwa“, który dałby się tu może wyrazić niekiedy w słowach: *Vous pouvez changer mon opinion, mais vous ne changeraiz pas mon vote*—byłby, w danych okolicznościach, tylko zaszczepny dla autora. A nie o to tu przecież chodzi. Chodzi o *nawrót psychiczny* z torów zwodniczej iluzji do dróg *normalnych* rozwoju, z których świadomość ludzkości została „chwilowo“ (w znaczeniu dziejowem) wykolejona.

Psychika ludzka, rozciągała a przepastna jak świat, którego jest odbiciem, mierzy ściśle świadomość swoją miarą przenikania w jego głębiny.

A wszystko jest w nich stare i nowe zarazem. Stare w znaczeniu odwieczności praw istnienia

i rozwoju; nowe w zakresie powstawania danej postaci bytu.

Ciepło ogrzewało człowieka zawsze w chwilach chłodu i człowiek *nigdy*, gdy zimno go przenika, poszukiwać ciepła nie przestanie.

W danym przypadku bolesnego spaczenia świadomości i wyobraźni na punkcie rozwoju ludzkości—chodzi o ożywienie w sobie odwiecznych sił utajonych, by z nich zaczerpnąć lekarstwo i ulgę, by wskrzesić z ich pomocą niezbędne dla ukojenia stany umysłowe i moralne, jako podstawę normalną zdrowego rozwoju.

To też nie może tu chodzić o śmieszny cel cofnięcia go w biegu.

Przeciwnie. Podobnie jak ontogeneza istot, *powtarzając* ich filogenezę, wyrabia w nich wśród tego procesu i umacnia cechy, niezbędne dla utrzymania ustroju w danym czasie i środowisku przy życiu, potrafi też i człowiek, obdarzony odpowiednią świadomością i wolą, umacniać czy to w organizmie swym (rękodzielnicy, sportowcy, atleci) czy w jaźni swojej (spartanie, myśliciele, anarcho-reci) potrzebne mu właściwości.

Idzie więc o to tylko, iżbyśmy pogłębili i umocnili w pokładach świadomości naszej te przesłanki, na których mogłaby się oprzeć niezbędna *nadbudowa* życia.

W naturze nic nie ginie: nie chodzi tu przeto o ślepy, niweczący postać obecną bytu i jej owo-

ce, nawrót do *form* już przeżytych — nawrót nie tylko bezpłodny, lecz wręcz niemożliwy, ale o staranne rozejście się w otaczających nas zjawiskach, aby mózg wyrozumieć ich *treść* istotną i wyzyskać w związku z nią podstawę zasadniczą rozwoju i postępu — *głębnię własną człowieka*.

A dla skutecznego podjęcia wielkiego tego zadania, zbędny jest „mistycyzm“, sztuczna mądrość i „metafizyka“:¹ zbędne samounicestwienie się i ucieczka od świata.

Wystarczy *Chrześcijaństwo* i czynna jego w życiu energia ducha — wystarczy jego poczucie siły moralnej i wykształcenie uczucia.²

A ujrzymy wtedy wyraźnie, jak na dłoni, że zbawić ludzkości, t. j. pchnąć jej ku wyżynom rozwoju i postępu, nie może żadna zgoła doktryna: anarchizm, socjalizm, pacyfizm, czy demokratyzm.

Cel ten osiągnąć zdolen jest wyłącznie — *człowiek*. Pomienione bowiem doktryny, zmierzające w swej postaci najczystszej poprzez władztwo *gromadzkości* — przyrodzonej a wiekuistej zarodzi zła — ku dobru, biorą na siebie zadanie niewykonalne: nad siły. To też skazane są zgóry na zanik pod przemożnym jego ciężarem.

Wy ręczyć je może i musi — tylko syn boży: jednostka ludzka.

A jeżeli tak przedstawiają się rzeczy naogół w świecie ludzkim, to Polska o wiele bar-

dziej niż którykolwiek bądź kraj inny, cierpi na zamęt pojęć w omawianym tu kierunku, i to zasadniczo. Społeczne doktryny stadne wszelakiego, a przeważnie najpośledniejszego gatunku i typu, opanowały ją bowiem w postaci, przez impulsyjność³ naszą, oraz specyficzne warunki miejscowe, najbardziej zaostrożonej.

Okrzyczamy indywidualizm szlachecki nie zdołał był jeszcze wyłonić się z atmosfery gromadzkiej przeżytku rodowości średniowiecznej⁴ na pole nowożytnych działań społecznych, kiedy, wraz ze spowodowanym — w danych warunkach geograficzno-historycznych — przez „młodszość cywilizacyjną“ kraju⁵ upadkiem państwa, runęła nań, podsycana przez pomienione doktryny, a poszukująca kozła ofiarnego — całą potęgą uskrzydłonej w swej impulsyjności wyobraźni stada — odpowiedzialność za klęski ogólne.

Wyrok ten, jakkolwiek z logiczno-dziejowego punktu widzenia zgoła nieuzasadniony,⁶ niemniej przeto był ciężki a nader wielorako dla narodu szkodliwy, gdyż zatarł w jego świadomości nie tylko związek historyczny przyczyn i ich skutków, ale wręcz nawet istniejący wszędzie indziej w Europie pogląd logiczny na zasadniczą strukturę naturalną społeczeństw ludzkich.

Z wylanej za okno kąpieli „grzesznej“ przeszłości ocalało tylko niemowlę ludu — masa drobno-mieszczkańska i wiejska: Korona zaś, Kościół, pa-

trycyat miejski, a zwłaszcza szlachta — *in effigie* i w życiu — jak się dało — skazane zostały na zagładę.

Jeśli — mimo to — ocalały, to, zaiste, tkwi w tem raczej „wina“ zawodowo-gromadzka, nie zaś zasługa celowa tych (szczęściem, przeważnie papierowych) potentatów masowości, co, zyskawszy na naszym gruncie, zwłaszcza pod opieką arcy-stadnych, bo wręcz jeszcze z ducha i ciała *koczowniczych*, (a przeto właśnie podstawom *życia osiadłego* wrogich)⁷ sztandarów Rosyi, ziemię obiecaną, jak z bajki, zdołali wprowadzić wyanielić i oczernić aż nazbyt wiele *ad usum Delphini*, nie potrafili wszelako, jak zamierzali, dokonać przemiany świata na „raj ziemski“, (czytaj: *całkowitej zagłady życia*), gdyż sami byli i są żywotności pozbawieni.⁸

To też wątpliwem jest, iżali Historia, pogłębiająca treść istotną zjawisk, związanych z ludzkością; ogarniająca je pod kątem widzenia linii wytycznych rozwoju i pod tymże kątem, jako kapłanka realnej strony życia, wieńcząca powodzenie, zwróci kiedykolwiek bądź na nich uwagę bacniejszą, niż na legion innych, przemijających w dziejach, jak kataklizmy, ruchów masowych.

Niepodobna jednak — i to w znacznej mierze — odmówić t. zw. „postępowcom“ naszym w stosunku do Polski: tryumfu Herostrata. Są to bowiem burzyciele, mimowolni może, lecz „naj-

zasłużeńsi“, u boku cudzoziemców, więzi społecznej własnego narodu. Równie złośliwi, jak bezmyślni, święcą oni w powodzi klęsk dzisiejszych żniwo swoje: klęskę najcięższą z tych, jakie nas dotknęły — niebywałego nigdy i nigdzie w tym stopniu rozczłonkowania społeczeństwa na głowę bez kadłuba i kadłub bez głowy... A sekundują im w „pracy“ tej wiernie, choć — znowu najczęściej — mimo wiedzy swej i woli, tak liczni u nas pod względem swej polskości *homines novi* — „dobrzy polacy“, których szata narodowa, otulająca ich w poczuciu subiektywnem jaknajszczelniej, datuje jednak przeważnie z czasów już porozbiorowych. Wobec okoliczności tej — bodajby z punktu widzenia embryologii psychologicznej — zgoła niepodobna od nich wymagać, iżby — zwłaszcza *samodzielnie* — wznosili się *ponad siebie* w chwilach próby, do wyżyn odczuwania pełni dostojęństwa historycznego, a wraz z niem: *godności Narodu*. Jest to zupełnie jasne. To też, nie uwłaczając im, ani nie mając tu bynajmniej na myśli ich *poziomów ludzkich*, trzeba jednak nadmienić, że niema wogóle na świecie nizin tak otchłannych, gdzieby nie było wcale miejsca na „godność“ subiektywną; „godność“ ta jednak — pewne jej stopnie (w danym przypadku narodo-wo-nizinne), wystarczające w życiu codziennem, stają się w chwilach próby wyższej, będącej istnem *du grec* dla większości tych ludzi — urągającym już

nie ideałowi, lecz prostej potrzebie: *złudzeniem*. „Dobra“ ich „polskość“ pryska wtedy jak bańka mydlana. I cóż w tem dziwnego? Wszak polacy historyczni, najprzeważniej nieobecni na właściwych stanowiskach swoich, nie świecą im przykładem. Przeciwnie. Bywają oni — w myśl „postępu“ — skłonni do ruszania w ciężkiej imprezie pod wodzą obcych im z ducha hetmanów... I krzewią się przeto, jak grzyby po deszczu (na domiar złego nie zewnętrznie, lecz w głębi dusz), różne dezoryentacye, na urągowisko naturalnemu drogowskazowi swojskiemu «oryentacyami» zwane... A święci w tem tryumf swój nadewszystko zagiew padołów — materyalizm, gruby, jak one, sprawiający, że hetmani ci, stojący w swem przekonaniu u szczytu piramidy świata, dopatrują się ujmy dla siebie najcięższej w okazywaniu czci (*słabemu* w ich oczach) duchowi, oraz wszelkim jego objawom i symbolom, gotowi natomiast przy lada okazji bić czołem przed (*wszechmocnym* w ich rozumieniu) cielcem złotym, czy inną tegoż gatunku siłą. A nazywa się to w języku ich: „postępem“. Może i słusnie: ducha tego bowiem i sztandary jego czciła *nie ich* przeszłość; terażniejszość zaś i (ich domniemana) przyszłość stoją istotnie pod znakiem pieniądza i pyroxyliny. Powiadają: *De gustibus non est disputandum*, a istnieje przytem dziś zasada, że należy godzić się z ludźmi takimi, jakimi ludzie ci są. *All right!* Czyliż

podobna jednak Polakowi patrzeć spokojnie na fontanny piasku, zasypującego pod własnym jego podniebieniem, w sposób tak brutalny, a psycho-historycznie antypolski, — tak w grubym materyalizmie swoim duszy jego przeciwny i obcy, — źródła *istoty dziejowej* Narodu?

Na zbytek taki, zaiste, pozwalać nam sobie niewolno — choćby dlatego, że potęguje on nasz akefalizm, hodowany troskliwie przez — i *ad usum* — nieprzyjaciół: że przedłuża bezkrólewie, bo masy szerokie, posiadające, bądźcobądź, instynkt swój samozachowawczy, nie zespolą przenigdy (na szczęście!) kadłuba swego z tak *obcą im...* „głową...”

Mimo wszystko jednak, jest to zjawiskiem uderzającym, a dla powagi głębszych wartości życiowych wysoce znamienne, że przepelniająca obecnie świat atmosfera imperyalizmu gromadzkiego, którego przenikaniu w głąb życia społecznego i prywatnego ze strony państwa sekundowała i sekunduje tak skwapliwie, acz może mimowiednie, nasza filozofia stadna: że atmosfera ta tępi ostrze swoje właśnie o pierś Polaka, świadomego rodzi-nych, dziedzicznych tradycji swoich.

A bylibyśmy w błędzie, przypisując fakt ten wyłącznie odporności Polaków wobec obczyzny państwowo-politycznej narodów ościennych.

W zjawisku tem tkwi coś więcej, bo wpływ nieumarły dawnej, a tak wybitnie swoistej, kultury wolności Polaka historycznego, wiodącej, mimo

wszelkich swych przywar politycznych, do rzadkiego jeszcze w szerokim świecie przesytu rozwojowego w zakresie materji,⁸ a wraz z tem — do wyżyn człowieka pełnego.⁹

Dzieje Polski i związanej z niemi kultury Narodu, są dla znającego, a poprzez własną swą tradycję i uprawę umysłową, odczuwającego je Polaka, podstawą dostateczną do właściwej oceny ich odrębności i dostojności w rzędzie kultur innych. Wynikające stąd stanowisko poczucia godności historycznej i bogatej cywilizacji duchowej Narodu wzbija się wysoko ponad ogromy nieszczęść politycznych i aktualności chwili, promienieje pełnią najwyższego majestatu człowieczeństwa i potęgą ducha swojego może nakazać tylko cześć i szacunek przeciwnikom i wrogom. Cywilizowany, świadomy siebie i przeszłości swojej Polak historyczny, piastun najwybrańszych i najbogatszych tradycji Narodu, nie potrzebuje obawiać się stanąć, zbrojny w umysł swój i serce, największym nawet niebezpieczeństwom, grożącym mu ze strony kultur innych, oko w oko... Nie potrzebuje kryć się przed światłem cudzem: może nie lękać się, jak barbarzyńca, obcego jego blasku, bo nietylko nie spłonie, jak on, w ogniu wrogiej mu obczyzny, lecz przeciwnie, wzmocni w nim tylko odrębność własną. Jest on kwiatem przyrodzonym, szermierzem i kapłanem narodowego Znicza, piastującym wielki swój urząd narodowo-

moralny z innego wprowadzie szczebla, lecz w istotnej jedności duchowej z tymi, co są tylko płodnie podsycającym owo ognisko bierwionem. Nie jest to stanowisko, w rozumieniu pospolitem „polityczne,” ale być może, że w położeniu naszym dlatego właśnie jedynie a prawdziwie — polityczne istotnie. Polityka jest bowiem w zasadzie grą szans mniej więcej równych, a conajmniej *współmiernych*. Zachodzi też wielkie pytanie, czy, utracony (*na razie* — w znaczeniu dziejowym) szanse te *w życiu*, nie jesteśmy wprost pod względem narodowym *zmuszeni*, poszukiwać ich dla siebie, aby partnerom naszym możliwie dorównać — *sub specie aeternitatis* — historycznej?! Naród potrzebuje zresztą wielu, do wielorakich celów swoich przeznaczonych synów, choć wszystkie te cele zlewają się w jeden wielki cel jego istnienia i rozwoju. Na pionie poczucia narodowego, opuszczającego się w głębiny jaźni każdego z nas, każdy z nas w innym jego punkcie nawiązuje węzeł życiowego stosunku swego do otaczających go zagadnień i zjawisk. Owocem najbardziej może gorzkim tragedii naszej jest rozbieżność — jak w stosunku ciała do ducha — między aktualnym interesem życiowym a moralno-narodowym. Niechaj więc prostaczkowie, ludzie mniejsi, więksi i jeszcze więksi robią swoje: niechaj pełnią służbę zbiorową ciał — Polacy historyczni — piastujący *świadomie* odczucie historyzmu własnego w swej głębi, winni — dla samej

równowagi zbiorowej ciał i dusz wśród rozwoju — stać na straży swego powołania: reprezentować przed obcymi pod hasłem: *noli me tangere*, kwiat myśli i serca Narodu, bez względu na „polityczne“ zagadnienia chwili. Niechajże nie dadzą dotknąć go ani uszczerbić nigdy i nigdzie: niechaj każą czcić naokół wysokie — dla nas najwyższe jego dostojeństwo — bez oglądania się na tych, co inną robotę pełnią. Niechaj nie lękają się, wobec swego *non possumus*, zgrzytów otaczającej ich ignorancji kulturalnej własnych współbraci, podobnie jak próby ogniowej kultur innych, bo wyjdą z niej cało. Z takich wychodząc założeń, niechaj Polacy ci stronią od poczynań swych rodaków, okupujących drobnowymiarowe korzyści aktualne kosztem godności Narodu. Niechaj obserwują natomiast z historycznego szczebla swego cudzoziemców i narzucają im majestat swój wszędzie tam, gdzie w imieniu tego majestatu mógłby ich ktoś inny zastąpić — fałszywie. Oto cel ich istnienia pod znakiem nieprzedawnionego dostojeństwa dziejowego Ojczyzny, oto pole ich pracy, wśród swoich i obcych — olbrzymie a ofiarne, w służbie kapłańskiej ideału *postępu moralnego* ludzkości.

Zahartowana przez cierpienie, zyskała niewątpliwie Polska w swych warstwach czujących, a historycznie cywilizowanych, warunki wysokie udoskonalenia duchowego, wiodące ją w pewnych

momentach życia zbiorowego do pogłębiania własnej, a tak pięknej tradycji rodzimej człowieczeństwa — tajemnicy czaru, wywieranego przez nieszczęsną politycznie kulturę polską rdzenną, na oświeconych cudzoziemcach, łączących się z nią przy każdej sposobności węzłem *zachwytu*, jako zadatkami utajonego w nich samego ideału.¹⁰

A źródło to dziś żywiej znowu na gruncie naszym zabiło wśród powodzi klęsk, wśród próby nieszczęść bez miary.

Pełen — nie frazesu obłudy, nie hasła nagród czy odznaczeń, lecz istotnego ducha obywatelskiego, zespół prawych synów ziemi naszej, zwarł się w cichem, a jakże ofiarnem, niesieniu pomocy zagrożonej ludności kraju — przyszłości Ojczyzny.

Należy się im szczerą, głęboką, wielką — cześć.

„Okoliczności, nie zmieniające człowieka“,¹¹ wykazały bowiem ponownie — tym razem w znaczeniu istic dziejowem, jakim ów człowiek *jest*: nie w typie swym, zwanym przez gromadowców typem „kulturalnym“ — lecz polskim dziedzicznym — i to — powiedzmy otwarcie — nie ludowym ani drobnomieszczańskim, lecz — *wyższym*, stosownie do naturalnej linii logicznej rozwoju.

O ile też ów polski typ wyższy *przerósł* niejednokrotnie w wielu kierunkach najistotniejszych, rozwój świata, okazując się człowiekiem twórczym,¹² o tyle drugi — niższy, wraz ze swym hasłem rozboju, wyzysku¹³ i wiekuistego biada-

nia, mniej do rozwoju tego dorósł, aniżeli sobowtóry jego gdziekolwiekby indziej: najpewniej dlatego, że brakło mu w dziejach *wszelakiej*, a więc zarówno rycersko-moralnej, jak i czysto policyjnej *tresury*.¹⁴

Idea równości stworzenia wobec Boga, przeszczepiona bezkrytycznie na grunt życia, burzy oparty na koniecznej hierarchii ustroju społecznego porządek i ład, szczepiąc zgubną w praktyce zasadę pozorów.

I nie może być inaczej, gdyż w naturalnym biegu rozwoju, którego świadomość tak niezbędną jest w życiu, może istnieć równość tylko *pozorna*, podobnie jak zewnętrzna jest tylko, wszelką indywidualność na oko wyłączająca, „tożsamość“ kształtu osobników, należących do jednego gatunku.

Wychodząc z takiego założenia, łatwo pojąć, czemu to społeczeństwo nasze czasów obecnych, a nadewszystko zespół jego t. zw. inteligencji, jest taki, jaki jest: „demokratyczny“ (= w wyniku życiowym idei równości), t. j. żyjący zewnętrzną swą powłoką (= wynikiem życiowym zasady pozorów).

Geneza tego objawu jest historycznie jasną: skądże przeto bierze się chcenie, aby ktoś — typ nasz przeciętny — odczuwał godność narodową w stopniu wyższym (od wielu innych ludów ziemi dostojniejszym) aniżeli własną, ludzką, (osnutą na kanwie materialistycznej filozofii pozorów)?

Chcienie to jest z jednej strony logicznie nieuzasadnione, z drugiej jednak jest ono dowodem i wyrazem tkwiącej w nas bądźcobądź siły nieprzepartej dążenia ku temu, aby było inaczej; aby zdrowy, niespaczony, pełny prąd rozwoju, wdarł się w zasklepienie przez doktrynę koleje naszego bytu.

Falszywy jest bowiem punkt widzenia, że równać trzeba ludzi przez właściwe „ambitnej“ naturze naszej, *obniżanie* wyżyn: prawo rozwoju dyktuje porządek inny: *stopniowy pochod wszystkich ku wyżynom*.

Naszej Polsce t. zw. „kulturalnej“ przydałoby się pamiętać o tem, że:

„Niema zaiste idei tak znieważonej, podepta-
nej i splugawionej, jak idea demokratyczna.
„Chamstwo i przekupstwo do spółki z krzy-
kactwem, a nawet zdradą, wdziewa czapkę
„frygijską i maluje swe występki na czerwono...
Nasz demokratyzm aż nazbyt często jest
„tylko niekulturalnością...¹⁵

— Miejsce dawnego arystokratyzmu — pisze tenże autor ¹⁵ — zajęła: kulturalność. Co do nas, powiedzielibyśmy raczej: zajęła *by*, gdyby gdziekolwiekbądź i kiedykolwiekbądź *kulturalność prawdziwa*, a nie pozorna, poza właściwymi sobie środowiskami, socyologicznie *koniecznymi*, t. j. dziezicznymi (a więc: *arystokratycznymi* w naturalnej istocie rzeczy, jeśli nie z imienia) — istnieć mogła.

Pojęcie „kulturalności“ w warunkach obecnych, zwłaszcza zaś naszych, życia, zostało splugawione nie mniej, jak „demokratyzmu“; trzeba więc dla ścisłości określić bliżej kulturę prawdziwą, kryjącą się nieraz, niestety, w cieniu t. zw. „kulturalności“. Nie znajdujemy zaś lepszej po temu nazwy, jak: *wysoka kultura istotna, t. j. dziedziczna*, nabyta w ramach — z punktu widzenia choćby tylko przyrodniczego — gienialności, lub odpowiedniej liczby pokoleń. Niechaj wystarczy nam to, co na świecie *jest*, a raczej — *co być może*. Wszakże *lepsz*e jest, jak wiadomo — wrogiem *dobrego*. Czyż niedość jeszcze przepelniających dobę naszą dowodów tego, jak straszne są i być muszą skutki życiowe i kulturalne fikcyi równości ludzi, przeczącej *naturze*?!

A wszakże teoria ta, tak bardzo dla doskonalenia się człowieka szkodliwa, posiada szeroką wartość obiegową, niszczy zdrowy rozsądek, urąga nauce i prawdzie, krzywdzi niewinnych prostaków, obniża i skazuje na obniżenie tych, coby im przykładem rzetelnym świecić powinni i mogli!

Granice sfer: świadomej i poza-świadomej człowieka są płynne, nieuchwytne i w każdym niemal indywiduum zarysowujące się niżej lub wyżej linią demarkacyjną jawy na słupie jego postaci psychicznej.

Wiemy dobrze, że człowiek dziki, np. stepowiec południowo-amerykański, nie umie rachować

dalej jak do 5, względnie do 6.¹⁶ Wiadomo nam, że człowiek nieinteligentny nie jest w stanie pojmować spraw najprostszych życia cywilizowanego. Wiemy, że wykształcenie, choćby i najwyższe, prostaka, nie zapewnia mu, bo zapewnić mu nie może *tożsamości* kultury dziedzicznej — ale na myśl nam już nie przyjdzie stwierdzenie faktu, że, podobnie jak urobić odpowiednio, a w jednym pokoleniu arcy-wyjatkowo, sferę *świadomości* cywilizowanej prostaka może tylko wykształcenie, tak znowu uprawę sfery *poza-świadomej*, z której płyną subtelne czy nieuchwytnie, a jednak jakże *istotne* linje wytyczne człowieka, zyskać można tylko przez dłuższą kulturę dziedziczną fizyo- i socyologiczną osobnika i środowiska.

Zapominamy o tem snadnie i „chamiejemy“ sobie spokojnie w wyziewach jaźni pseudo-kulturalnych, a choć nas często coś dotknie lub zaboli: zdanie, odruch, myśl, czyn życia — powiadamy na to chętnie, że ów ból, to „przesąd“, boć łatwiej jest być wieprzem, niż Heliosem-Apollem.

Wiemy, że świat przebywa obecnie okres spożywania przez masy ludzkie dorobku panów, ale czyż mają oni koniecznie być spożyci *doszczętnie*? Czyliż z tej stypy nie ma ocaleć *żaden* „nasiennik“ przyszłości? Nie bywało tak *nigdy* wśród przełomów: baczmy, by gwiazdy nie utraciły i teraz całej pełni swych blasków. Stać się tak nie powinno i nie stanie się, albowiem „demokratyzm“

jest, jak przysłowiowa (nie istotna) cnota kobiety: przeczy prawdzie życia, póki nie napotka na swej drodze jej wysłańca, a swego pogromcy. Stać się nim może tylko arystokratyzm, konsekwentny aż do męczeństwa, zdolny jaśnieć w najcięższej nawet udręce życia całym majestatem swej prawdy niepożytej.

Naszej polsce intelektualnej, czerpiącej probierze do oceny swych wartości ze źródeł *patologicznych* romantyzmu, niepojmowanego historycznie, a więc i krytycznie, przez masy — przydałoby się bardziej może, niż krajom innym, sięgnięcie głębokie w swą przeszłość *normalną*, która źródła te w znacznej mierze zastąpić może i powinna. A cóż dopiero mówić o kapitalnie w czasach po-Linneuszowych bezkrytycznym „pozytywizmie” warszawskim, który, w braku innego pożywiółu, jadem trucizny karmił tłumy; ludzi z tradycją — okradał; rzesze, z torów zdrowego rozsądku wykolejał u progu życia?!

W *przeszłości naszej* znaleźlibyśmy obok *normalnych* linii wytycznych rozwoju i przykłady inne: ludzi, co żyć potrafili nie dniem dzisiejszym popolitych zjadaczy chleba, ale miarą szeroką człowieczeństwa, którego funkcją było — zamiast tandety demokratycznej — pozostawianie po sobie trwałych śladów bytu, zdolnych opromienić blaskami ducha wiele i wiele — i to może nie tylko wśród płytkiej szarzyzny obecnej...

I powstałoby wówczas *umiłowanie* przeszłości, które stałoby się walką najskuteczniejszą z *czasem*, jako z tak ciężką dla Polski obecnej, bo tak wyjątkowo przemożną, syntezą życiową czynników materialnych bytu: ¹⁷ stałoby się zwyciężeniem, w stosunku do zalewającego nas materializmu, *doskonaleniem się naszym* na wzorach swojskich niestarzejącego się pierwiastku piękna wiekuistego — odzewu Nieśmiertelności, łaknącej przebudzenia się w nas samych — uśpionych hipnozą zbrutalizowanego tak wielorako ducha terażniejszości naszej.

CZasy obecne nie są, jak wiadomo,¹⁸ czasami syntezy. Uczni — podobnie jak pracownicy techniczni specjalności swoje — rozdrabniają umysły swe na atomy. Polska wzięła i to z Zachodu: wzięła gorsze nie lepsze — rozspecjalizowała się w dziedzinie nauki czystej, z pominięciem odpowiedniego postępu w dziedzinie człowieczeństwa. Trochę niewczesnie: trzeba bowiem stwierdzić, że się już myśl europejska od wyłączności ubiegłych torów odwraca (Ruskin, Bergson i w. in.), my zaś tonimy po dawnemu, zwłaszcza gdy o koła szersze chodzi, w naszym „postępie“ zwietrzałym. A tymczasem każde pokolenie żyjące ma i mieć winno *potrzebę* przemyślenia w związku z przeszłością, jako sferą genezy swego „ja“ — własnej swej du-

szy — nie zaś tylko pogłębiania wiedzy o atomach bytu.

Że byt nasz — każdego z nas i nas wszystkich razem — jest krótki i przemijający, o tem wiemy, ale świadomość pełna osobistej tymczasowości naszej rzadko sięga głębiej w życie.

Bywały czasy niepodzielnego jej panowania w wiekach wiary; po nich przyszła epoka, co całą niemal skalę swego odczuwania w granicach tymczasowości zawarła.

A jednak człowiek żyje zarówno nie poto, aby żyjąc, żył wyłącznie myślą o duchowej *prostocie* śmierci (św. Augustyn), jak również nie poto, by, tonąc bezwzględnie w materialistycznej *złożoności* życia, (Nietzsche), początku ni kresu swego nie dostrzegał.

Prawda leży w pośrodku: *Oddajcież tedy, co jest Cesarskiego, Cesarzowi, a co jest Bożego Bogu.* (Łuk. XX., 25).

Wielka ta prawda obowiązuje we wszystkich zarówno zakresach bytu, a więc i myśli nasze, będące ich odbiciem.

W Historii — obrazie rozwoju człowieczeństwa — terażniejszość dziejowa: wyraz tymczasowości naszego istnienia, wiedzie nas z przeszłości w przyszłość — nie może przeto żyć wyłącznie jedną ani drugą. Konserwatyzm wieków minionych grzeszył nieraz zapewne, zwłaszcza w osobach swych myślicieli, wyłącznością w jednym z tych kierun-

ków, ciążąc ku zaświatom; „postęp“ naszych czasów dążył i dąży zbyt jednostronnie, a więc błądzi — w drugim.

Nie chodzi tu o apoteozę reakcyjną przeszłości, lecz o wysnucie z jej skarbów — w sposób podobny, jak przyrodnik wydiera tajemnice prawd pewnych naturze — praw bytu psycho-społecznego, stałych, niezmiennych, mszczących się za zaniedbanie, bo przyrodzonych ludzkości.

My, polacy czasów ostatnich, zwykliśmy byli zmierzać do rzeczy „wielkich“, „postępowych“, „przodujących ludom“, ujawniając przytem, jeśli o szerszy ogół t. zw. inteligencji naszej chodzi — nadwątloną, (nadpsutą wskutek przejść patologicznych Narodu i ich następstw społecznych) — komórkę istnienia: komórkę historyzmu, hierarchizmu, polonizmu rozwojowego — wręcz niemal rozsądku i zdrowych podstaw bytu.

Braki te trzeba naprawić niezbędnie, by mózgi normalniej rozwijać się na przyszłość.

Pamiętać bowiem należy, że zagadnienie postępu ludzkości jest problemem bardziej może doniosłym, a przynajmniej palącym dla Polaka, aniżeli dla przedstawicieli narodów innych. Rozwój szedł i idzie w kierunku, nie pozostawiającym wątpliwości, że człowiek — mimo wszelkich teoryj kosmopolitycznych — w *retorcie narodowości* osiąga *maximum* swego ja duchowego. Nie starczy nam iluzya, płynąca z podszeptów patryotyzmu

uczuciowego, a tworząca wizję możliwości wywyższenia Polski ponad świat cały, mimo to, czy dlatego właśnie, że jej tak nieszczęsnie na siłach życia zbiorowego zbywało i zbywa... Tem bardziej przeto Polak winien sięgać wspomnieniami w czasy, kiedy w nieuszczerbionej pełni był *sobą*, a wysiłkiem i refleksją w te pokłady dziedziczne swej jaźni, które podczas owej pełni miały — ku powodzeniu Ojczyzny — ponad innemi przewagę.

Czyliż jest to hasłem *cofania* rozwoju? Nie sądzę nawet, iżby hasło takie było w jakiejkolwiek-bądź mierze poważnej możliwe. Hasło to, — to tylko wskazanie — kędy wiedzie *nasza* droga, a mniemam, że wskazanie takie byłoby *dla każdego* narodu zrozumiałe, słuszne i jasne, może właśnie z wyjątkiem nas samych. Obawa tego rodzaju niechaj będzie charakterystyką poczucia odnarodowienia Polski dzisiejszej: poczucia, że u nas i wyłącznie tylko u nas, *chorych* chronicznie na romantyzm demokratyczny, wskazania, jak powyższe, mogą wydać się niewczesnym wstecnictwem, jako coś, co podważa z gruntu truciznę wrogich nam, a przemożnych, niestety, wpływów obcych różnego autoramentu, z którymi zrosiliśmy się tak, jak człowiek zatruty z narkotykiem, wiodącym go do zguby.

Refleksye takie są nam tem potrzebniejsze, że „demokracja“, posiadająca naogół w świecie znane nam wady, u nas, wskutek iście samobójczej

tolerancyi naszej, o wiele dalszą jest w praktyce życia od ideału czystej swej doktryny, aniżeli od tworzenia zamętu, powodującego zanik dziedzicznych wartości naszych, a sprzyjającego powstawaniu z łona wrogich nam siewców, innych natomiast, „walorów“, których imię: *ote toi que je m'y mette*.

Jest to nader zrozumiałe, albowiem demokracja nasza rozwinęła się, jako dziejowo i rozwojowo przedczesny w Polsce plód fantazyi, podniecanej a wyzyskiwanej skwapliwie przez — *salvo jure* zasłużonych — Żydów, degenerujących aryjskość zawsze i wszędzie, zwłaszcza zaś w krajach, będących jeszcze dworkiem modrzewiowym Europy.

Demokratyzm nasz romantyczny apostołował zasadę *wewnętrznego*, niebywałego nigdzie w świecie — opartego na przesłance równości, związku dusz. Gdy wszędzie związek podobny występował i występuje li tylko w granicach i stopniu naturalnego *odpowiednika* czynników zewnętrznych, płynących z władzy narodowo-państwowej, hierarchizującej społeczeństwa tak lub owak; u nas ów związek, będący gdzieindziej w stosunku do „ja“ wewnętrznego jednostek, *wyrazem* naturalnym, a ograniczonym, *sił zewnętrznych*, miał (*odwrotnie!*) same te siły zastąpić w postaci czynnika, niwelującego ludzi aż do rdzenia ich jaźni... Cóż za straszna, potworna w swem wyrafinowaniu, wiwi-

sekcya samoudręczenia — w uściskach pekudyzmu, pozbawionego przeciwwagi moralnej jednostek, wyposażonych we władzę rzeczywistą!

Typ silnie żywotny naszej części świata — odznaczający się tak wybitnym „wrozwojem“²⁰ Niemcy, nie byli nigdy demokratami w znaczeniu karykaturalnem. Ich układ społeczny, zwany konwencyjonalnie demokracją, jest właściwie normalnem wznoszeniem się na wyższy stopień kultury szerokich mas ludowych, którym mimo to, czy dlatego właśnie, nie świta w głowie myśl burzenia podstaw hierarchicznych ustroju. Nie może być nawet inaczej tam, gdzie rozwój wewnętrzny toczy się drogą naturalną, zapewniającą naogół *maximum* wydajności sił żywotnych, znajdujących ujścia wielostronne, chronione skwapliwie od infiltracyj obcych u siebie w domu, a nawet poprzez dom swój po świecie.

I nie pojmie książki tej ten przedewszystkiem, co stać już nie potrafi pod sztandarem godności Narodu: nie pojmie jej wielu, prócz tych, nie liczonych może czytelników, dla których nie przestała być jeszcze własną pełną *dusza Polski*, dostępna jedynie dla rodzonych jej synów. Drogi *ducha* — w danym razie narodowego — tak wysoce są szczerne, że tylko człowiek, zbrojny w przekazany sobie odpowiedni wysiłek zbiorowy przodków swoich,

mieszkańców tegoż podniebia, wspiąć się na nie zdoła. Nikt ponadto, a zwłaszcza ci, dla których ścisły związek polskości z chrystyanizmem nie jest, a nawet być nie może faktem niewątpliwym: rasa, dla której treścią i formą świata jest tylko i wyłącznie *materya*, różnicowana niemal w nieskończoność wrogiej duchowi wiary: oko za oko, ząb za ząb, albo raczej — oczy za oko, szczeka za ząb. A jest to zalewający nas z łaski Rosyi lud, któremu *pieniądz*²¹ zastąpił *ziemię*, a mumifikacya kultu religijnego utraconą jej Naturę: którego synteza — odbicie psychiczne własnego podniebia — uległa przeto rozdzieleniu ducha i materyi, przyczem pierwszy, niepodtrzymany normalnie przez drugą, ustąpił jej swego miejsca niemal zupełnie.

Ale czyż my ich wszyscy — bez względu na rodzime tradycye nasze — intelektualnie i duchowo naśladować potrzebujemy? Czy powinniśmy i czy możemy czynić to bezkarnie?

Wszakże my, to: — oni zaś, to:

Jednostka	Stado
Indywidualizm	Gromadzkość
Chrystus	Mojżesz
Religia	Zakon
Aryjskość	Semityzm
Duch	Materya. ²²

Chcemy jednak być sprawiedliwi, nie tykając wzniosłych jednostek wybranych, wyrosłych z lo-

na rasy pomienionej pod naszym podniebiem, tylokrotnie na chwałę jego i rzetelny pożytek. Powiemy wręcz nawet więcej: szczyt najwyższy rdzennej, duchowej doskonałości naszej, to kwiat „nie z tego świata“. Wyrasta on z pokładów najgłębszych duszy aryjskiej i właściwy jest poprzez wieki, ludy i kraje najczystszy tej rasy potomkom. Zpomiędzy narodów dzisiejszych do nich właśnie, a dzięki charakterowi wyjątkowemu dziejów swych — przede wszystkim, należą Polacy.²³ To też kwiatów dostrzegamy w całym jego majestacie zarówno w przepięknym indyjskim *Tat Tvam Asi*,²⁴ jak w wyrosłej istotnie z tegoż pokładu rozmodlonej filozofii Augusta Cieszkowskiego, jak wreszcie w innych, najnowszych, niedocenionych przez ogół, utworach naszej doby.²⁵

Pod względem psychologicznym naturę i wpływ kwiatu tego na człowieka ujął już św. Augustyn w myśl głęboką: *Inquietum est cor nostrum, donec equiescat in Te*;²⁶ filozoficznie, a poniekąd i politycznie, wyrazem jego stał się, zbłąkany w swej patologii rozpaczy, nasz mesyanizm; życiowo boska jego nieśmiertelność, rodząca lekceważący rzeczy poziome optymizm — antytezę niemal żywiołową skazanych na zagładę pesymizmów innych narodów — zdaje się jednak domagać w pewnym stopniu i stosunku, balastu ziemi. Dostarczyć go nam mogą, w dozie, bodajby jaknajmniejszej i przeto jaknajmniej dla swoistości „ja“ naszego szkodliwej, lecz

bądźcobądź niezbędnej, przejęci miłością naszego podniebia, zrosli z niem dziejowo, nieliczni, lecz zasłużeni dla niego istotnie, synowie rasy wspomnianej. Wszak trzeba się starać *żyć*, by złościć po swojemu w życiu dla ludzkości drogi ducha; by uczestniczyć rzetelnie w tworzeniu jej postępu.

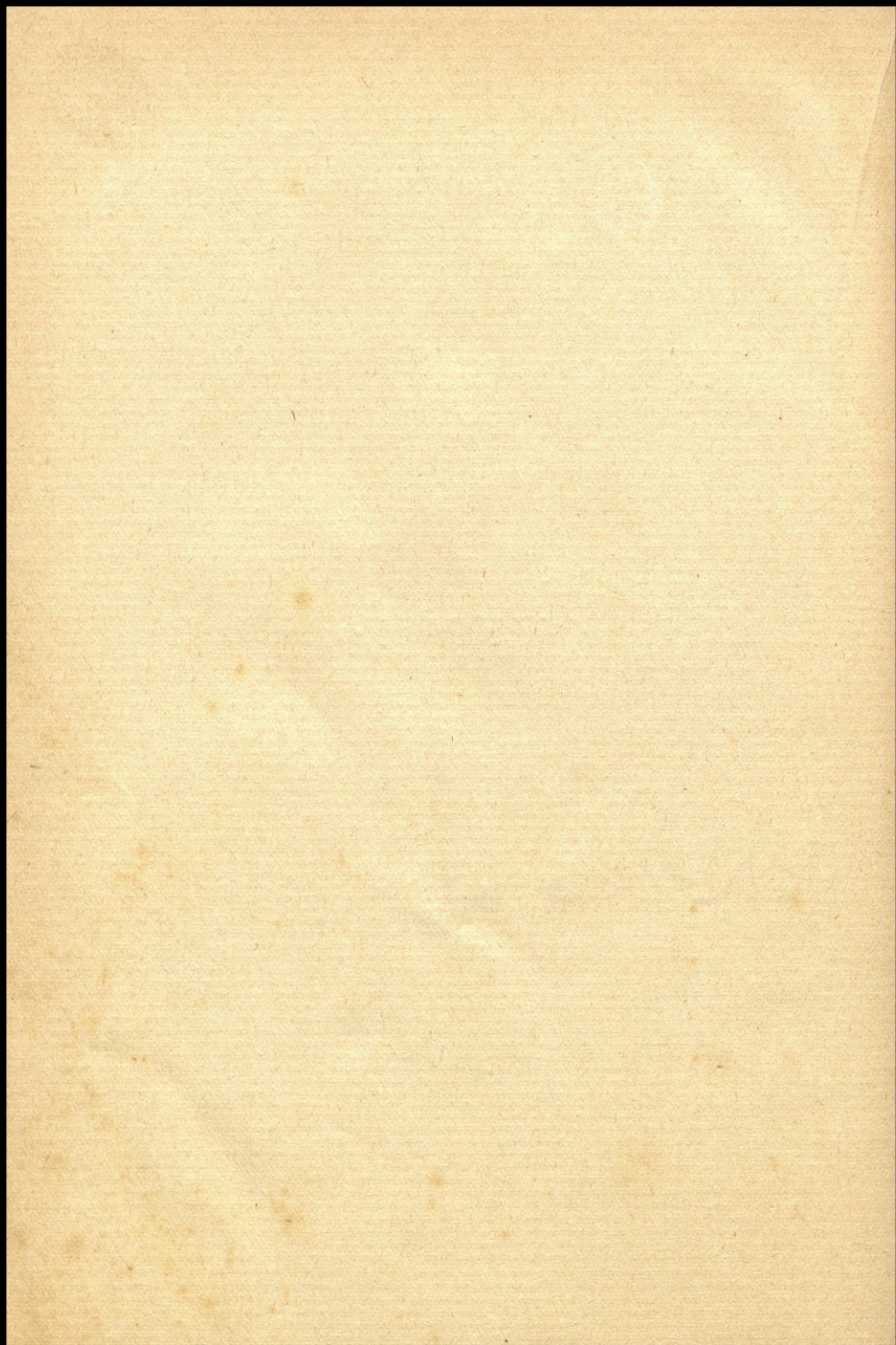
Aryczyk klasyczny jest człowiekiem niezyciowym, a z tej niezyciowości jego płynie zjawisko, że typ jego cnotliwy, oceniając męża publicznego, dochodzi zazwyczaj z punktu widzenia moralnego do wniosku, że jest on *nie na miejscu*: że stanowisku swemu (czytaj: ideałowi transcendentalnemu obserwatora) nie odpowiada zgoła; niecnotliwy zaś, wychodząc formalnie z tegoż założenia, zwalcza — tak nieraz skutecznie — ludzi istotnie wybitnych dlatego, że żaden z nich nie jest *nim samym*. I wtedy ów wybujały warchoł-indywidualista, niezdolny faktycznie do ofiary dobrowolnej jednego atomu z „ja“ swojego na rzecz sprawy ogólnej, staje się nagle fanatykiem spraw publicznych, wyznawcą żarliwym bezwzględnej supremacji społeczeństwa nad jednostką — masy szerokiej, a gdy potrzeba, to i plebiscytu ludu; staje się demagogiem bezwzględnym — arcykapłanem równości powszechnej, byleby rywala swego uczynić samozwańcem: złodziejem, przywłaszczającym sobie cudzą własność... Śmieszne to, atoli bardziej jeszcze bolesne i szkodliwe. Cały absurd pewnych teoryj, stosowanych bezkrytycznie w życiu, świeci tu

nagością swej ohydy, woła o ład ustroju, o hierarchję, o podporządkowanie rozumowi głupoty a słabości sile, podobnie, jak to bywa u innych społeczeństw i ludów, pomnych na pręty, łamliwe w pojedynkę, a w zespole odporne i silne. W psychice rzeczony leży jądro nieszczęść publicznych, a za nimi politycznych i narodowych Polski: w niej konieczność zaszczepienia w sobie poczucia niezbędności zestroju. Stara to jak świat prawda, a wiecznie młoda i żywa. Pamiętać o niej winiśmy my przede wszystkim, którzyśmy zapoznawali ją zawsze w toku dziejów... Indywidualizm winien polegać nietylko na pełni świadomości, ale i na pełni, płynącej z opanowania siebie, ofiarności z „ja“ swojego na rzecz zespołu. Usunąć się od rzeczy, przechodzącej istotnie siły fizyczne czy moralne, każdemu wolno i należy: walczyć *quand même* z tymi, co poszli już ku czynom ławą „bezemnie“ — nie wolno nikomu.

A postęp — to rozwój w człowieku *głębinojczy* *prawdy życia* — proces psychiczny, oparty z jednej strony na coraz to bardziej gruntownem pomowaniu bytu, z drugiej zaś na zdolności coraz potężniejszej pozostawania — *sobą*, mimo, a może raczej wskutek — służenia *innym*: przenikanie na skrzydłach ducha w nurty istnienia —

L'amor che muove il sole e l'altre stelle...

Przypisy.



Przypisy do Słowa Wstępnego.

¹ Por. Annales de l'Institut International de Sociologie, publiées sous la direction de René Worms, secrétaire général, tome XIV, Paris, Giard et Brière, 1913, str. 33 — 34.

² Pomieniony wyżej tom XIV „Annales“, zawarł właśnie teksty referatów, wygłoszonych w Rzymie.

³ Zupełne wydanie polskie tej książki ukazało się nakładem Księgarni E. Wende w Warszawie w r. 1910, niemieckie zaś, w przekładzie prof. D-ra Ludwika Gumplowicza, w tymże roku u Wagnera w Innsbruku p. t. „Urzeitklänge und Wetterleuchten geschichtlicher Gesetze in den Ereignissen der Gegenwart“. Spis wydań innych znajduje się we wstępie do edycji polskiej. Książkę tę cytować będę b. często, wychodząc w wielu, poruszanych tu zagadnieniach, z jej założeń. Jakkolwiek bowiem niepodobna być sędzią ścisłym a bezstronnym teorii własnych, to jednak nader obfita i wyczerpująca krytyka „Ech prawniku“, publicystyczna i naukowa, zarówno nasza, jak obca, przekonała mnie, że nie mam potrzeby ani prawa przejść do porządku nad rozwiniętymi w tej książce poglądami. Do zamieszczonego w niej (wyd. pols. str. IX — XII) wykazu pobieżnego ważniejszych krytyk i sprawozdań, winniem dodać tu omówienia rzeczonych teorii, dokonane przez: Franco Savorgnan'a (Rivista Italiana di Sociologia, Anno XIV, Fasc. V — VI, Roma 1910), Roberta Michels'a (Zur Soziologie des Parteiwesens in der modernen Demokratie, Leipzig, Werner Klinkhardt, str. 71, 176), oraz Stanisława Brzozowskiego, (Idee, wstęp do filozofii dojrzałości dziejowej, Lwów 1910, str. 318, 344).

⁴ Warszawa, E. Wende. 1913, str. XXI, 247.

⁵ Ogłoszone dotąd tylko po francusku w „Annales“ j. w., str. 369 — 374.

⁶ Jak gdyby *w celu* osiągnięcia równowagi, a wraz z nią szczebla rozwoju, *wyższego* od poprzednich o doświadczone ostateczności (w dobie materyalizmu) przeżycia.

⁷ Evolution Créatrice, Paryż 1907.

⁸ J. K. Kochanowski: „Echa prawniku“.

⁹ Tenże: „Nad Renem i nad Wisłą — antyteza dziejowa“.

¹⁰ W obu pomienionych książkach: „Echach prawniku“ i „Nad Renem i nad Wisłą“.

¹¹ Od 12 grudnia 1908 r. do 1 listopada 1916 r.

Przypisy do Części pierwszej.

¹ Por. w przytaczanych już „Annales de l'Institut International de Sociologie“, t. XIV., prace różnych, występujących tam autorów, a zwłaszcza Roberta Michels'a: „Le caractère partiel et contradictoire du progrès“, (Annales j. w. str. 445 — 461).

² Boć „człowiek jest stworzeniem *przyswyczajenia*“ i przeto nawet odpowiadający wzrostowi jego potrzeb materialnych wzrost środków, służących do ich zaspokojenia, nie może być źródłem jego szczęścia. A cóż dopiero mówić o chronicznym najogólniej braku równowagi między ową podażą a popytem. Por. w książce niniejszej str. 134; 176 — 180; 201.

³ Ludwik Gumpłowicz: „Socjologia a polityka“. „Przeгляд Historyczny“ IX, str. 10. Warszawa, 1909.

⁴ Por. J. K. Kochanowski: „Szkice i drobiazgi historyczne“. Serya II. Warszawa. E. Wende, 1908, str. 13 — 29, studjum p. t.: „Przyczynki do dziejów rozwoju pojęć moralnych na tle zabytków języka polskiego“.

⁵ Dzisiaj większość badaczy podziela to zdanie, oparte na zestawieniu cech rozwojowych koczownictwa i osiadłości. Por. przypisy 2 i 16 do Części drugiej, oraz przypis 22 do Części trzeciej.

⁶ Por. J. K. Kochanowski: „Echa prawieku“. Warszawa, E. Wende, 1910, str. 11 — 12 i następne.

⁷ Por. tamże, str. 9 — 10 i nast.

⁸ Badania H. Poincaré'go nad ewolucją praw natury dadzą się, — jaknajogólniej, sprowadzić do zasady, że *nie* prawa te są czy mogą być *zmienne*, lecz, że *zmienne*, a raczej *ograniczone* są w pojęciu ludzkim kategorye *czasu* i *przestrzeni* (por. tutaj str. 30), t. j. te okresy i te obszary, w których ramach umysł nasz zdolny jest owemi prawami operować. Prawa są stałe, wszelako skutek ich działania może nam się, zależnie od okoliczności, przedstawiać rozmaicie. Np. sześćścian żelaza, strącony z wysokości i w warunkach *x*, upada z szybkością i siłą *y*; zrobiony zaś z niego przedmiot (*b*) może osiągnąć w tychże warunkach formułę $xy \times b$ lub $xy : b$. To też, jeżeli operować będziemy prawem *a* w okresie czy przestrzeni *c*, to *tarcie* ze strony utajonych a nieznanych nam przyczyn, może być, w wyniku odmiennego, niż przewidywaliśmy, działania owego prawa, tak *nikłe*, że w odpowiednich rezultatach rozumowania na-

szego możemy żadnej *prawie* nie popełnić omyłki. Natomiast, gdybyśmy tymże prawem zechcieli operować w dłuższym okresie czy przestrzeni *d*, to owo „tarcie“ *zwiększy się* tak dalece, że w samych nawet granicach pozytywnego dociekania znajdzie aż nazbyt wymowną ilustrację. Matematyk np. twierdzi, że słońce świeci *już* od 50 milionów lat; geolog zaś — że musiała wkraść się tu pomyłka, gdyż w okresie *tak krótkim* (!) nie mogłyby powstać pewne pokłady i gatunki. W rezultacie: różnica w uchwyceniu „tarcia“, którego — *bez wszechwiedzy* — obliczyć ściśle niepodobna. Matematyk, rozumujący w sposób *oderwany*, nie uwzględnia go wcale, lub uwzględnia je błędnie, geolog zaś ma w danym zakresie z jego skutkami bardziej bezpośrednio i *namacalnie* do czynienia, choć również w sposób mniej lub bardziej od ścisłości daleki. Oto wszystko! Por. str. 73 — 74 i 97.

⁹ A przecież intelekt, jako zdolność typowo materyjalna, dająca się — nawet poza człowiekiem — zmechanizować przez przenoszenie (jak dotąd częściowe) zasad funkcjonalnych umysłu na metal czy materyał inny (maszyny rachunkowe, grające w szachy i t. p.) jest aż nazbyt widocznie nie mistrzem lecz — narzędziem praw natury.

¹⁰ Najwznioślejszym podziśdzeń w literaturze wszechświatowej utworem na ten temat, są naszym zdaniem „Wyznania św. Augustyna“, tak przepiękne, a tak mało dziś czytywane. Polskich przekład (innych nie znamy), dokonany przez Ks. Piotra Pękalskiego, ukazał się w Krakowie w Drukarni Uniwersyteckiej w r. 1847, (8-vo, str. 496).

¹¹ Por. przyp. 4 do Części pierwszej książki niniejszej.

¹² Dlatego to dziecko śmieje się z kulawego na widok, że ten chodzi *inaczej*, niż ono.

¹³ Bolesław Lutomski, „Wobec wielkich wypadków“. („Kurjer Warsz.“ z 1916 r. № 177, wyd. por.).

Przypisy do Części drugiej.

¹ Por. przytoczone już (str. 3) prace nasze: „Echa prawieku“, oraz: „Nad Renem i nad Wisłą — antyteza dziejowa“, a zwłaszcza pierwszą z tych książek.

² Sądzilibyśmy, że dowodem przeobrażeń rozwojowych — „postępem“ masy, *jako masy*, mogłoby być jedynie przeprowa-

dzenie odpowiedniego wywodu, iż ulega ona ciąglemu, a coraz bardziej w danych warunkach opornemu wywiązywaniu się z niej iskry „tłumu“; (co do natury tego ostatniego por.: „Echa Prawieku“ str. 17 — 21). Jest to atoli przy obecnym stanie badań wręcz niemożliwe, a wkraczałoby właściwie w sferę neuro- czy neuro-patologii, gdyby przedmiot jej badań dał się traktować na podłożu historycznym, a może nawet antropologii wykopaliskowej. Dzisiaj jesteśmy w stanie stwierdzić to tylko, że na skupienia, złożone z dzieci czy z ludzi dzikich, z plebsu czy z inteligencji, choćby i najwyższej, działać mogą odpowiednio — i to w momencie, *poprzez dzającym* powstanie rzeczony „psychozy“ — conajwyżej pobudki *odmienne*. Zupełnie jak na działanie maszyn parowych, które opalać można: węglem, naftą, czy drzewem. *Wszelako punkt wrzenia wody w kotle pozostanie w każdej z nich ten sam, bez względu na rodzaj paliwa.* — O tej zasadzie całkiem tajemniczego rozwoju pierwiastku masowości, pisaliśmy w „Echach Prawieku“ (str. 9), że: „... historia cała zdaje się posiadać w chronologii swojej miarę zbyt nikłą, by przemiany lub stopień postępu tej pierwotności odwiecznej zbadała...“ Tutaj dodać możemy nadto, że nawet w zakresie produkcji materialnej epok pra-masowych (koczowniczych), jak to stwierdza archeologia, *wieki* całe wykazują postęp *mniej*, aniżeli *dziesięciolecia* w rozwoju techniki i produkcji indywidualistycznego w swej zasadzie bytu osiadłego: podłoża kultury historycznej. — Jednostka (*a*), bytująca w warunkach *x*, może, pod wpływem przewagi swego zmysłu *refleksyjnego*, przystosować się z konieczności do warunków *y* i, pomimo, że dawna jej formuła (*ax*) zamieni się na (*ax*) \times *y*, jednostka ta *nie przestanie być sobą*. Natomiast grupa - gromada (*b*), bytująca w warunkach *x*, nie jest zdolna, wskutek przewagi swego zmysłu *impulsyjnego*, przystosować się istotnie do warunków *y*, gdyż, w razie konieczności zamiany dawnej swej formuły (*bx*) na nową: (*bx*) \times *y*, *przestałyby być sobą*: pewne jej cząstki przeszłyby do grup innych, a inne natomiast wkroczyłyby na ich miejsce. To, co dla danej jednostki (*a*) może stać się *wyładowaniem żywotnem* jej sił potencjalnych — staje się dla tożsamości danej grupy (*b*) *tylko rozkładem*. Istota różnicy obu tych zjawisk polega na tkwiącej w nich *odmienności* natury psycho-fizycznej: Rolę zanikającego w jednostce, lub ożywiającego się w niej *czynnika psychicznego*, odgrywa bowiem w gromadzie usuwający się z niej, lub wstępujący do niej — *cząłowiek*.

³ Por. J. K. Kochanowski: „Nad Renem i nad Wisłą — antyteza dziejowa“.

⁴ Por. tegoż: „Echa Prawieku“.

⁵ Por. str. 132 — 133. Przy sposobności nadmieniamy tu, że błędem zasadniczym a uderzającym badaczy zagadnienia tego w Niemczech: Wilhelma Jerusalem'a (Der Krieg im Lichte der Gesellschaftslehre) i polemizującego z nim Gomperz'a, jest przede wszystkim to, że obaj ci pisarze zdają się wychodzić z założenia, iż psychika masy ludzkiej, wyładowująca się w polityce państw i narodów, jest prostą sumą psychik składających je jednostek: że, jednym słowem, między psychiką jednostki i masy nie zachodzi żadna zgoła różnica *jakościowa*. (Por. wyżej przyp. 2). Błąd ten prowadzi ich obu: zarówno obrońcę etyki w polityce, Jerusalem'a, jak stojącego w danym przypadku na gruncie amoralnym, Gomperz'a, do wniosków, wręcz z naszego punktu widzenia, naiwnych.

⁶ Por. Część trzecią książki niniejszej.

⁷ Por. formułę, zamieszczoną na str. 16.

⁸ A. Ducèdre (Comte Rochaid): Carnet d'un Fataliste, Paris, Quantin, 1893, str. 11.

⁹ Tamże, str. 15. Wiele w tem prawdy, a jednak dzisiaj, wśród wielkiej wojny, jakiej świat nigdy jeszcze nie oglądał, trudno oprzeć się wrażeniu, że gdyby pewne ludy Europy, walczące obecnie pod przymusem ciężkiej potrzeby ekonomicznej, znaleźć mogły, bodajby na innej planecie, odpowiednie dla siebie uposażenie, wojna ustałaby natychmiast i pokój byłby dziś jeszcze przywrócony. Nadto, słuszność każe przyznać, mimo wszelkich okrucieństw, a nawet, mimo przejmującego grozą charakteru tej wojny, że naogół trzyma ją, bądźco bądź, na uwięzi, zwłaszcza po stronie armii cywilizowanych, znaczne poczucie prawa i normy moralnej, w porównaniu — nietylko z dawnymi najazdami Tatarów, czy Hajdamaków, ale bodaj nawet z zapasami, toczonymi podczas Wojny Trzydziestoletniej. O postępie tym stanowi wszelako nie zagłada zwierzęcych właściwości masowych, wybuchających tu i owdzie w całej swej pełni, lecz jedynie, jak sądzić wolno, siła wzmożona *organizacji*, wytworzonej podczas pokoju, a trzymającej na uwięzi w sposób baczniejszy (niż ongi) *żywołowość*, utajoną w gromadzkości zarówno armii jako też i zmagających się pomiędzy sobą ludów.

¹⁰ Por. Joannis Dlugossii Senioris, Canonici Cracoviensis, Opera Omnia. Volumen I, Cracoviae 1887, pag. 562 — 565.

¹¹ Por. str. 48

¹² Por. str. 3. W dalszym ciągu ustępu niniejszego przytaczamy w wolnym przekładzie wyciąg ze studium naszego p. t. „*Quelques notes sur le progrès social*“. Por. przyp. 5 do Słowa Wstępnego.

¹³ Str. 95 — 96; 126 — 130.

¹⁴ Por. str. 229 — 235.

¹⁵ Mamy tu na myśli wykroczenie w danym czasie, miejscu i środowisku, poza linję *możliwości rozwoju*. Wykroczenie takie powoduje przełom dziejowy, niwelujący dorobek strony, dopuszczającej się ekstrawagancyi, przez sprowadzenie dorobku tego w życiu do poziomu odpowiedniej normy ewolucyjnej, jako nowej — do czasu — podstawy współbytu zwyciężonych i zwycięzców. Ci ostatni, trawiąc swą zdobycz, wstępują przez to samo na nowy szczebel kultury.

¹⁶ Ciekawą ilustrację socyo-etnologiczną tego zjawiska znaleźć można u Wulfstana (Scriptores rerum Prussicarum I, 734, § 21, 22, 23), stwierdzającego, że we wczesnej dobie *osiadłości* (podstawy „kultury“), leżącej na pograniczu z *koczowniczą* (Hordy) i będącej przeto w znacznej jeszcze mierze jej odbiciem, *cała prawię* majątność zmarłego *była spożywana* podczas stypy *gromadzkiej*.

¹⁷ Por. str. 84 — 85.

¹⁸ Określenie historyzoficzne legendy, por. w szkicu: J. K. Kochanowskiego: U progów drugiego millenium („Przeгляд Historyczny“ tom XX, str. 14; w odbitce str. 18). Brzmi ono tam, jak następuje: „Wielkie legendy dziejowe są jakby wyrazem tej mowy, którą posługuje się *instynkt* mas, przechodzący do porządku nad ogniwami przyczyn i skutków t. zw. prawdy realnej — tam, gdzie lapidarnie, w skrócie symbolu, pragnie wypowiedzieć sam siebie“.

¹⁹ Por. str. 38.

²⁰ Iż tak przedstawiają się rzeczy u nas, bardzo to naturalne i dlatego, że względny rozkwit dramatu przypada w Polsce na czasy po jej upadku politycznym. Ważniejsze jest to, że obserwację, o której tu mowa, stwierdzają fakty i na Zachodzie.

²¹ Por. J. K. Kochanowski, Przyczynki do dziejów rozwoju pojęć moralnych na tle zabytków języka polskiego. (Szkice i drobiazgi historyczne, Serya II, Warszawa, E. Wende, 1908, str. 20 — 21). Podane tam przykłady źródłowe historyczne są w danym przypadku wysoce zastanawiające.

²² Por. na str. 43, orzeczenie Seneki.

²³ Por. „Echa Prawieku“, str. 49 — 58.

²⁴ Por. przyp. 8 do Części pierwszej, oraz str. 97.

²⁵ Por. „Echa Prawieku“, str. 49 — 58.

²⁶ Por. str. 34 — 37.

²⁷ Por. przypisek 10 do Części pierwszej.

²⁸ Por. str. 54 — 60.

²⁹ (*do str. 80*). Winniśmy określić ją tutaj, jako stan psychiczny, skupiający — niby w soczewce — w przedmiocie umiłowanym, świat nasz wewnętrzny ze światem zewnętrznym, darząc je nawzajem harmonią. Nieodłącznym atrybutem miłości jest *dobro*, a cechą jej, zarówno duchową jak fizyczną — *twórczość*. Antytezą miłości jest *nienawiść*, która rozkłada podstawy, osiągniętej przez miłość harmonii, w soczewce przedmiotu znienawidzonego. To też atrybutem nienawiści jest *zło* (=fragmentaryczność istnienia; por. str. 31; 80 — 81), a cechą — *zniszczenie*. Miłość jest nieśmiertelną z ducha, nienawiść — wieczną z materii.

²⁹ (*do str. 81*). *Tat Tvam Asi* = To Ty Jesteś (świecie, mną — a ja tobą) — słowa Upaniszady, w których głębia istoty ludzkiej zlewa się z wszechświatem w jedną tożsamą całość. (Por. Dr. Paweł Deussen: *Zarys Filozofii Indyjskiej*, Lwów, 1914, str. 70, 127).

²⁹ (*do str. 83*). Por. str. 30 — 31.

³⁰ Por. str. 59 — 60.

³¹ Por. „Echa Prawieku“, str. 17 — 21.

³² Por. str. 72 — 74.

³³ Powiadają niektórzy, że talent jest zespołem dwu zdolności: *przeżywania* pewnych wrażeń i umiejętnego ich *wypowiadania*. Sądzimy, że jest tylko tem drugim. Po pierwsze bowiem wszyscy ludzie *coś* przeżywają, a owo „coś“ może być *zawsze* przedmiotem dzieła talentu; powtóre zaś — co ważniejsza — gdyby pewni tylko ludzie (utalentowani) potrafili przeżywać dane wrażenia, to utwory ich, wrażeniom tym poświęcone, mogłyby być dostępne wyłącznie dla ich *sobowtórów* i talent byłby jedynie kapliczką wzajemnej adoracji, a tak przecież nie jest.

³⁴ Por. str. 55 i nast.

³⁵ Por. „Nad Renem i nad Wisłą — antyteza dziejowa“, str. 12.

³⁶ Por. przyp. 8, do Części pierwszej.

³⁷ Por. str. 96.

³⁸ Por. str. 55 — 56.

³⁹ Co do rozmaitego ustalania się tych okresów w dziejach różnych ludów, por. „Nad Renem i nad Wisłą — antyteza dziejowa“ str. IX.

⁴⁰ Jednym z nich była potrzeba zamiany nadmiaru pożywienia mięsnego pasterzy i myśliwców, na roślinne pra-rolników. Por. Peisker: Die älteren Beziehungen, str. 74 — 78.

⁴¹ Por. Georges Valois: L'homme qui vient.

⁴² Por. „Echa Prawieku“, str. 49 — 53.

⁴³ Jak np. czasy historyczne ludzkości w zestawieniu z dobą człowieka jaskiniowego.

⁴⁴ Por. „Echa prawieku“, str. 3 — 39.

⁴⁵ Por. „Echa prawieku“.

⁴⁶ „Nad Renem i nad Wisłą — antyteza dziejowa“.

⁴⁷ Jak wiadomo, wszystko co nie jest normą, nosi miano *waryacyi*, a przynajmniej wkracza w sferę darzonego nią pojęcia.

⁴⁸ Por. wyżej str. 58 — 59 i przyp. 15 do Części drugiej.

⁴⁹ Por. str. 37 — 38.

⁵⁰ Łuk. XII, 33.

⁵¹ Por. str. 51 — 53.

⁵² Mat. XIX, 24.

⁵³ Łuk. XIX, 15 — 26.

⁵⁴ Por. „Echa prawieku“, str. 49 — 58, oraz tutaj str. 20.

⁵⁵ Por. str. 109.

⁵⁶ List św. Pawła do Galatów V, 17.

⁵⁷ Por. str. 98 — 99.

⁵⁸ Por. str. 114 — 117.

⁵⁹ Jasne to określenie budzi dzisiaj, jako rewolucyjną tchnące, niepokój u wielu pisarzy. Powiadają więc, że demokracja to nie „wszechwładztwo ludu“, lecz „stan społeczeństwa, w którym jaknajwięcej ludzi korzysta z dóbr moralnych i materialnych.“ Jest to właściwie paradoks, a raczej czysto dyalektyczne zaciemnienie sprawy. Cóż to bowiem znaczy? Co znaczy na tle *realnych* warunków bytu? Ni mniej ni więcej, tylko: Dobra moralne nie są to dobra najwyższe Człowieka—dostępne zawsze i wszędzie dla wszystkich—lecz dane *formy etyczne*, przysługujące pewnej klasie społecznej. Chodzi więc o to, aby formy te posiadało wielu (jaknajwięcej) ludzi wraz z możliwością (jaknajbardziej) spożywania dóbr materialnych. I tym jednak razem—jakkolwiek wydawałoby się, że jest przeciwnie—(fałszywa)forma, o którą tu *istotnie* chodzi, wywołuje protest ze strony zapoznanej treści: jaknajwięcej

ludzi nie może bowiem spożywać czegoś jaknajobficiej, t. j. na równi obficie, gdyż oznaczałoby to myślowo *contradictio in adjecto*, a życiowo — bankructwo. Polityka klasowa może pozornie usprawiedliwiać krzewienie podobnych, jak powyższe, hasel demagogicznych, nie przestają one atoli być kłamstwem: nieraz może nieświadomem, lecz niemniej przeto fałszywem i szkodliwym, bo urągającym *prawdzie* rozwoju. (Względna) „Arkadya“ wieńczy hasła tego rodzaju tylko *pozornie*. Powstawanie „Arkadyi“ takich tu i owdzie (Anglia, Belgia) stworzyły bowiem nie hasła podobne, lecz wręcz im przeciwna, twarda jak los nieubłagany, na prawdzie życia oparta, wielowiekowa, w niepojęte dla nas okrucieństwo tresury zbrojna, historyczna kolej rozwoju. (Por. „Nad Renem i nad Wisłą — antyteza dziejowa“. — Dodajmy, że dzieje Anglii i Belgii mogłyby tylko antytezę tę *wyjaskrawić* w stosunku do nas).

⁶⁰ To też pytanie, czy materializm masowości płynie ze źródła głodu (niedostatku) mas, czyli też z ożywiającego je pierwiastku zbiorowości, dałoby się zestawić z pytaniem, czy chłód lodu płynie z jego składu fizyczno-chemicznego, czy z temperatury. Por. przyp. 2 do Części drugiej.

⁶¹ Por. poświęconą zjawisku tresury dziejowej pracę naszą p. t. „Nad Renem i nad Wisłą — antyteza dziejowa.“ Warszawa, E. Wende, 1913.

⁶² Jednym z wyrazów tego stanu psychicznego są t. zw. „fumy“. (Por. wyniosłość, str. 238).

⁶³ Por. str. 67 — 69.

⁶⁴ Por. str. 58 — 59 i przyp. 15 do Części drugiej.

⁶⁵ Por. str. 19.

⁶⁶ Por. str. 12 i przyp. 2 do Części pierwszej.

⁶⁷ Zgodnie z tymi wywodami psychologicznymi, acz ze zgoła odmiennego punktu wyjścia, do wniosku *identycznego* dochodzą dzisiaj i ekonomiści. (Por. artykuł bezimienny: „Skarb po Wojnie“, zamieszczony w „Kurjerze Warszawskim“ № 338, z dnia 7 grudnia 1915 r.).

⁶⁸ Ruskin'owskie dążenie do natury (por. str. 209 — 211), jako mistrzyni piękna, od którego mechanizujący się świat dzisiejszy tak bardzo się oddalił, kojarzy się ideowo z nawrotem do umiłowania tych dzieł ludzkich, które w odmiennych niegdyś czasach twórczości indywidualnej powstawały. Wyczuwa w nich bowiem człowiek, duszący się w atmosferze dzisiejszej, wpływ

tych wzorów naturalnych, które go odbiegły (por. str. 166—176). W bliskim z tem związku jest i bełkot, poszukiwanych dziś z takim utęsknieniem, nowych stylów. Są one w znacznej mierze— np. t. zw. secesya,—kombinacją motywów, dobrze dawniej znanych (Egipt), nacechowaną przez skłębienie wahań i porywów, które na swobodny lot własny nie potrafią jeszcze się zdobyć. Uderza to nietylko w architekturze (T a l o w s k i), malarstwie (impresyonizm, symbolizm) oraz w sztuce stosowanej, ale i w ogrodnictwie zdobnym. Nawracające do czasów prababek naszych rabaty kwietne, planowane przez głośnego Esch'a w Karlsbadzie (w r. 1914 naokół „Imperialu”) wymownym są tego przykładem.

⁶⁹ „L'homme qui vient“.

⁷⁰ „Evolution Créatrice“.

⁷¹ Por. str. 181 — 186.

⁷² A. Ducèdre (Comte Rochaid): Carnet d'un Fataliste, Paris, Quantin, 1893, str. 7.

⁷³ (do str. 141). Można ją nazwać superlatywem wdzięczności, skierowanej przez człowieka ku rodzonemu swemu podniebiu za to, że zostak: *człowiekiem*. Uczucie wdzięczności i miłość ojczyzny—to cechy człowieka wyższego, wznagające się w nim w miarę własnego jego udoskonalenia. Przeciętność nie posiada ich zgoła. Por. str. 165 i przyp. 7 do Części trzeciej.

⁷³ (do str. 145). A. Ducèdre j. w. str. 15.

⁷⁵ Co do wagi zasadniczej *pierwiastku osiadłości* w rozwoju, por. „Echa Prawieku“ str. 12. Koncepcyę tę potwierdzają w zupełności dane najnowsze etno- a za nią i socyo-logii, wskazujące zgodnie na pierwotne osady rolnicze, jako na wyraz podstawowy indywidualizacji człowieka przedhistorycznego. Por. przyp. 22 do Części trzeciej, oraz str. 146 — 147.

⁷⁶ Z artykułu p. J. J., „Przyczyny i cele“. (Kur. Warsz. № 193 z r. 1916).

⁷⁷ Talent i paradoks, to niby strzał prawdziwy i ślepy: oba atoli wypływają z jednego źródła—z oryginalności indywidualnej. „Paradoks“ może być wyrazem talentu, gdy znajduje oddźwięk odpowiedni w analogii umysłu widza, czy słuchacza, wyraz talentu zaś zamienia się nieraz w paradoks, gdy oddźwięku takiego braknie w otoczeniu „oryginała“. Por. wyżej str. 89 i przypisek 33 do Części drugiej.

⁷⁸ A. Ducèdre j. w. str. 7.

⁷⁹ (*Tat Tvam Asi*). Por. str. 81, oraz przyp. 29 do Części drugiej.

⁷⁹ (*L'homme est la terre...*) Ob. przyp. 78 do Części drugiej.

Artykuł Pernerstorfera ukazał się w berlińskich „*Politische Blätter*“ z czerwca 1916 r.

⁸⁰ „Wielkiem złudzeniem“ nazywa Norman Angell (*La grande illusion*. Paris. Edition Nelson) mniemanie, że może być potrzebne narodom zagarnianie cudzych terytoriów dla celów kulturalnych i politycznych. Czyż pewne terytorium—pyta on—stracone jest dla Francuzów dlatego, że je posiadają Hiszpanie?..

⁸¹ Por. str. 41 — 45 i przyp. 2 do Części drugiej.

⁸² Por. str. 100, oraz przyp. 43 do Części drugiej.

⁸³ Por. „Echa Prawieku“ str. 10.

⁸⁴ Ob. „*Kurjer Warszawski*“ z dnia 17 maja 1914 r.

Przypisy do Części trzeciej.

¹ Por. str. 98 — 99.

² Por. str. 11 i przyp. 1 do Części pierwszej.

³ Por. „Echa Prawieku“, str. 9 — 12.

⁴ Generał japoński Togo popełnił, jak wiadomo, na cześć zmarłego pana swego, mikada Mutsu hito, w dniu jego pogrzebu, a w myśl tradycyji ojczystych, harakiri, pospołu z małżonką swoją.

⁵ Finansista, p. Stanisław Karpiński, w książce swojej o bankowości, wydaje okrzyk zgrozy z powodu, że *«zaraza pospolitego złodziejstwa»* opanowała wszystkie sfery inteligencji!! Czyliż trzeba tu bardziej wymownych dowodów?

⁶ Hr. Andrassy: *Neue Freie Presse*, wrzesień 1915 r.

⁷ Zupełnie jak połączona z cechą jednostki (miłością) ufność a z cechą stada (nienawiścią) — nieufność (zwartej gromady) do otoczenia. Por. niżej str. 141 i przyp. 73 do Części drugiej.

⁸ Por. str. 89 — 91.

⁹ Por. str. 100 — 103.

¹⁰ Por. str. 139 i przypisek 68 do części drugiej.

¹¹ „*L'Île des Pingvins*“.

¹² „Ogród udręczeń“, przekład Leona Choromańskiego, str. 73.

¹³ Por. Ciekawe na temat siły sugestyi wywody Juliana Ochorowicza (*Psychologia i medycyna*, serya I, Warszawa 1916, str. 374, 379): Jeżeli ciepło może wywołać ruch mechaniczny,

to i ruch mechaniczny może wywołać ciepło i t. p., co pisarz ten nazywa „prawem odwracalności“ — *ideoplastyą*.

¹⁴ Louis Bertrand: Saint-Augustin, Paris, Arthème Fayard, str. 93.

¹⁵ O egoizmie ob. str. 80 — 84. Tutaj chodzi o egoistów, zubożonych, na domiar złego, przez wyjątkowe zwężenie poglądu swego na świat: *Wszyscy szwajcarzy mają firanki w oknach, przeto narodu ich nie stać na sbytek katedry w Rheims.*

¹⁶ „Kurjer Warszawski“ z dnia 14 grudnia 1911 r., № 345. str. 4.

¹⁷ Por. str. 176 — 177.

¹⁸ Por. str. 162 — 163.

¹⁹ Por. str. 29 — 31.

²⁰ Por. str. 80 — 82.

²¹ Por. „Kurjer Warszawski“ № 150 z dnia 2 czerwca 1914 r., str. 6.

²² Przedstawiony tu pokrótce system socyologiczny Wilhelm a Ostwald a, to bodaj szczyt auto-hipnozy filozofii stada. Pomijam pierwsze, kopalne, a wysoce problematyczne, ogniwo owego cyklu ideologicznego masowości, dla którego w charakterze przesłanki logicznej potrzebne było zepchnięcie podstaw rozwoju indywidualistycznego ludzkości na dno jej genezy dziejowej (*solizm*, za E. Cr a w l e y'e m); pomijam je choćby dlatego, że już pierwsza—taka czy inna—rodzina człowieka pierwotnego, była „stadem“, a przynajmniej jego zawiązkiem. Zresztą, nie chodzi tu o praformę teoretyczną bytu społecznego, której dociec niepodobna, lecz o fakt, że stado wiąże się ściśle z nomadyzmem, ów zaś *wyprzedza* byt osiadły (jednostek) w dziejach wszystkich, znanych nam, ludów. (Por. str. 14—15). Ważniejszą jest rzeczą, że sam W. Ostwald dał mimowoli w systemacie swoim wyraz prawdzie rozwoju ludzkości, zestawiając bądźco bądź w swym cyklu kolejne jego fazy: jednostkowość i masowość. Solizm — gregaryzm — indywidualizm — organizacja, odpowiadają bowiem w istocie naszemu porządkowi dziejowemu: jednostka — masa — jednostka — masa... (Por. str. 98—99). To też, podobnie jak między fikcyjnym solizmem a indywidualizmem, tak też między gregaryzmem a „organizacją“ *niema różnic zasadniczych*. Osia każdej z tych faz jest bowiem jednostka, a kołem — masa. Różny jest tylko stosunek wzajemny *świadomości* obu tych czynników w następujących z kolei po sobie dobach, do wskazanej w studium ni-

niejszem „przewagi“ wzajemnej, to jednostki, to masy. (Por. str. 98 — 99, i 245). — Pomijając „przykłady historyczne“ W. Ostwalda, którymi — nie ujmując ich do dna — zawsze, wszędzie i wszystko wytłumaczyć można do woli, winniśmy nadmienić, że jego „organizacya“ wydaje nam się nietylko *nową fazą* rozwoju ludzkości, ile koncepcją — mimo swych pozorów — dość niezręczną, a poczętą *ad usum Delphini*. Przecież organizacya (bez cudzysłowu) istniała *zawsze i wszędzie*, nietylko w toku dziejów historycznych życia osiadłego, ale i przedhistorycznych — koczowniczego — ludzkości, a zachodzi pytanie, czy np. organizacya turecka w Wiekach Średnich nie zasługiwałaby w danym przypadku na cudzysłów *podwójny*? Wywody Ostwalda stwierdzają dwojako, bo realnie i ideologicznie to tylko, że naród niemiecki, służący mu za przedmiot studyów, przebył istotnie *tresurę* wyjątkowo gruntowną ze strony państwa w toku swych dziejów. (Por. J. K. Kochanowski: Nad Renem i nad Wisłą — antyteza dziejowa, Warszawa, E. Wende, 1913). — Na zakończenie winniśmy tu dodać, że człowiek — stworzenie na poły mięso - i roślino - żerne, zdolny jest kojarzyć w sobie dwa stany — indywidualistyczny i stadny, przyczem pierwszy (w przeciwstawieniu do zwierząt, samotnie żyjących) genetycznie roślinożerny (osiadli pra-rolnicy!), służy mu, jako *via ad Deum*, drugi zaś (znowu w takimże przeciwstawieniu) — mięsożerny (pra-pasterze i pra-myśliwcy koczownicy!) — jako *via terrae*. Ponieważ cywilizowany człowiek zbiorowy jest *obu* tych stanów wyrazem, niemożna mu przeto, jak to czyni W. Ostwald, narzucać jednego z nich *wyłącznie*.

²³ Por. str. 97.

²⁴ „Można wierzyć — pisze mąż stanu rosyjski, Witte, — i ja osobiście głęboko wierzę, że konstytucya wogóle jest to *wielkie kłamstwo* naszych czasów...“ (Samodierżawje i ziemstwo. Petersburg 1908). Głosów podobnych możnaby tu przytoczyć więcej. Por. np. mowy senatora włoskiego, znanego socjologa, barona Rafaela Garofalo, wygłaszane w izbie wyższej w Rzymie.

²⁵ Por. str. 135 — 155.

²⁶ *Action* paryska z pierwszych dni września 1912 r.

²⁷ Por. Georg Staehr: *Das russische Artiel*, Dorpat 1890.

²⁸ Por. „Echa prawnieku“, str. 65 — 67.

²⁹ Por. str. 12.

³⁰ Por. str. 74 — 79.

³¹ Wynika to w sposób zupełnie naturalny a zrozumiały, zarówno w charakteru przyrodzonego masu (por. str. 41 — 45), jak z istoty egoizmu i altruizmu (por. str. 80 — 81).

³² Por. str. 83.

³³ Por. str. 133.

³⁴ (*do str. 203*). Por. przypisek ostatni (33).

³⁵ „Rozczarowanie“, Warszawa 1907, str. 196. — „Kobiece i męska psychika — powiada trafnie p. Zofja Bielińska („Kurier Warszawski“ № 217, wyd. por. z dnia 7 sierpnia 1916 r., str. 1) — i wynikające z ich różnic odmienne ujmowanie rzeczy to... dwie, wzajemnie się dopełniające, oczne soczewki; każda z nich widzi tylko jedną stronę, jeden kształt rzeczywistości i dopiero łącznie ujrzeć mogą jej doskonale i wierne odbicie...“

³⁶ Por. str. 176 — 179; 195 — 196.

³⁴ (*do str. 210*). Por. „Echa Prawieku“, str. 12.

³⁷ Z niego to wyszła między innymi, co zaznaczyć tu trzeba, ohyda zawodowego handlu ziemią, będąca, podobnie jak życie samo, podstawą wszechwartości nie tylko materialnych, ale i moralnych, człowieka.

³⁸ Por. przyp. 68 do Części drugiej.

³⁹ Por. str. 89 — 92.

⁴⁰ Gorliwym w socjologii rzecznikiem dążenia jakościowego ludzkości jest Charles Gide, a obok niego, z bardziej realnych założeń wychodzący, Rudolf Goldscheid. (Por. *Annales de l'Institut International de Sociologie*, XIV, str. 175...; 467...)

⁴¹ Winniśmy tu przypomnieć, że liczna prokreacja obniża z natury rzeczy coraz bardziej w praktyce życia, a wbrew górnym lecz kłamliwym hasłom nowożytnym, „cenę“ człowieka, zarówno w stosunku do tworzonych przez państwa armii, walczących na polach bitew z wrogiem, — jak do organizowanych pod pieczę tychże państw armii robotników, borykających się na polu pracy z kapitałem. *Quantum mutatum ab illo!* O ilez bardziej, w dosłownym znaczeniu tego wyrazu, *ceniony* był ongi prostak zwykły, w czasach, jakoby tak „niehumanicznych!“ (Por. J. K. Kochanowski: „Nad Renem i nad Wisłą — antyteza dziejowa“. Warszawa, E. Wende. 1913. Ostatni szkic). Nadto, co dodać tu należy, a co jest wysoce zrozumiałem i naturalnem — dla imperyalizmów dzisiejszych ideałem najwyższym jest tu źródło klęsk rozwoju: przyrost (nadmierny) ludności. To też mylą jest z naszego punktu widzenia teoria automatyzmu — przekona-

nie o istnieniu w procesie przyrostu ludności naturalnej klapy bezpieczeństwa, regulującej go w miarę potrzeb rozwoju: Niema bowiem zjawisk nienaturalnych — są tylko, z punktu widzenia interesów człowieka, pożądane i niepożądane. Przyrost ludności może być regulowany zarówno przez pomory (Indye, Chiny) i wojny krwawe (Europa dzisiejsza), jak przez *świadomość* człowieka samego. To też jasnym jest, która z tych dróg odpowiada bardziej dostojęństwu roli jego wśród stworzenia.

⁴² Jakkolwiek źródłem przewagi ludów zwycięskich nad pokonanymi jest *synteza* wszelakich ich sił, to jednak winny one pamiętać, że wyrazem gromadzko-politycznym tej „syntezy“ w stosunku do zwyciężonych, jest najprzeważniej siła fizyczna — naga dusza stada — wylądowanie materji przeciw duchowi — *antytetiza* cywilizacji.

⁴³ T. j. w kim duch — po walce — przewyciężył ciało.

⁴⁴ Por. str. 91 — 92.

⁴⁵ Por. str. 20 i 108 — 110.

⁴⁶ Por. str. 80 — 81. Przy sposobności dodać tu musimy, że „twórcza potęga nienawiści“ jest właściwie nieporozumieniem: *twórczość* nie wiąże się tu bowiem bezpośrednio z nienawiścią wroga, lecz z miłością, bo z oddaniem się — rzeczy, czy sprawie, działanej na jego szkodę. Nienawiść występuje tu przeto w roli typowej (pośredniej) zła, rodzącego dobro. Por. str. 200 — 203.

⁴⁷ Nie mamy tu, oczywiście, na myśli rodu, w znaczeniu pnia genetycznego. (Por. str. 120 — 123), lecz gromadę *współżyjących z sobą*, bliższych czy dalszych krewnych.

⁴⁸ Por. str. 65.

⁴⁹ Por. str. 41 — 45, oraz przyp. 2 do Części drugiej.

⁵⁰ Por. str. 118 — 120.

⁵¹ Por. str. 98 — 99.

⁵² Por. j. w., oraz str. 123 — 126.

⁵³ Por. str. 118 — 120.

⁵⁴ Por. str. 180 — 186.

⁵⁵ Por. „Echa Prawieku“, str. 67.

⁵⁶ Por. str. 55.

⁵⁷ Por. przyp. 55 do Części trzeciej.

⁵⁸ Por. przyp. 56 do Części trzeciej.

⁵⁹ Por. „Echa Prawieku“.

⁶⁰ Por. „Echa Prawieku“, str. 146 — 148.

⁶¹ J. w. *passim*.

⁶² O „sile“ por. w „Echach Prawieku“ str. 131—134, a w książce niniejszej str. 57 — 63.

⁶³ „Echa Prawieku“.

⁶⁴ Tamże por. str. 20 — 23; 27 — 35.

⁶⁵ Tamże por. str. 20 — 21 i następane.

⁶⁶ Np. por. głośny artykuł Chołonia wskiego, drukowany przed kilku laty w „Świecie“ warszawskim.

⁶⁷ Por. str. 130, oraz przyp. 62 do Części drugiej.

⁶⁸ „Przegląd Historyczny“ tom X, str. 122.

⁶⁹ „Rozczarowanie“, Warszawa 1907, str. 24, 101.

⁷⁰ Por. str. 176 — 180; 199; 236.

⁷¹ Por. str. 114 — 117.

⁷² Por. str. 114 — 117, 123 — 126.

⁷³ Por. str. 176 — 180.

⁷⁴ Por. str. 117 — 120.

⁷⁵ Por. j. w., oraz str. 119.

⁷⁶ Władysław Studnicki w artykule: „Bogactwo materialne a ubóstwo duchowe Ameryki“. („Tygodnik Ilustrowany“ z r. 1911, № 40, str. 786).

⁷⁷ Por. str. 214 — 217.

⁷⁸ Por. str. 91 — 93.

⁷⁹ Powiadają, że chłop, to istota twarda. Twardszym o wiele jest przedstawiciel prawdziwie wysokiej kultury, pogłębiającej charakter i wartość moralną człowieka cywilizowanego. W położeniu, w którym chłop rozpiłby się, lub powiesił — on *trwa* do końca.

⁸⁰ Por. str. 72 — 74.

⁸¹ Por. j. w.

⁸² Por. str. 31.

⁸³ Por. j. w. i nast.

⁸⁴ Por. str. 214 — 217.

⁸⁵ Por. str. 24 — 28.

Przypisy do Zakończenia.

¹ Por. str. 37 — 38.

² Podzielamy też w tym punkcie jaknajzupełniej ideologię teozoficzną Sédir'a.

³ Co do roli impulsyjności w życiu zbiorowym, por. J. K. Kochanowski: Echa Prawieku, str. 7 — 10 i nast.

⁴ Por. J. K. Kochanowski: Nad Renem i nad Wisłą — antyteza dziejowa, str. XIV i *passim*.

⁵ Por. tamże str. 11.

⁶ Bo zawsze i wszędzie każda na świecie klasa społeczna *dążyła* do *wyłączy*ności swego panowania nad otoczeniem, lecz nigdzie w tych rozmiarach, jak szlachcie w Polsce, nie pozwoliły jej na to warunki miejscowe.

⁷ Por. „Echa Prawieku“ str. 12, oraz tutaj str. 146 — 147.

⁸ Por. str. 52.

⁹ Por. str. 24 — 32.

¹⁰ Por. str. 214 — 217.

¹¹ Por. str. 106 — 110. — Liczni świadkowie nie mają dziś słów dla wyrażenia podziwu swego na widok filozoficznego spokoju, z jakim stare ziemiaństwo nasze przyjmowało w toku Wielkiej Wojny obecnej zagładę swych majątkości. Podobni w tem do chłopu, nie myśleli jednak ludzie ci, jak on, o rabunku czy kradzieży.

¹² Por. piękny artykuł wstępny p. Adama Grzymały-Siedleckiego w „Kurjerze Warszawskim“ z dnia 19 września 1915 r.

¹³ Niezliczone dowody takiego stanu rzeczy tają się po wsiach naszych w komorach chłopskich i po zakamarkach sklepów warszawskich z doby drożyzny wojennej, a ciekawe są relacje właścicieli domów, oraz dyrektorów banków naszych z trzeciego roku wojny, świadczące, że *w zasadzie* (uderzającej) tylko „żywioly feudalne“ usiłowały i usiłują, bez względu na „moratoria“, czy położenie swoje, uiszczać się ze swych zobowiązań, gdy inni dążą przeważnie *per fas et nefas* do wyzyskiwania na korzyść swą przysługujących im „praw wyjątkowych“.

¹⁴ Por. J. K. Kochanowski: „Nad Renem i nad Wisłą“ — szkic ostatni.

¹⁵ Andrzej Niemojewski w artykule p. t. „Polska intelektualna“. (*Myśl Niepodległa*).

¹⁶ Por. ciekawą na ten temat pracę p. Lotha, ogłoszoną przed paru laty w „Sprawozdaniach Towarzystwa Naukowego Warszawskiego“.

¹⁷ Por. str. 30.

¹⁸ Por. str. 134, 166.

²⁰ Użyliśmy tu neologizmu, zbudowanego na wzór „wchovu“ (*Inzucht*) dla określenia rozwoju wybitnie endo-ewolucyjnego

Niemców, skupionych na obszarze nader z punktu widzenia etnograficznego jednolitym, rozradzających się tam endo-gamicznie, usuniętych przez długi okres od ekspansji kolonialnej i zmuszonych przeto do wysiłków najwyższych dla zapewnienia sobie bytu na miejscu, w domu.

²¹ Por. str. 120; 176 — 180.

²² Na ewentualny — w znaczeniu ujemnym — zarzut „nacyonalizmu“, odpowiemy tu, że *narodowość*, któraby w pewnych warunkach nie była zdolna zamienić się w „nacyonalizm“, dałaby się porównać z człowiekiem, niezdolnym w żadnym przypadku do bohaterstwa: nie byłaby *sobą*, podobnie jak on byłby tylko pół-człowiekiem. Por. str. 141 — 142 i 189.

²³ Por. J. K. Kochanowski: U progów drugiego milennium („Przegląd Historyczny“, tom XX).

²⁴ Por. str. 81 i przyp. 29 do Części drugiej (str 81).

²⁵ Por. Feliksa Brodowskiego: Respha, Warszawa 1916, (zwłaszcza szkic p. t. Złuda i rzeczywistość).

²⁶ Por. Louis Bertrand: Saint Augustin, Paris, Fayard.

Spis rzeczy.

	STR.
SŁOWO WSTĘPNE	3
CZEŚĆ PIERWSZA: CZŁOWIEK	11
CZEŚĆ DRUGA: SPOŁECZNOŚĆ	41
CZEŚĆ TRZECIA: POSTĘP	159
ZAKOŃCZENIE	251

Errata.

<i>Str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>ma być:</i>
29	13 od dołu	chochy	choćby
61	4 od góry	ilościow-o	ilościowo
69	Do ustępu rozpoczętego, dodać: Por. str. 214 — 225.		
77	11 od góry	jesteśmi	jesteśmy
98	6 od dołu	pożąda jego	požadającego
146	8 od góry	dobro z osłabienia płynące, które	„dobroć“ z osłabie- nia płynąca, która
150	11 od góry	conajmninij	conajmniej
154	12 od dołu	kresu	kresu,
162	13 „	instyktu	instynktu
195	14 „	tu by	by tu
236	8 od góry	ja	ja



30500/2.